

DAVID MORRELL

PIERWSZA KREW

(Przełożył Robert Stiller)

Philipa Klassa i Williama Tenna

każdemu z nich na swój sposób.

W tym kraju zaś pamięci Marka Wydmucha

znawcy i miłośnika zarówno arcydzieł

jak horroru i literatury sensacyjnej

który nie dożył realizacji tej książki

wspólnie nas cieszącej poświęca

Tłumacz

CZEŚĆ PIERWSZA

Nazywał się Rambo i był sobie po prostu, na oko sądząc, pierwszym lepszym chłopakiem, kiedy tak stał przy pompie stacji benzynowej na przedmieściach Madison w stanie Kentucky. Miał długą i gęstą brodę, włosy mu zwisały za uszy i aż po szyję, a wyciągnięta dłoń z odstawionym kciukiem pokazywała, że chce być podwieziony samochodem, który właśnie zatrzymał się przy pompie. Kto by go tam zobaczył, wspartego jednym biodrem, z butelką coli w rękę i zwiniętym śpiworem przy butach, na smołowanej nawierzchni, nie domyśliłby się, że nazajutrz, we wtorek, będzie go ścigać prawie cała policja z Basalt County. A już na pewno by nie przewidział, że nim upłynie czwartek, będzie uciekał przed Gwardią Narodową stanu Kentucky oraz policją sześciu hrabstw i mnóstwem obywateli lubiących sobie postrzelać. Ale też widząc go tak po prostu, obdartego i zakurzonego, przy pompie benzynowej, nikt by się nie domyślił, jakiego to rodzaju chłopakiem jest Rambo, ani od czego wszystko to się za niedługą chwilę rozpocznie.

Ale Rambo już wiedział, że będzie kłopot. I to duży kłopot, jeśli ktoś nie będzie uważał.

Samochód, którym chciał dostać lifta, omal go nie przejechał ruszając spod pompy. Obsługant ze stacji wepchnął do kieszeni kwit i książeczki z premiovymi znaczkami, zaśmiał się, patrząc na ślady opon na gorącej smole u samych stóp chłopaka. Równocześnie wóz policyjny zjechał z drogi na bok, w jego kierunku, i Rambo zeszytniał, widząc, że znów rozpoczyna się znana mu procedura. Nie, na Boga. Dość. Tym razem już nie będą mi rozkazywać.

Wielki samochód miał na sobie oznakowanie: SZEFE POLICJI. MADISON. Zatrzymał się koło niego, z rozkołysaną anteną, i siedzący w środku policjant wychylił się przez puste siedzenie, otworzył drzwi po prawej. Przyjrzał się zabłoconym butom, wymiętym džinsom o wystrzępionych brzegach, z łata na udzie, niebieskiej trykotowej koszulce, poplamionej czymś wyglądającym na zaschłą krew, i skórzanej kurtce. Dłużej zatrzymał się na brodzie i zapuszczonych włosach. Coś mu się nie podobało, ale nie to. Coś innego, nie mógł sobie jasno uświadomić. - No dobra, wskakuj - powiedział.

Ale Rambo się nie poruszył.

- Powiedziałem, wskakuj - powtórzył tamten. - Pewnie ci strasznie gorąco w tej kurtce.

Ale Rambo tylko pociągnął troszkę coli, spojrzął w obie strony wzdłuż drogi, na przejeżdżające samochody, popatrzył w dół na wychylonego policjanta i stał dalej, jak przedtem.

- Słuch ci nie dopisuje? - rzekł policjant. - Wsiadaj tu, zanim się zirytuje.

Rambo przyglądał mu się tak samo, jak tamten jemu: niski i krępy za kierownicą, zmarszczki wokół oczu i lekkie ślady jak po ospie na policzkach, nadające im fakturę postarzałego drewna.

- Nie gap się na mnie - rzekł policjant.

Ale Rambo wciąż mu się przypatrywał: szary mundur, koszula pod szyją rozpięta, krawat rozluźniony, przód koszuli wilgotny i ciemny od potu. Rambo nie mógł dojrzeć, mimo że się starał, jakiego rodzaju ma broń. Policjant nosił kaburę po lewej stronie, dalszej od pasażera.

- Powiedziałem ci - rzekł policjant. - Nie lubię, jak mi się przypatrywać.

- A kto lubi?

Rambo jeszcze raz się rozejrzał, potem sięgnął po śpiwór. Kiedy wsiadał, położył go między sobą a policjantem.

- Długo czekałeś? - zapytał policjant.

- Godzinę. Odkąd przyszedłem.

- Mógłbyś czekać o wiele dłużej. Ludzie się tu na ogół nie zatrzymują dla stopowicza. Zwłaszcza jeśli tak wygląda jak ty. Prawo tego zabrania.

- Wyglądać jak ja?

- Nie bądź taki dowcipny. Powiedziałem ci, że prawo zabrania autostopu. Zbyt często ludzie zatrzymują się po drodze, żeby zabrać jakiegoś młodziaka, i wychodzą z tego obrabowani albo i zabici. Zamknij te drzwi.

Rambo nie śpiesząc się pociągnął coli i dopiero wtedy wypełnił, polecenie. Spojrzął na benzyniarza, który wciąż stał przy pompie i szczyrzył zęby, kiedy policjant wjechał w pasmo ruchu i ruszył do centrum.

- Nie ma strachu - rzekł Rambo do policjanta. - Nie zamierzam cię obrabować.

- Bardzo śmieszne. Jeżeli przypadkiem nie widziałeś znaku na drzwiach, to jestem tu szefem policji. Teasle. Wilfred Teasle. Ale to ci chyba wiele nie powie.

Przejechał główne skrzyżowanie na żółtym świetle. Po obu stronach ulicy, jak okiem sięgnąć, tłoczyły się sklepy: drogeria, bilard, broń i wędki, tuziny innych. Ponad nimi, daleko na horyzoncie, piętrzyły się góry, wysokie i zielone, tu i ówdzie tknięte czerwienią i żółcią, tam gdzie liście zaczynały umierać.

Rambo patrzył, jak cień od chmury przesuwa się po górach. Usłyszał, że Teasle go pyta.

- Dokąd zmierzasz?

- Czy to ważne?

- Nie. Jak się zastanowić, to mnie chyba też wiele nie powie. Ale tak czy owak - dokąd zmierzasz?

- Może do Louisville.

- A może nie.

- Owszem.

- Gdzie spałeś? W lesie?

- Owszem.

- Teraz to chyba dość bezpieczne. Noce już są chłodniejsze i żmije wolą siedzieć w norach niż wychodzić na polowanie. Mimo to możesz kiedyś znaleźć w łóżku partnerkę, spragnioną twojego ciepła.

Przejechali koło myjni samochodów, sklepu A&P, hamburgerowni z podjazdem i wielkim znakiem Dr Peppera w oknie. - Popatrz na ten ohydny zajazd - powiedział Teasle. - Postawili to na głównej ulicy i od tego czasu nic tylko te szczeniaki parkują, trąbią i śmieją po chodnikach.

Rambo sączył swą colę.

- Ktoś z miasta cię tu podwiózł? - zapytał Teasle.

- Przyszedłem pieszo. Ruszyłem o świcie.

- Współczuję. Przynajmniej ja cię kawałek podrzucę, nie?

Rambo się nie odezwał. Już wiedział, co teraz nastąpi. Przejechali przez most i za rzekę, na centralny plac miasta, gdzie w prawym końcu widniał stary kamienny gmach sądu, a po bokach tłoczyły się znowu sklepy.

- Tak, nasz posterunek jest tam, koło sądu - rzekł Teasle. Ale pojechał prosto na plac i dalej ulicą, aż wokół nich były już tylko domy, najpierw porządne i zamożne, później szare i spękane budy z desek, przed którymi bawiły się w kurzu dzieci. Następnie pod górę, między dwiema skałami na równinę, gdzie nie było już wcale domów, tylko pola niskiej kukurydzy brązowiejącej w słońcu. I zaraz za tablicą, na której widniał NAPIS WYJEŹDŹASZ Z MADISON. JEDŹ OSTROŻNIE zjechał na wyżwirowane pobocze.

- Uważaj na siebie - powiedział.

- I nie szukaj guza - rzekł Rambo. - Czy nie taki jest dalszy tekst?

- Bardzo dobrze. Widzę, że już tu byłeś. Wobec tego nie muszę tracić czasu na wyjaśnianie ci, że faceci tak wyglądający jak ty mają skłonności do rozrabiania. - Podniósł śpiwór z miejsca, gdzie Rambo go położył, umieścił mu go na kolanach i sięgnął poprzez Ramba, żeby otworzyć mu drzwi. - Pamiętaj, żebyś na siebie dobrze uważał.

Rambo nie śpiesząc się wysiadł. - Do zobaczenia - powiedział i lekko zatrasnął drzwi.

- Nie - odpowiedział Teasle przez opuszczone okno po jego stronie. - Chyba się już nie zobaczymy.

Podjechał kawałek, zawrócił i ruszył do miasta, zatrąbiwszy kiedy go mijał.

Rambo przyglądał się, jak samochód znika za pochyłością drogi między dwiema skałami. Wysączył resztkę swej coli, butelkę cisnął do rowu i zarzuciwszy sobie pas od śpiwora na ramię skierował się do miasta.

Powietrze było lekkie od frytury. Rambo patrzył, jak starsza kobieta za ladą zerka dołem swych dwuogniskowych szkieł na jego ubranie, włosy i brodę.

- Dwa hamburgery i cola - zamówił.

- Na wynos - usłyszał za sobą głos.

Spojrzał na odbicie w lustrze za ladą i zobaczył, że Teasle wypełnia sobą wejście, trzymając otworem siatkowe drzwi i puszcza je, tak że się głośno zatrasnęły.

- I zrób to jak najszybciej Merle, dobrze? - powiedział Teasle. - Temu chłopakowi się bardzo śpieszy.

W lokalu było niewielu gości, siedzieli przy kontuarze i w niektórych przegródkach. Rambo widział ich odbicia w lustrze, kiedy przestali żuć i spojrzeli na niego. Ale Teasle oparł się zaraz o szafę grającą przy wejściu i nie zapowiadało się nic poważnego, więc zajęli się znów jedzeniem.

Kobieta za barem stała przechyliwszy w bok siwą głowę, jakby zdziwiona.

- A wiesz, Merle, póki to przygotujesz, napiłbym się tak raz dwa kawy - powiedział Teasle.

- Proszę bardzo, Wilfredzie - odrzekła, wciąż zaskoczona, i poszła nalać mu kawy.

Rambo został i przyglądał się w lustrze, jak Teasle mu się przygląda; Teasle miał znaczek Legionu Amerykańskiego wpięty po stronie przeciwnej niż oznaka służbowa. Ciekawe, z której wojny, pomyślał Rambo. Na drugą światową jesteś chyba trochę za młody.

Obrócił się na stolku twarzą do niego.

- Korea? - spytał, pokazując na znaczek.
- Zgadza się - odpowiedział mu sucho Teasle.

I dalej się wpatrywali w siebie.

Rambo przeniósł oczy na lewy bok szeryfa i na jego broń. Zdziwił się, że to nie zwykły rewolwer policyjny, tylko pistolet półautomatyczny. Po dużej kolbie poznał, że to Browning kalibru 9 mm. Sam kiedyś takiego używał. Rozmiar kolby wynikał stąd, że mieści się w niej magazynek na trzynaście naboń, a nie siedem czy osiem jak zwykle. Nie rzucisz tym człowieka na wznak od jednego strzału, ale możesz go ciężko nadszarpnąć, po czym dwoma następnymi wykończyć i jeszcze ci zostanie dziesięć naboń dla kolejnych pacjentów. Rambo musiał przyznać, że Teasle nosi go też pierwszorzędnie. Ma wzrost metr sześćdziesiąt osiem, może metr siedemdziesiąt i tak niedużemu facetowi pistolet tych rozmiarów powinien źle wisieć, a tak nie jest. Jednak musi to być kawał chłopca, żeby miał chwyt do tej kolby, pomyślał Rambo. Po czym spojrzał na dłonie szeryfa i zdziwiła go ich wielkość.

- Ostrzegałem cię, żebyś się nie gapił - rzekł Teasle. Wsparty o szafę grającą odlepił sobie mokrą koszulę od piersi. Lewą dłonią wyjął papierosa z paczki w jej kieszeni, zapalił go, łamiąc na pół drewnianą zapałkę i zachichotał, potrząsając w rozbawieniu głową, gdy szedł do lady i uśmiechnął się z góry do siedzącego Ramba.

- No, aleś mnie nabrał, co? - powiedział.

- Nie miałem zamiaru.

- Oczywiście. Rozumie się, że nie miałeś. A jednak zdołałeś mnie nabrać, co?

Kobieta postawiła przed nim kawę i zwróciła się do Ramba.

- Jakie to mają być hamburgery? Zwykle czy z ogródka?

- Co?

- Zwykle czy z dodatkami?

- Dużo cebuli.

- Proszę bardzo. - Odeszła i zajęła się ich smażeniem.

- Naprawdę, udało ci się - podjął Teasle i znów się dziwnie uśmiechnął. - Fakt, że mnie nabrałeś. - Skrzywił się na widok brudnej waty, wyłazącej z rozdarcia w stołku obok Ramba, i niechętnie usiadł. - Zachowujesz się jak ktoś całkiem bystry. I gadasz tak samo, więc myślałem że do ciebie dotarło. A ty sobie przylazłeś tu z powrotem i strugasz ze mnie wariata: i można by pomyśleć, że wcale nie jesteś bystry. Czy z tobą coś nie w porządku? O to chodzi?

- Chce mi się jeść.

- To akurat mnie w ogóle nie obchodzi - rzekł Teasle, zaciągając się. Papieros nie miał ustnika, więc wypuściwszy dym Teasle zebrał sobie drobinki tytoniu, które mu przyłgnęły do warg i języka. Taki jak ty powinien mieć trochę rozumu i śniadanie ze sobą. Na wypadek - pojmujesz? - taki jak tobie się właśnie wydarzył.

Sięgnął po dzbanuszek ze śmietanką, żeby wlać jej sobie do kawy; popatrzył na dno i usta jego przybrały wyraz niesmaku, gdy ujrzał zakrzepłe tam żółte resztki. - Szukasz pracy? - zapytał spokojnie.

- Nie.

- To znaczy, że ją masz.

- Nie. Nie pracuję. Nie mam ochoty.

- To się nazywa włóczęgostwo.

- A nazywaj sobie. Ja to pieprzę.

Dłoń szeryfa huknęła o ladę jak wystrzał. - Uważaj, co mówisz!

Wszystkie głowy targnęły się w jego stronę. Teasle obejrzał się po nich i uśmiechnął, jak gdyby powiedział coś dowcipnego, i pochylił się nisko, żeby upić kawy. - Będą mieli o czym porozmawiać. Uśmiechnął się i znów pociągnął papierosa, po czym zebrał drobinki tytoniu z języka. Żarty się skończyły. - Słuchaj no, ja nie rozumiem. Twój wygląd - ubranie - włosy i w ogóle. Czy nie wiedziałeś, że wracając tu główną ulicą będziesz się rzucał w oczy niby jakiś czarny? Moi ludzie dali mi znać przez radio w pięć minut po tym, jak wróciłeś.

- Dlaczego tak późno?

- Język - powiedział Teasle. - Raz cię ostrzegłem.

Wyglądało na to, że jeszcze coś powie, ale kobieta właśnie przyniosła Rambowi na wpeł wypełnioną torebkę i rzekła: - Dolar trzydzieści jeden.

- Za co? Za tę odrobinę?

- Przecież miało być z dodatkami.

- Płać i nie gadaj - rzekł Teasle.

Nie wypuściła z rąk papierowej torebki, póki Rambo jej nie zapłacił.

- OK, idziemy - rzekł Teasle.

- Dokąd?

- Tam, dokąd cię zaprowadzę.- Czterema szybkimi łykami opróżnił filiżankę i położył dwadzieścia pięć centów.

- Dziękuję, Merle. - Wszyscy przyglądali się im, kiedy we dwóch szli do drzwi.

- Byłbym zapomniał - rzekł Teasle. - Hej, Merle, jeszcze jedno. Może byś tak oczyściła dno tego dzbanuszka ze śmietanką.

Wóz policyjny stał zaraz u wejścia. - Wsiadaj - rzekł Teasle, skubiąc się za przepoconą koszulę - Cholera, gorąco jak na pierwszy październik. Nie wiem, jak ty możesz znieść tę ciepłą kurtkę.

- Ja się nie pocę.

Teasle popatrzył na niego. - Rzeczywiście. - Upuścił papierosa w kratkę ścieku u krawężnika i wsiedli. Rambo oglądał sobie ruch i przechodniów. Po ciemnym barze jasne słońce go raziło w oczy. Przechodzący koło wozu mężczyzna pomachał do szeryfa, a Teasle do niego, po czym odbił od krawężnika i skorzystawszy z przerwy wpadł w ruch. Tym razem jechał prędko.

Minęli sklep żelazny i plac z używanymi samochodami, przejeżdżali obok starców palących na ławkach cygara i kobiet pchających wózki z dziećmi.

- Popatrz, gdzie te kobiety mają rozum - rzekł Teasle.- Żeby w taki upał dzieciaki wyciągać na dwór.

Rambowi nie chciało się spojrzeć, tylko zamknął oczy i osunął się w tył na oparciu. Kiedy uniósł powieki, wóz gnał pod górę między dwiema skałami i w równe pola, gdzie chyliła się niska kukurydza, obok znaku WYJEŹDŹASZ Z MADISON. Teasle ostro zahamował na zwirowym poboczu i zwrócił się do niego.

- A teraz - powiedział - żeby to było jasne. Nie życzę sobie w moim mieście chłopaka, co wygląda jak ty i nie pracuje. Ani się obejrzę, jak przylezie banda takich kumpelków i zacznie podwędzać coś do żarcia, albo kraść, albo puszczać w obieg narkotyki: Już i tak mam ochotę cię przymknąć za kłopot, na jaki mnie naraziłeś. Ale według mnie taki młodziak, jak ty, ma prawo popełnić błąd! Bo niby twój rozsądek jeszcze się tak nie rozwinął jak u starszych, więc biorę na to poprawkę. Ale jak się jeszcze raz wrócisz, to ja cię tak załatwię, że nie będziesz sam wiedział, czy ci dziurę w dupie przebili, czy wydmuchali, czy wrony ją wydziobały. Czy mówię dość prosto, żebyś zrozumiał? Czy to dla ciebie jasne?

Rambo złapał torebkę z jedzeniem, śpiwór i wysiadł.

- Pytałem cię o coś - rzekł Teasle przez otwarte drzwi po stronie pasażera. - Chcę wiedzieć, czy usłyszałeś jak mówię, że masz tu więcej nie wracać.

- Słyszałem. - rzekł Rambo i zatrasnął drzwi.

- Więc rób, do cholery, co ci kazano!

Teasle nadepnął gaz i wóz policyjny skoczył z pobocza, żwir bryznął, wpadł na gładką, rozprażoną jezdnię. Zawrócił gwałtownie z piskiem opon i pognał do miasta. Tym razem już, mijając go, nie zatrąbił.

Rambo patrzył, jak maleje w oczach i znika na pochyłości za dwiema skałami, a gdy już znikł, rozejrzał się po kukurydzianych polach i odległych górach, i białym słońcu w gołym niebie. Usiadł sobie w rowie, wyciągnął się w bujnej, zakurzonej trawie i otworzył papierową torebkę.

Gówno nie hamburger. Prosił o dużo cebuli, a dostał jedno zgniecione pasemko. Plasterek pomidora był cieniutki i żółty. Bułka przesiąkła tłuszczem, a w mięsie pełno wieprzowych chrząstek; Żując niechętnie, podważał wierzch plastikowego kubka z colą, przepłukał nią usta i połknął. Wszystko przeszło jak słodkawa, wstrętna bryła. Trzeba tej coli oszczędzać, postanowił, żeby starczyło na oba hamburgery i żeby ich nie musiał smakować. Uporawszy się z tym, włożył kubek i dwa kawałki woskowanego papieru z hamburgerów do torby i podpalił to wszystko zapałką. Trzymał i przyglądał się, jak płomień ogarnia torebkę, kalkulując, czy blisko mu dojdzie do ręki, zanim będzie ją musiał puścić. Ogień sparzył go w palce i osmalił włoski na grzbiecie dłoni, wtedy upuścił torebkę na trawę i dał się jej spalić na popiół. Po czym rozdeptał popiół butem i sprawdziwszy, czy całkiem zgasło, rozrzucił go. Jezu, pomyślał. Sześć miesięcy temu wrócił z wojny i wciąż się nie pozbył odruchu niszczenia resztek po tym, co zjadł, żeby nie zostawić po sobie śladu.

Potrząsnął głową. To błąd, że pomyślał o wojnie. Z miejsca sobie przypomniał inne wyniesione z niej nawyki: kłopoty z usypianiem, budzenie się na byle odgłos, konieczność sypiania pod gołym niebem, ciągle żywa pamięć o jamie, w której go trzymano jako więźnia.

- Lepiej myśl o czym innym - powiedział na głos i spostrzegł, że mówi sam do siebie. - To jak będzie? Gdzie teraz? - Popatrzył na drogę w stronę miasta, potem na drogę wiodącą precz od miasta i zdecydował się. Chwycił za sznur u śpiwora, zarzucił go sobie na ramię i znów poszedł w kierunku Madison.

U dołu zбочa nachylonego ku miastu drzewa wyznaczały drogę, pół zielone, a pół czerwone, z liśćmi czerwonymi zawsze na gałęziach zwisających po stronie drogi. Od spalin, pomyślał. Technienie spalin wcześniej je uśmierca.

Wzdłuż drogi leżały, tu i ówdzie martwe zwierzęta, pewnie pozabijane przez samochody, wzdęte i upstrzone w słońcu od much. Najpierw kot, przegowany jak tygrys - wyglądał na sympatycznego - potem cocker spaniel, a dalej królik, wiewiórka. To również zawdzięczał wojnie. Bardziej zauważał wszystko, co martwe. Nie żeby go przerażało. Po prostu z ciekawości, co spowodowało śmierć.

Mijał je idąc prawą stroną szosy, pokazując odstawionym kciukiem, że prosi o podwiezienie. Na ubraniu miał warstwę żółtego pyłu, długie włosy i brodę skołtunione i brudne, przejeżdżający spoglądali na niego i nikt się nie zatrzymał. Dlaczego nie podciągniesz swego wyglądu? pomyślał. Mógłbyś się ogolić i ostrzyć. Zadbaj o ubranie. Od razu by cię podwozili. Właśnie dlatego. Brzytwa to jeszcze jedna rzecz, która by cię zatrzymywała, a na strzyżenie traciłbyś pieniądze, za które można zjeść, a zresztą gdzie się golić? Nie można spać w lesie i wyglądać na jakiegoś tam księcia. Więc po co tak łązić i spać po lasach? Tu zamknęło się w jego myślach błędne koło i znów był na wojnie. Myśl o czymś innym, powiedział sobie. Może by tak zawrócić i odejść? Po co pchać się do tego miasta? Nic takiego tam nie ma. Właśnie dlatego. Mam prawo sam decydować, czy w nim zostanę, czy nie. Nie pozwolę, żeby ktoś za mnie o tym decydował.

Ale ten gliniarz był życzliwszy od innych. Roztropniejszy. Po co mu dogryzać? Posłuchaj go.

Że ktoś do mnie się uśmiecha, wręczając mi torbę z gównem, to jeszcze nie znaczy, że muszę ją przyjąć. Kicham na to, czy on jest życzliwy. Liczy się to, co robi.

Ale ty naprawdę wyglądasz, jakbyś mógł narobić kłopotów. On ma trochę racji.

No to wyglądam. Już mi się to zdarzyło w piętnastu cholernych miastach. A tu będzie ostatnie. Pierdolę to i nie dam się więcej popychać.

Mógłbyś mu to wyjaśnić, nie? Trochę się wytłumaczyć. Czy zależy ci na rozróbie do której to prowadzi? Żeby coś się zaczęło dziać, tak? Żeby mu pokazać, co potrafisz?

Nie muszę się tłumaczyć jemu i nikomu. Po tym, co przeszedłem, mam już prawo się nie tłumaczyć.

Przynajmniej powiedz mu o swoim odznaczeniu i ile cię to kosztowało.

Za późno. Nie da rady już powstrzymać umysłu. Ten krąg się musi zamknąć. I znów był na wojnie.

Teasle czekał na niego. Przejechał obok chłopaka i zaraz popatrzył w lusterko wsteczne i chłopak był w nim odbity, mały i wyraźny. Ale nie ruszał się. Tylko stał przy drodze, jak przedtem, spoglądając za wozem, stał i tyle, coraz to mniejszy, i przyglądał się odjeżdżającemu.

No, co jest, chłopcze? pomyślał Teasle. No, jazda, zabieraj się stąd.

A chłopak nic. Tylko stał i zmniejszał się w lusterku, patrząc za jego wozem. A potem droga do miasta poszła między skałami w dół i Teasle już go nie widział.

Ty chcesz wrócić, jak Boga kocham! uświadomił to sobie nagle, potrząsając głową i krótko zaśmiawszy się. Ty naprawdę chcesz wrócić.

Skręcił w przecznicę na prawo i podjechał nieduży kawałek wzdłuż domów, obitych szarymi deskami, potem w czyjś wyżwirowany podjazd i cofnąwszy się zaparkował przodem do szosy, z której przed chwilą zjechał. Rozparł się niedbale za kierownicą i zapalił papierosa. Wyraz twarzy tego chłopaka. On całkiem na serio chce wrócić. Teasle nie mógł się z tym pogodzić.

Z miejsca, gdzie zaparkował, widział wszystko, co się dzieje na szosie. Ruch był niewielki, jak zwykle w poniedziałki po południu: chłopak nie przejdzie drugą stroną, skryty za przejeżdżającymi samochodami.

Więc Teasle czekał. Jego ulica stykała się z główną w T. Samochody osobowe i ciężarówki przelatowały w obie strony, za nimi chodnik, dalej rzeka wzdłuż gościńca i za nią stary Pałac Tańców w Madison. Skazany miesiąc temu na rozbiórkę. Teasle przypomniał sobie jak w czasach szkolnych dorabiał tam w piątkowe i sobotnie wieczory parkując samochody. Kiedyś o mało nie zagrał tam Hoagy Carmichael, ale właściciele mu nie mogli zapewnić dość wysokiej zapłaty.

I gdzie ten chłopak?

Może nie przyjdzie. Może sobie poszedł.

Ale ten wyraz jego twarzy. Na pewno przyjdzie.

Teasle zaciągnął się głęboko papierosem i spojrzął na zielono-brązowe góry tłoczące się na horyzoncie. Nagle chłodny powiew zapachniał kruchymi liśćmi i zamarł.

- Teasle do posterunku - rzekł w mikrofon swojego radia. - Czy poczta już nadeszła?

Dyżurny od radia na dziennej zmianie, Shingleton, jak zwykle odezwał się natychmiast, głosem trzeszczącym od zakłóceń. - Oczywiście, szefie. Już to panu sprawdziłem. Obawiam się że od pańskiej żony nic nie ma.

- A od adwokata? Albo coś z Kalifornii, tylko nie wpisała nadawcy.

- Też sprawdziłem, szefie. Niestety. Nic.

- Coś, ważnego?

- Tylko jedno światła drogowe się zepsuły, ale już tam wyprawilem ekipę z technicznego.

- Jak tyle, to nie będzie mnie jeszcze kilka minut.

Chłopak irytował go, z tym czekaniem. Chciał już być na posterunku i zatelefonować do niej. Odeszła trzy tygodnie temu i obiecała napisać do dziś, nie później, a nie napisała. Więc nie będzie dbał o daną jej obietnicę, że nie zadzwoni, tylko zatelefonuje i koniec. Może przemyślała to sobie i zmieniła zdanie.

Choć to wątpliwe.

Zapalił drugiego papierosa i zerknął w bok. Sąsiadki na gankach patrzą, co się dzieje. Dość tego, pomyślał. Wyprztyknął papierosa z okna, włączył zapłon i wyjechał na główną drogę rozejrzeć się, gdzie jest, do cholery, ten chłopak.

Nie widać go.

Jasne. Wziął i poszedł, a popatrzył tak, żeby pomyślał, że wróci.

Więc pojechał w stronę posterunku, zadzwonić, i o trzy przecznice dalej, raptem ujrzawszy chłopaka na lewym chodniku, wspartego o barierę z siatki nad rzeką, zaskoczony, przyhamował tak nagle, że jadący za nim samochód rąbnął go z tyłu.

Facet, który go najechał, siedział oszołomiony za kierownicą, z dłonią na ustach. Teasle otworzył drzwi, popatrzył na niego przeciągle i następnie podszedł do chłopaka wspartego o drucianą barierkę.

- Jak przeszedłeś, że cię nie widziałem?

- Czary.

- Wsiadaj.

- Ani myślę.

- To pomyśl jeszcze.

Za samochodem, który stuknął wóz policyjny, gromadziły się dalsze. Kierowca stał już na środku drogi, patrząc na strzaskane tylne światła i potrząsając głową. Drzwi, które otworzył Teasle, sterczały pod kątem aż na sąsiedni pas, hamując ruch. Kierowcy trąbili. Klienci i sprzedawcy wystawiali głowy ze sklepów po drugiej stronie ulicy.

- Słuchaj - rzekł Teasle. - Idę zrobić porządek z ruchem. Jak skończę, ty będziesz w tym wozie.

Popatrzyli na siebie. Za chwilę Teasle był już przy facecie, który go stuknął. Ten wciąż jeszcze głową potrząsał nad wyrządzoną szkodą.

- Prawo jazdy, ubezpieczenie, dowód rejestracyjny - zwrócił się do niego Teasle: - Poproszę. - Podszedł i zatrzasnął drzwi swego wozu.

- Kiedy ja nie miałem szansy zahamować.

- Jechał pan za blisko.

- Ale pan za szybko przyhamował.

- To nie gra roli. Przepisy mówią, że wina jest zawsze tego, kto z tyłu. Jechał pan za blisko, więc nieostrożnie.

Nie będę z panem dyskutował - oznajmił Teasle. - Proszę mi dać swoje prawo jazdy, kwit na ubezpieczenie i dowód rejestracyjny. - Spojrzął w kierunku, gdzie stał chłopak, a chłopaka oczywiście nie było.

Rambo szedł sobie otwarcie, nigdzie nie wstępując, aby zaznaczyć, że nie próbuje się kryć. Teasle mógł na tym poprzestać i dać mu spokój: a jakby nie, to znaczy, że już sam Teasle będzie się napraszać o kłopot, a nie on.

Szedł lewym chodnikiem, patrząc w dół na rzekę w słońcu, szeroką i bystrą. Za rzeką stał jaskrawo żółty, świeżo wypiskowany budynek z balkonami nad wodą i napisem na szczycie: MADISON HISTORIC HOTEL. Rambo spróbował sobie wyobrazić, co może być historycznego w budynku wyglądającym, jakby go postawiono w ubiegłym roku.

W centrum miasta skręcił w lewo na wielki, pomarańczowy most, sunąc ręką po gładkiej, ciepłej farbie na metalowej poręczy, aż przeszedł pół jego długości. Tu przystanął, aby spojrzeć na wodę. Popołudnie było rozprażone, woda bystra i chłodna z wyglądu.

Tuż obok przyspawano do poręczy automat ze szklanym wierzchem, pełen gumy do żucia w kulkach. Wyjął z dzinsów centa i już miał go wrzucić, ale w porę się wstrzymał. Pomyłka... to nie guma do żucia. Automat wypełniały ziarniste kulki pokarmu dla ryb. Na wprasowanej w niego metalowej płycie przeczytał: PROSZĘ NAKARMIĆ RYBY. 10 CENTÓW. DOCHÓD PRZEZNACZA SIĘ NA KORPUS MŁODZIEŻY W BASALT COUNTY. MŁODZIEŻ W ZAJĘCIACH SWYCH ZNAJDUJE SZCZĘŚCIE.

A jakże, pomyślał Rambo. Kto rano wstaje, pierwszy w łeb dostaje.

Znów popatrzył w wodę. Po niedługim czasie usłyszał, że ktoś podchodzi. Nie zadał sobie trudu spojrzenia, kto to.

- Wsiadaj do samochodu.

Rambo zapatrzył się w wodę.

- Popatrz, ile tych ryb - odezwał się. - Na pewno parę tysięcy. Jak się nazywa ta duża, złota? Chyba nie prawdziwa złota rybka. Za duża.

- Pstrąg palomino - usłyszał za sobą. - Wsiadaj.

Rambo dalej wpatrywał się w wodę. - To musi być nowa rasa. Nie słyszałem o takich.

- Ej, chłopcze, mówię do ciebie. Patrz na mnie.

Ale Rambo nie spojrzał.

- Dużo ryb się nałowiłem w życiu - rzekł patrząc w dół. - Kiedy byłem młody. Ale teraz już większość rzek jest odłowiona albo zatruta. Czy tutaj miasto ją zarybia? Czy dlatego w niej tyle ryb?

Rzeczywiście dlatego, pomyślał Teasle. Władze miejskie zarybiały tę rzekę, odkąd pamiętał. Ojciec go tu często przyprowadzał i przyglądali się, jak pracownicy stanowej wylęgarni narybku robią swoje. Z ciężarówki dźwigali wiadra w dół po zboczach do rzeki, pogrążali je w wodzie i dawali się wymknąć rybkom długim jak męska dłoń, śliskim i nieraz w kolorach tęczy.

- Jezu Chryste, spójrz na mnie! - powiedział Teasle.

Rambo poczuł, że go chwyta za rękaw. Wyszarpnął się.

- Ręce przy sobie - rzekł patrząc na wodę. Poczuł, że dłoń znów go chwyta i tym razem nagle się odwrócił. - Powiedziałem ci! - rzekł. - Ręce przy sobie!

Teasle wzruszył ramionami. - Jak wolisz nie po dobremu, to proszę. Dla mnie może być. - Odczepił kajdanki z pasa od pistoletu. - Daj ręce.

Rambo trzymał je zwieszane, u boku.

- Ja mówię poważnie. Daj mi spokój.

Teasle się roześmiał.

- Poważnie? - rzekł i zaśmiał się. - Ty mówisz poważnie? Chyba nie zrozumiałeś, że ja też mówię poważnie. Prędzej czy później wsiądziesz do tego wozu. Pytanie tylko, ile siły będę musiał użyć, zanim to zrobisz. - Oparł lewą dłoń na kolbie pistoletu i uśmiechnął się. - To nic wielkiego wsiąść do samochodu. Może lepiej nie tracić poczucia proporcji, nie uważasz?

Przechodnie zerkali na nich ciekawie.

- Ty byś to wyciągnął - rzekł Rambo, przypatrując się jego dłoni na kolbie. - Z początku wydawało mi się, że jesteś inny. Teraz widzę, że nie, spotykałem już takich kopniętych.

- To masz jeden punkt przewagi nade mną - powiedział Teasle. - Bo ja nigdy nie spotkałem czegoś takiego jak ty. - Przestał się uśmiechać i jego wielka dłoń zacisnęła się na kolbie pistoletu.

- Już.

No i stało się, stwierdził Rambo. Jeden z nich musi ustąpić, albo szeryfowi się coś stanie. Coś złego. Wpatrywał się w jego dłoń na pistolecie, tkwiącym na razie w pochwie, i myślał: Ty pieprzony, głupi gliniarzu, zanim byś go wyciągnął, mógłbym ci ułamać obie ręce i nogi w stawach. Mógłbym ci grdykę rozkwasić na miazgę i wyrzucić twoje ścierwo za poręcz. Dopiero by się rybki pożywiły.

Ale nie za to, powiedział sobie nagle, nie za to. Że tylko pomyślał, co mógłby zrobić z Teaslem, to wystarczyło, aby zaspokoił swój gniew i opanował się. Dawniej by się nie potrafił tak opanować i myśląc, że teraz może, też poczuł się lepiej. Sześć miesięcy temu, kiedy wyszedł ze szpitala po rekonwalescencji, nie umiał się powstrzymać. W barze w Filadelfii pchał się ciągle przed niego jakiś facet, żeby zobaczyć, jak brązowa dziewczyna zdejmuje majtki, więc złamał mu nos. W miesiąc później, w Pittsburgu, rozplątał gardło Murzynowi, kiedy spał nocą w parku nad jeziorem i ten dryblas sięgnął po nóż. Murzyn był z kumplem, który próbował uciec i Rambo gonił za nim przez cały park, aż wreszcie go dopadł, starającego się uruchomić swój kabriolet.

Nie, powiedział sobie, nie za to. Już uspokój się, wszystko w porządku.

Z kolei on się uśmiechnął. - Dobrze - powiedział - możemy się jeszcze raz przejechać. Ale to nic nie da. Po prostu znów przyjdę do tego miasta.

Posterunek mieścił się w starym budynku szkolnym. I do tego czerwonym, pomyślał Rambo, kiedy Teasle wjeżdżał na położony z boku parking. Mało się go nie spytał, czy pomalowanie szkoły na czerwono to był czyjś żart, ale wiedział, że skończyły się żarty i pomyślał: czy nie lepiej się jakoś ugadać, wypłatać się z tego?

W ogóle nie podoba mi się ta miejscowość. Nawet nie byłes jej ciekaw. Gdyby cię Teasle nie zgarnął, minąłbyś ją i poszedł własną drogą.

Żadna różnica.

Betonowe stopnie wznoszące się ku wejściu na posterunek wydały mu się nowe, z pewnością nowe były lśniące drzwi z aluminium, a w środku jasny, biały pokój zajmował całą szerokość budynku i pół jego długości, czuć było w nim terpentyną. Wypełniały go w szachownicę biurka i tylko dwa z nich zajęte: przy jednym policjant pisał na maszynie, a przy drugim inny rozmawiał przez dwukierunkowe radio, umieszczone pod ścianą w głębi na prawo. Obaj przerwali na jego widok i już wiedział, co dalej.

- A to ci żalony widok - przemówił ten od maszyny.

Zawsze to samo. - Oczywiście - wpadł mu w słowo Rambo.

A teraz powiesz: kto ja jestem, dziewczyna czy chłopak? A następnie powiesz: jeśli nie mam pieniędzy, żeby się wykapać i ostrzyć, to możesz zorganizować dla mnie zbiórkę.

- Nie wyglądasz mi się nie podoba - rzekł Teasle - tylko jezor. Shingleton, masz dla mnie coś nowego?- spytał tego od radia. Policjant siedział wielki i zwalisty. Miał twarz niemal dokładnie prostokątną, zadbane baczki, sięgające trochę poniżej uszu. - Kradzież samochodu - powiedział.

- Kto się zajmuje?

- Ward.

- A to w porządku - rzekł Teasle i zwrócił się do Ramba. - Idziemy. Pora z tym skończyć.

Przez pokój i korytarzem przeszli na tył budynku. Kroki i głosy dolatywały z otwartych drzwi po obu stronach, w większości pokoiów. Urzędnicy, w innych policjanci. Korytarz lśnił białością i mocniej zajeżdżał terpentyną, a kończył się rusztowaniem pod brudnozieloną częścią sufitu, jeszcze nie pomalowaną. Rambo przeczytał napis przyklejony taśmą do rusztowania: BIAŁA FARBA SKOŃCZYŁA SIĘ ALE JUTRO DOSTANIEMY WIĘCEJ I MAMY JUŻ NIEBIESKĄ DO ZAMALOWANIA CZERWONEGO NA ZEWNĄTRZ.

Po czym Teasle otworzył drzwi do gabinetu na samym końcu korytarza i Rambo na chwilę przystanął.

Czy aby na pewno chcesz to pociągnąć? zadał sobie pytanie. Jeszcze nie za późno, żebyś spróbował to zagadać i wykrećić się z tego.

Z czego? Nie zrobiłem nic złego.

- No jazda, włącz - ponaglił go Teasle. - Na to właśnie sobie zapracowałeś.

Że nie wszedł od razu, to błąd. Zatrzymanie się u drzwi wyglądało, jak gdyby się przestraszył, a tego nie chciał. Teraz jeśli wejdzie, gdy mu Teasle rozkaże wejść, to jakby go posłuchał, a tego też nie chciał. Wszedł, zanim Teasle miał okazję powtórzyć rozkaz.

Sufit omal nie przygniół mu głowy, aż poczuł się tak ciasno, że byłby się schylił, ale powstrzymał się. Dywan na podłodze był zielony i wydeptany, jak trawa przystrzyżona za blisko ziemi. Z lewej za biurkiem widniała gabłota z bronią krótką. Skupił się na Magnum kalibru 44 i przypomniał je sobie z obozu treningowego Sił Specjalnych: najpotężniejsza broń krótka, jaka istnieje, zdolna przebić stal 5-calową albo powalić słonia, ale tak strasznie kopiająca, że on sam nigdy jej nie lubił używać.

- Siądź na tej ławce, synu - rzekł Teasle. - Najpierw podaj mi swoje nazwisko.

- Mów mi synu - rzekł Rambo.

Ławka stała pod ścianą z prawej. Oparł o nią śpiwór i usiadł, trzymając się nadzwyczaj sztywno i prosto.

- Teraz, chłopcze, to wszystko już nie do śmiechu. Pytam cię o nazwisko.

- Wołają też na mnie chłopcze. Możesz do mnie i tak mówić, jak zechcesz.

- Mogę - odpowiedział Teasle - i będę. Doszliśmy do tego, że jestem gotów mówić na ciebie w każdy pieprzony sposób, w jaki tylko mi się spodoba.

Chłopak irytował go nie do wytrzymania. Byle pozbyć się go jak najprędzej, żeby zadzwonić! Jest czwarta trzydzieści, to licząc przesunięcie czasu, która to będzie w Kalifornii, trzecia trzydzieści, druga trzydzieści, pierwsza trzydzieści. Teraz może jej nie być u siostry. Mogła wybrać się z kimś na lancz. Ciekawe z kim. I

dokąd. Właśnie dlatego tracił tyle czasu na chłopaka: bo pilno mu było zadzwonić. Nie wolno dopuścić, żeby własne kłopoty przeszkadzały w robocie. Tu nie miejsce dla spraw rodzinnych. A jeśli problemy osobiste sprawiają, że zaczynasz odwalać coś aby szybciej, to bierzesz na wstrzymanie i załatwiasz sprawę jeszcze staranniej.

W tym wypadku zasada się może sprawdzi. Chłopak nie chce podać nazwiska: a jedyny powód, kiedy ludzie nie chcą podawać nazwisk, to że coś przeskrobali i boją się sprawdzenia w kartotece zbiegłych. Może to być coś poważniejszego niż to, że po prostu chłopak się stawia.

Dobrze, nie ma pośpiechu, on to zbada. Przysiadł na rogu biurka, naprzeciw chłopaka siedzącego na ławce, i spokojnie zapalił papierosa.

- Zapalisz? - spytał.

- Nie palę.

Teasle skinął głową i zaciągnął się z wolna. - Spróbujemy jeszcze raz. Jak się nazywasz?

- Nie twoja sprawa.

Mój ty Boże, pomyślał Teasle. Wbrew samemu sobie odepchnął się od biurka i zrobił ku niemu parę kroków.

Tylko powoli, nakazał sobie. Łagodnie. - Chyba tego nie powiedziałaś. Niemożliwe, żebym to usłyszał.

- Słyszałeś mnie dobrze. Jak się nazywam, to moja sprawa. Nie podałeś mi powodu, żeby i twoja.

- Mówisz do szefa policji.

- To nie powód.

- To najlepszy powód na świecie - odparł i poczekał, aż gorąco mu odpłynie z twarzy. Znow jak najspokojniej: - Daj mi swój portfel.

- Nie noszę.

- Więc jakieś dowody osobiste.

- Też nie noszę.

- Ani prawa jazdy, ani ubezpieczenia, ani, karty powołania, ani metryki, ani...

- Właśnie - przerwał mu chłopak.

- Nie ze mną te numery. Wyciągaj dokumenty.

Tym razem chłopak nawet nie pofatygował się, żeby na niego spojrzeć. Odwrócony do gabloty z bronią, wskazał na medal ponad szeregiem odznaczeń myśliwskich.

- Wojskowy Krzyż Zasługi. Musiałeś im zadać bobu w Korei, co?

Było to drugie z rzędu najwyższe odznaczenie, jakie mógł dostać, wyższe niż brązowa gwiazda, srebrna gwiazda, niż Purpurowe Serce, Lotniczy Medal Zasługi i Wojskowy Medal Zasługi. Wyższy od niego był jedynie Congressional Medal of Honor. Dla starszego sierżanta Korpusu Piechoty Morskiej Wilfreda Logana Teasle. Za wyróżniające się i mężne dowodzenie pod ogniem przeważających sił wroga, stwierdzono w rozkazie. Walki nad zalewem Choisin 6 grudnia 1950. Miał wówczas dwadzieścia lat i nie pozwoli, żeby z tego pokpiwał jakiś pętaś, chyba niewiele starszy.

- Wstać. Mam dość powtarzania ci wszystkiego dwa razy. Wstań i wywróć kieszenie.

Chłopak wzruszył ramionami i nie śpiesząc się wstał. Wyciągnął jedną kieszeń dzinsów, potem drugą, i okazały się puste.

- Zapomniałeś o kieszeniach kurtki - rzekł Teasle.

- Rzeczywiście.

Kiedy je wyciągnął, pokazały się 2 dolary 23 centy i kartonik zapalek.

- Co tu robisz zapalaki? - rzekł Teasle. - Mówiłeś, że nie palisz.

- Rozpalam ogień i gotuję sobie jedzenie.

- Przecież nie masz roboty ani pieniędzy. Skąd bierzesz jedzenie do gotowania?

- Co mam ci powiedzieć? Że kradnę?

Teasle spojrział na jego śpiwór, oparty z boku o ławkę, domyślając się, gdzie chowa dokumenty. Rozwiązał go i rzucił rozwijając na podłogę. W środku była czysta koszula i szczoteczka do zębów. Kiedy zaczął obmacywać koszulę, chłopak powiedział: - Ej, prasowanie zajęło mi dużo czasu, nie pognieć. - I Teasle raptem poczuł, że ma go dość.

Przycisnął guzik interkomu na biurku.

- Shingleton, widziałeś tego chłopaka, jak go przyprowadziłem. Nadaj przez radio rysopis do policji stanowej.

Powiedz, że zależy mi na identyfikacji najprędzej, jak tylko mogą. Przy okazji sprawdź, czy nie pasuje do

jakiegoś rysopisu w naszej kartotece. Nie ma pracy ani pieniędzy, mimo to wygląda na niezłe odżywnionego. Chciałbym się dowiedzieć, jakim sposobem.

- Więc idziesz na całość - powiedział chłopak.

- Mylisz się. Nie ja tu idę na całość.

U sędziego pokoju była klimatyzacja. Trochę buczała i grzechotała od czasu do czasu, a ziębiła tak mocno, aż Rambo dygotał. Mężczyzna za biurkiem był opatulony w za duży niebieski sweter. Tabliczka na drzwiach informowała, że nazywa się Dobzyn.. Żuł tytoń, ale tylko spojrzał na wchodzącego Ramba i przestał żuć.

- A niech mnie - powiedział i odepchnął swe skrzypiące obrotowe krzesło na rolkach od biurka. - Jak telefonowałeś, Will, trzeba mi było powiedzieć, że cyrk zjechał do miasta.

Nigdy się nie obeszło bez tych uwag. Nigdy. Sprawa się coraz bardziej wymyka spod kontroli; wiedział, że lepiej byłoby czym prędzej ustąpić, że mogą narobić mu wiele kłopotów, jeśli nie ustąpi. Ale znowu mu wciskają to gówno, nie darują sobie, a on, Jezusie, nie będzie tego przeżywał.

- Posłuchaj, synu - mówił Dobzyn. - Naprawdę muszę cię o coś zapytać. - Twarz miał bardzo okrągłą. Mówiąc przesuwając w ustach prymkę na jedną stronę i ten policzek mu się wydymał. - Patrzę, jak te młodziaki w telewizji demonstrują, awanturują się i różne takie, i zawsze

- Ja nie demonstruję.

- Nęka mnie to pytanie, chciałbym wiedzieć: czy kark od tych włosów nie swędzi?

Zawsze to samo pytanie.

- Tylko z początku.

Dobzyn podrapał się w brew i przemyślał sobie tę odpowiedź.

- No tak, sądzę, że można się przyzwyczaić prawie do wszystkiego, jak człowiek się uprze. A broda? Nie swędzi w takim upale?

- Czasami.

- Wobec tego co cię napadło, żeby ją zapuszczać?

- Mam na twarzy wysypkę i nie powinienem się golić.

- Inaczej mówiąc - odezwał się u drzwi Teasle - że tyłek mnie boli, więc go nie podcieram.

- Chwileczkę, Will. Może on mówi prawdę.

- Nie mówię - wyrwał się Rambo.

- Więc po co to mówisz?

- Bo mam dość ludzi wypytyjących mnie, dlaczego zapuszczam brodę.

- A dlaczego ją zapuszczasz?

- Bo mam na twarzy wysypkę i nie powinienem się golić.

Dobzyn wyglądał, jakby ktoś mu dał w gębę. Klimatyzacja warknęła i zagrzechotała.

- No, no - przemówił z cicha, przeciągając wyrazy. - Chyba sam się nadziałem. Co, Will? Śmiesznie dałem się złapać. - Próbował zachichotać.

- Ale mnie złapał. Sam się o to prosiłem. No tak. - Znów pożał tytoń. - Więc o co jest oskarżony, Will?

- Z dwóch paragrafów. Włóczęgostwo i stawianie oporu przy aresztowaniu. Ale to na razie, żeby potrzymać go, aż sprawdzimy, czy nie jest poszukiwany. Ja przypuszczam, że popełnił gdzieś kradzież.

- Najpierw zajmiemy się włóczęgostwem. Przyznajesz się, synu?

Rambo zaprzeczył.

- Czy pracujesz gdzieś? Masz ponad dziesięć dolarów?

Rambo znów zaprzeczył.

- Więc nie ma rady, synu. Jesteś włóczęgą. Będzie cię to kosztowało pięć dni aresztu albo pięćdziesiąt dolarów grzywny. Co wolisz?

- Przecież powiedziałem, że nie mam dziesięciu dolarów, to skąd, u diabła, wezmę pięćdziesiąt?

- Tu jest sąd - rzekł Dobzyn, pochylając się raptem do przodu. - Nie będę w sądzie tolerował nieprzyzwoitego języka. Jeszcze jedna odzywka i skażę cię za obrazę sądu. - Po dłuższej chwili znów się oparł i zaczął żuć, zastanawiając się. - I tak będę zmuszony, jak sądzę, wziąć pod uwagę twoje zachowanie się, wydając wyrok. Choćby to stawianie oporu.

- Jestem niewinny

- Nie pytałem cię o to. Zaczekaj, aż spytam. Więc jak to było ze stawianiem oporu, Will?

- Zatrzymałem go za autostop i nawet mu pomogłem, podwożąc za miasto. Uznałem, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli pójdzie sobie dalej i tyle. - Teasle oparł się biodrem o skrzypiącą barierkę, oddzielającą sąd od poczekalni przy drzwiach. - Ale on wrócił.

- Miałem do tego prawo.

- Więc po raz drugi go wywiozłem z miasta i znowu wrócił, a jak mu kazałem wsiąść do wozu policyjnego, odmówił. Ustąpił dopiero, gdy mu zagroziłem użyciem siły.

- Wydaje ci się, że wsiadłem, bo zląkłem się ciebie?

- Nie chce podać nazwiska.

- A dlaczego miałbym to robić?

- Twierdzi, że nie ma żadnych dokumentów.

- A po cholere mi one?

- Słuchajcie, ja nie będę tu siedział do rana i patrzył, jak wy się wyklóacie - oznajmił Dobzyn. - Żona mi się rozchorowała i miałem być w domu o piątej, żeby dzieciom przygotować obiad. Już się spóźniłem. Trzydzieści dni aresztu albo dwieście dolarów grzywny. Co wolisz, synu?

- Dwieście? Jak Boga kocham, przecież powiedziałem ci, że nie mam nawet dziesięciu.

- Wobec tego trzydzieści pięć dni aresztu - rzekł Dobzyn i dźwignął się z krzesła, rozpinając sweter. - Już miałem ci anulować pięć dni za włóczęgostwo, ale twoje zachowanie się jest nie do przyjęcia. Muszę iść. Zrobiło się późno.

Klimatyzacja zaczęła bardziej grzechotać niż buceć i Rambo sam nie wiedział, czy dygoce z zimna, czy ze wściekłości.

- Hej, Dobzyn - rzekł, zatrzymując go w przejściu. - W dalszym ciągu czekam na pytanie, czy jestem winien stawiania oporu przy aresztowaniu.

Tym razem drzwi po obu stronach korytarza były pozamykane. Minął rusztowanie malarskie w głębi korytarza i skierował się do gabinetu szeryfa.

- Nie, teraz już nie tędy - rzekł Teasle. Wskazał mu ostatnie drzwi po prawej, z małym, zakratowanym okienkiem u góry, i sięgnął ręką z kluczem, by je otworzyć, kiedy spostrzegł, że są uchylone na ćwierć cala. Z obrzydzeniem potrząsnął na to głową, rozwarł je pchnięciem na oścież i wskazał gestem, że Rambo ma przez nie wejść na schody o żelaznej poręczy i betonowych stopniach, biegnących w dół, z jarzeniówkami na suficie. Gdy Rambo się tam znalazł, Teasle wszedł za nim, zamknął drzwi na klucz i obaj ruszyli na dół, a ich kroki szurały po betonie i rozlegały się echem.

Rambo usłyszał syk wody, zanim zszedł do piwnicy. Mokra betonowa podłoga odbijała blask jarzeniówek, a w głębi chudy policjant zmywał węzem podłogę w celi. Woda spływała przez kraty i do ścieku. Na ich widok zakreślił kurek. Strumień wody zatoczył wielki łuk i nagle ustał.

Głos szeryfa rozległ się echem.

- Galt. Dlaczego drzwi na górze znów nie zamknięte?

- Co... nie przekreśliłem? I tak nie ma żadnego więźnia. Ostatni się właśnie obudził i wypuściłem go.

- Nieważne, są czy nie ma ich. Jak się przyzwyczaisz zostawiać otwarte, bo nie ma więźniów, to już tylko patrzeć, jak zaczniesz zapominać o ich zamykaniu, mimo że ktoś tu będzie. I dlatego wymagam, żeby tak czy owak były zamknięte na klucz. Rozumiesz? Wolałbym ci tego nie mówić - może i ciężko przyzwyczaić się do nowego zajęcia i nabrać w nim rutyny - ale jeśli prędko jej nie nabierzesz, może ja będę zmuszony rozejrzeć się za kimś innym.

Rambowi było tu zimno, jak u Dobzyna, aż dygotał. Światła na suficie wisały mu tuż nad głową: jednak wydawało się ciemno. Żelazo i beton. Cholera, po co dał się tu przyprowadzić? Trzeba było, jak wracali z sądu, załatwić szeryfa i przysnąć. Wszystko, nawet ukrywanie się, byłoby lepsze od trzydziestu pięciu dni spędzonych w tym lochu.

A czego się, u diabła, spodziewałeś? pomyślał. Sam się o to napraszałeś, może nie? Byle nie ustąpić.

Bo nie chciałem ustąpić. I dalej nie chcę. Że mnie zamkną, to jeszcze nie koniec. Będę walczył, ile się tylko da. Jak przyjdzie czas mnie wypuścić, to aż się zesra, tak mu będzie pilno pozbyć się mnie.

Akurat będziesz walczył. Koń by się uśmieł. Spojrzał na siebie. Już cały się trzęsiesz. Wiesz, co ci to przypomina. Po dwóch dniach w tej klatce będziesz lał w spodnie.

- Zrozum, że ja tu nie mogę zostać. - Wymknęło mu się. - Ta wilgoć. Ja nie mogę być zamknięty w mokrym.

W jamie, pomyślał i poczuł mrowienie w czaszce. Pod bambusową kratą. Woda sączy się z błota, ziemia po bokach się obsuwa, lepka maź po kostki, w której próbuje spać.

Powiedz mu to, na Boga.

Pierdol się. Znaczy, idź go błagać!

Oczywiście. Teraz, jak już za późno, chłopak opamiętał się i chciałby się z tego wyłgać. Teasle, aż się skręcał, jakie to wszystko było niepotrzebne, jak ten chłopak robił, co tylko mógł, żeby się tu wpakować.

- Ciesz się, że jest mokro! - powiedział. - Że wszystko splukane. Na koniec tygodnia zawsze mamy pijaków i w poniedziałki, jak się ich stąd wykopie, wszystko jest obrzygane, aż do ścian włącznie.

Rozejrzał się po celach, które z wodą na podłodze wyglądały czysto, aż blask od nich szedł. - Tych drzwi na górze wprawdzie nie zamykasz, Galt - zwrócił się do niego - ale w celach to jest na medal. Byłbyś tak dobry pójść na górę i przynieść dla tego chłopaka pościel i odzież? Ty! - zwrócił się do chłopaka. - Środkowa cela będzie w sam raz. Wejdz, zdejmij buty, spodnie i kurtkę. Zostań w skarpetkach, bieliźnie i podkoszulku. Pościągaj biżuterię, jak masz, łańcuszek z szyi, zegarek... Galt, czego się gapisz?

- A nie.

- Kazałem ci przynieść te rzeczy.

- Tak sobie patrzyłem. Już idę. - Wbiegł na schody.

- Nie powiesz mu jeszcze raz, żeby dobrze zamykał drzwi? - zapytał chłopak.

- Nie ma potrzeby.

Teasle posłuchał szczęku drzwi otwieranych z klucza. Zaczekał aż usłyszał, że Galt je zamyka z tamtej strony. - Zaczynij od butów zwrócił się do chłopaka.

Jakżeby inaczej? Chłopak zdjął kurtkę.

- Znow to samo. Powiedziałem, żebyś zaczął od butów.

- Podłoga jest mokra.

- I powiedziałem, żebyś tam wszedł.

- Dopiero jak będę musiał, nie wcześniej. - Złożył kurtkę, przyjrzał się mokrej podłodze i umieścił kurtkę na schodach. Obok niej postawił buty, zdjął dzinsy, złożył je i umieścił na wierzchu kurtki.

- Co za wielką bliznę masz nad lewym kolaniem? - zapytał Teasle. - Co to było?

Chłopak nie odpowiedział.

- Wygląda jak blizna od kuli - rzekł Teasle. - Skąd masz ten postrzał?

- Ta podłoga moczy mi skarpetki.

- To je zdejmij.

Teasle musiał cofnąć się, żeby nie dostać nimi.

- A teraz podkoszulek.

- Po co? Dalej szukasz moich dokumentów?

- Powiedzmy, że chcę cię dokładnie zrewidować. Czy nie ukrywasz czegoś pod pachami.

- Co na przykład? Narkotyki? Trawka?

- Kto wie. Zdarzało się.

- Nie u mnie. Ja z tym dawno skończyłem. Przecież, do cholery, prawo tego zabrania.

- Bo się uśmieję. Masz zdjąć podkoszulek i tyle.

Raz przynajmniej chłopak posłuchał. Oczywiście najwolniej, jak tylko mógł. Mięśnie brzucha miał wyrobione, a na piersiach trzy proste blizny.

- A te skąd? - zdziwił się Teasle. - Od noża. Właściwie co ty u diabła nawyprawiałeś?

Chłopak zmrużył oczy do światła i nie odpowiedział. Na piersiach miał wielki trójkąt czarnych włosów. Dwie z tych blizn przecinały go.

- Podnieś ręce i obróć się - rzekł Teasle.

- To niepotrzebne.

- Gdyby istniał szybszy sposób na to, żeby cię zrewidować, bądź pewien, że ja bym go znalazł. Teraz się obróć.

Cały grzbiet chłopaka pokryty był tuzinami drobnych, poszarpanych blizn.

- Jezu Chryste, co tu się dzieje? - rzekł Teasle - od bicza. Kto cię chłostał?

Chłopak wciąż nie odpowiadał.

- No... to się dowiemy ciekawych rzeczy, jak policja stanowa przyśle o tobie raport.

Zawahał się. Przyszła kolej na to, co nieprzyjemne.

- Dobra, teraz opuść spodnie.

Chłopak spojrzał na niego. Patrzył i patrzył.

- Nie rób takich wstydliwych oczu - rzekł Teasle, sam brzydząc się tego. - Każdy musi to przejść i każdy jak był dziewicą, tak i jest, kiedy z nim skończą. Weź i opuść spodenki. Wystarczy. Tylko do kolan. Nie zależy mi na oglądaniu cię więcej, niż to konieczne. Weź to i podnieś, chcę zajrzeć, czy nie ma tam czegoś. Nie dwiema rękami. Jedną. Tylko czubkami palców.

Nie zbliżając się zbyt, Teasle nachylił się i obejrzał mu pachwinę z kilku stron. Jądra były związane i podciągnięte. A teraz to najgorsze. Mógłby się wyręczyć kimś takim jak Galt, ale nie lubił zwać na kogoś brudnych robót. - Stań tyłem i nachyl się.

Chłopak dopiero się spojrzał.

- Idź pobaw się, kochasiu, z kim innym. Ja nie będę więcej tego znosił.

- Owszem, będziesz. Poza tym, co mogłeś sobie tam schować, twoja dupa nie interesuje mnie. Rób, co mówię. Teraz sięgnij do tyłu i rozchyl sobie pośladki. No już, dla mnie to nie jest miły widok. O, właśnie tak. Powiem ci, że jak pracowałem w Louisville, trafiłem na więźnia, który wsadził tam sobie trzycalowego majchra w skórzanej pochwie. Do dzisiaj zachodzę w głowę, jak on mógł z tym usiąść.

Na gorze Galt szczykał kluczem i otwierał drzwi.

- W porządku, jesteś czysty - rzekł Teasle do chłopaka. - Podciągnij spodenki.

Teasle posłuchał, jak Galt zamyka drzwi na górze i przekręca klucz, a potem Galt zszedł szurając po betonowych stopniach. Przyniósł wyblakły dżinsowy kombinezon, cienki materac, gumowaną płachtę i szary koc. Spojrzał na chłopaka, stojącego tylko w spodenkach, i rzekł do szeryfa: - Właśnie zadzwonił Ward w sprawie ukradzionego samochodu. Znaleźli go w tych północnych kamieniołomach.

- Daj mu znać, żeby tam został, a Shingletonowi powiedz, niech się zwróci do stanowej policji o przysłanie ludzi, żeby wzięli odciski palców.

- Shingleton już ich wezwał.

Galt wszedł do celi, a chłopak ruszył za nim, kłapiąc bosymi stopami po zalanej wodą podłodze.

- Jeszcze nie - zatrzymał go Teasle.

- Zdecyduj się. Najpierw każesz mi tam wejść. Potem każesz nie wchodzić. Ciekaw jestem, czego ty właściwie chcesz?

- Chcę, żebyś poszedł i wziął prysznic, o tam, na końcu. I chcę, żebyś zdjął te majtki, a potem się dobrze umył, zanim przebierzesz się w nasz czysty uniform. I pamiętaj, żebyś dokładnie umył te swoje kudły. Bo chcę mieć pewność, że są czyste, zanim ich dotknę.

- Co znaczy: dotknę?

- Żeby ostrzyc.

- Co ty wygadujesz? Nie będziesz mnie strzygł. Nie tkniesz mojej głowy żadnymi nożyczkami!

- Powiedziałem ci, że każdy musi to przejść. Każdy, od takiego, co ukradł samochód, aż do pijaka, jest rewidowany tak samo jak ty, bierze prysznic i jak ma długie włosy, to się go strzyże. Dajemy ci czysty materac i nie życzymy sobie, żebyś go nam zwrócił z dodatkiem kleszców i pcheł, których nazbierałeś sypiając po stodołach, w polu i Bóg wie gdzie.

- Nie będziesz mnie strzygł.

- Mogę ci załatwić drugie trzydzieści pięć dni odsiadki, jakbym nabrał ochoty. Bardzo ci zależało, aby się tutaj dostać. Teraz czeka cię cała reszta. Nie lepiej się z tym pogodzić? Będzie nam obu łatwiej. Galt, może byś tak z góry przyniósł nożyczki, krem do golenia i brzytwę?

- Zgadzą się tylko na prysznic - rzekł chłopak.

- Na razie może być. Wszystko po kolei.

Kiedy chłopak ruszył z wolna pod prysznic, Teasle przyjrzał się znów śladom chłosty na jego plecach. Niedługo szosta. Policja stanowa się wkrótce odezwie.

Pomyślawszy, która to godzina, odliczył sobie do trzeciej w Kalifornii, wahając się, czy zadzwonić. Gdyby się rozmyśliła, już by się do niego odezwała. Więc jeśli on zadzwoni, to będzie tylko presja i ona się tym bardziej odsunie. Jednak trzeba spróbować. Może później, kiedy już się upora z chłopakiem, zadzwoni do niej, ot tak, porozmawiać, nie wspominając w ogóle o rozwodzie.

I kogo ty chcesz nabrać? Pierwsze, co spytasz, to czy się nie rozmyśliła.

Pod natryskiem chłopak odkręcił prysznic.

Jama była głęboka na trzy metry, a tak wąska, że ledwie mógł usiąść w niej z wyciągniętymi nogami. Wieczorem przychodzili czasem z latarkami, żeby przyjrzeć mu się z góry przez bambusową kratę. Odsuwali ją zawsze

skoro świt i wyciągali go do roboty. To był ten sam obóz w dżungli, gdzie torturowali go, te same chatki ze strzechami i jaskrawe, zielone góry. Z początku nie rozumiał, po co mu opatrują rany, kiedy jest nieprzytomny: te cięcia na piersi, gdzie oficer wbijał mu raz po raz cienki nóż i ciągnął nim w poprzek, zgrzytając po żebrach; i poszarpane plecy, gdzie oficer czał się, aby nagle smagnąć. I znów. Nogi miał ciężko owrzodzone, ale gdy ostrzelano jego oddział i dostał się do niewoli, kość okazała się nietknięta, tylko mięśnie uda, i po jakimś czasie mógł wreszcie kuśtykać.

Teraz już go nie przesłuchiwali, nie grozili, nawet się nie odzywali do niego. Co ma robić, zawsze pokazywali gestem: wylać kubek, kopać latryny, rozpaść ogień. Domyślał się, że ich milczenie to kara za udawanie, że nie rozumie ich języka. Dobiegały go jednak w tej dziurze, po nocach, strzępki rozmów i przekonał się, że nawet i nieprzytomny nie powiedział im, co chcieli wiedzieć. Po tej zasadzce kiedy i on wpadł, reszta oddziału widać osiągnęła swój cel, bo podsłuchał, że fabryki wyleciały w powietrze i że ten obóz w górach to jeden z wielu, gdzie wypatruje się innych amerykańskich komandosów.

Niebawem zaczęli na niego zwać coraz więcej robót, coraz to cięższych, jeść mu dawali coraz mniej, pracować kazali dłużej, spać krócej. Połapał się, w czym rzecz. Upłynęło zbyt wiele czasu, żeby mógł coś wiedzieć o lokalizacji swej grupy. Nie mogąc już wydobyć z niego informacji, opatrzili mu rany, żeby się z nim jeszcze pobawić i sprawdzić, ile znieśie, zanim go to zabije. No, to on długo im da poczekać. Niewiele zostało rzeczy, które mogli mu jeszcze zrobić, a których nie zaznałby od szkolących go instruktorów Sił Specjalnych. Te pięć mil, które przebiec musiał codziennie przed śniadaniem i dziesięć po śniadaniu zwracając posiłek w biegu, ale pilnując się, żeby nie wypaść z szeregu, bo każdy, kto z niego wypadł, by się wyrzygać, dostawał za to jeszcze dziesięć mil. Wdrapywanie się na wysokie wieże, aby krzyknąć instruktorowi swój numer kolejny i skok, nogi razem, stopy złączone, z łokciami przy sobie, wrzeszcząc w trakcie upadku: - Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery! - z żołądkiem podchodzącym do gardła, nim uprzęż poderwie go tuż nad ziemią. Trzydzieści pompek za każdy błąd na zajęciach, plus jedna z okrzykiem na cześć lotniczych wojsk desantowych: For the Airborne! - Jak za cicho, to jeszcze trzydzieści pompek i znów: - For the Airborne! - W jadalni, na klozecie, wszędzie czaili się oficerowie, aby zniecka wrzasnąć: - Skok! i natychmiast musiał poderwać się do tej pozycji, krzycząc: Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery! - i na baczność, aż do komendy: - Marsz! - i ryknąwszy: - Tak jest!- rzucić się naprzód z krzykiem: - Airborne! Airborne! Airborne! Nocne skoki na bagna i przeżyć w nich tydzień, mając tylko nóż. Zajęcia z broni, materiałów wybuchowych, topografii, przesłuchania, z walki wręcz. Bydło na polu, on i pozostali ćwiczący z nożami w ręku. Jelita i żołądki rozwleczone po całym polu, zwierzęta jeszcze żywe i wrzeszczące.

Ich wybebeszone tułowia i rozkaz: włożyć do środka, zawinąć się w to ściertwo, skapać się w jego krwi.

Na tym polegała droga do Zielonych Beretów. Potrafił znieść wszystko. Ale w tej dżungli, w obozie, dzień w dzień ubywało mu sił. Zaczął się obawiać, że ciało jego dłużej nie podoła. Jeszcze więcej pracy, ciężkiej harówki, jeszcze mniej pokarmu i snu. Wszystko widziane szarzało mu w oczach i rozmazywało się. Gadał sam do siebie i potykał się, pojękując. Po trzech dniach głodówki wrzucili mu do dziury z pluśnięciem węża, który wił się w błocie, i przyglądali się, jak on ukręca mu łeb i zjada całego na surowo. Tylko trochę utrzymał w żołądkiem. Aż później - po kilku minutach, kilku dniach, czas się nie liczył - zastanowił się: czy wąż był jadowity czy nie? To i robactwo, jakie znajdował w dziurze, i odpadki, którymi w niego czasem rzucali dało mu przeżyć kilka następnych dni - albo tygodni, sam nie wiedział. Kiedy włókł martwe drzewo przez dżunglę do obozu, pozwolili mu rwać owoce i zjadać, aż do wieczora dostał biegunki. Leżał otępiały w jamie, utyłany w swoich odchodach, i słyszał ich, jak rozprawiają o jego niebywałej głupocie.

Nie był znów taki głupi. W malignie umysł jego funkcjonował lepiej niż kiedykolwiek od chwili pojmania, biegunka zaś była zaplanowana. Zjadł w sam raz tyle żeby dostać jej nie za bardzo i żeby nazajutrz kiedy go stąd wyciągną, mógł udawać, że skręca go bardziej niż naprawdę, i żeby mógł upaść, kiedy będzie włókł do obozu martwe drzewo. Może dadzą mu przez chwilę nie pracować. Może strażnik zostawi go w dżungli, aby sprowadzić pomoc i zanieść go do obozu, i zanim wróci, on zdoła już uciec.

Wtedy uświadomił sobie, że mózg jego wcale nie funkcjonuje lepiej. Pożarł za wiele tych owoców i skręca go bardziej, niż się spodziewał, a jak okaże się niezdolny do pracy, to strażnik go pewnie zastrzeli, a choćby i uciekł, jak długo przeżyje i dokąd zajdzie, taki zagłodzony, półmartwy i z biegunką? Nie mógł sobie przypomnieć, czy to wszystko uświadomił sobie przedtem czy potem. Wszystko się pomieszało i wtem znalazł się sam, przedzierając się przez dżunglę, wpadając do rzeki. Gdy wróciła mu przytomność czuł się w paprociach pod górę, stanął na szczycie, zwałił się na równą trawę, znów powstał i wysilał się, idąc po tym

równym, czołgał się znów pod górę, na szczycie już nie mógł stanąć, tylko pełzać. Górskie plemiona, myślał. Dostać się do jakiegoś plemienia, tyle umiał pomyśleć.

Ktoś go zmuszał do picia. Na pewno żołnierze go złapali, więc szamotał się i próbował wyrwać, ale ktoś go przygniół i zmusił do łkania. To nie żołnierze, niemożliwe: bo dali mu się wyrwać i pokuśtykać w dżunglę. Czasem zdawało mu się, że tkwi w swojej dziurze, tylko śni mu się, że uciekł. Kiedy indziej był przekonany, że jeszcze spada po wyskoczeniu z samolotu, z resztą grupy, i spadochron mu się nie otwiera, góry majaczą coraz bliżej. Zbudził się leżąc pod jakimiś krzakami, stwierdził, że biegnie, ocknął się wyciągnięty na skale. Kiedy zbliżył się zachód słońca, wziął podług niego namiar i ruszył na południe. A potem zląkł się, czy znów nie pomieszał czasu, że mógł noc przeleżeć nieprzytomny i teraz pomylić wschód słońca z jego zachodem, wziąć zły kierunek i że idzie na północ zamiast na południe. Przyjrzał się i słońce było coraz niżej, więc się uspokoił. Potem zapadła noc i kiedy nic już nie mógł dojrzeć, przewrócił się.

Rano zbudził się wysoko na drzewie, wciśnięty między dwie gałęzie. Nie pamiętał, kiedy ani jak się tu wdrapał, ale gdyby tego nie zrobił, już by nie żył: samotny i nieprzytomny człowiek nie ujdzie zwierzętom, krążącym nocą po dżungli. Spędził na tym drzewie cały dzień, tu i ówdzie przyginając gałęzie, by lepiej się ukryć, poza tym śpiąc i jedząc po troszeczkę suszone mięso i placki ryżowe, które ku swemu zdziwieniu znalazł uwiązane na szyi, w zawiniątku z okrywających go szmat. Ci ludzie, co przytrzymali go i zmusili, żeby połykał, to widać tubylcy, pokarm na pewno jest od nich. Resztki zachował na noc, kiedy zląkł wreszcie z drzewa i obrawszy kierunek podług zachodzącego słońca ruszył znów na południe. Ale dlaczego mu pomogli? Czyżby tak wyglądał, że postanowili mu jeszcze dać szansę?

Odtąd już uciekał tylko w nocy, strony świata rozpoznając po gwiazdach, żywiąc się korzonkami, korą i wodorosłą z rzek. Nieraz po ciemku zdarzało mu się usłyszeć z bliska żołnierzy i leżał w poszyciu, aż głosy ucichły. Maligna mu nieraz przechodziła i wracała tym bardziej zagmatwana, aż zdawało mu się, że słyszy jak szcękają odciągany zamek broni automatycznej, więc rzucał się w krzaki, nim rozpoznał, że trzasnęła po prostu gałązka pod jego własną stopą.

Po dwóch tygodniach zaczął się deszcz i lał bez końca. Błoto. Spróchniałe drewno. Ulewa tak gęsta, że prawie nie mógł oddychać. Przedzierał się dalej, otepiał od bębnienia deszczu, wściekły na cmokające błoto i oblepiające go mokre krzaki. Już pojęcia nie miał, gdzie jest południe - chmury w nocy rozstępowały się i brał kierunek na jakąś gwiazdę - ale zaraz chmury się zwierały i musiał iść na ślepo, a gdy znów się rozeszły, stwierdzał, że pobłądził. Pewnego ranka okazało się, że chodzi w kółko: od tej pory wędrował już tylko w dzień. Musiał posuwać się wolniej, ostrożniej, żeby go nie wykryto. Ilekroć chmury zaćmiewały słońce, szedł na jakiś odległy punkt w krajobrazie, szczyt góry albo wyższe od innych drzewo.

I codziennie, dzień w dzień, lał deszcz.

Wyrzał z dżungli, potykając się na otwartym polu, i ktoś do niego strzelił. Zatoczył się i upadł, chcąc doczołgać się z powrotem do drzew. Kolejny strzał. Ludzie biegnący w trawie. - Wzywałem, żebyś powiedział, kim jesteś? - mówił jakiś mężczyzna. - Gdybym nie zobaczył, że nie masz broni, to bym cię zabił. Wstań i gadaj, do cholery, kim jesteś!

Amerykanie. Jak się zaczął śmiać, tak nie mógł przestać. Miesiąc go trzymali w szpitalu, zanim przeszła mu ta histeria. Zrzucano go na północy z początkiem grudnia, a teraz, okazało się, jest początek maja. Nie wiedział, jak długo był więziony. Nie wiedział, ile czasu mu zajęła ucieczka. W każdym razie od wtedy do teraz przebył odległość między rejonem zrzutu a tą amerykańską bazą na południu, 390 mil albo 630 kilometrów. A dlatego zaczął się śmiać, że już od dawna był na terytorium amerykańskim i wielu z żołnierzy, których słyszał po nocy i krył się przed nimi, to musieli być Amerykanie.

Odwlekał wyjście spod natrysku, ile mógł. Wiedział, że nie wytrzyma, jak Teasle zacznie mu dotykać głowy nożyczkami i strzyc. Wyrzał, obryzgiwany wodą, z kabiny i raptem okazało się, że Galt właśnie zszedł po schodach, niosąc nożyczki, pojemnik z kremem do golenia i brzytwę. Poczul w żołądku skurecz. Przyglądał się zachłannie, jak Teasle wskazuje na biurko i krzesło u dołu schodów i coś mówi do Galta, ale hałas tryskającej wody zagłuszał to. Galt wyniósł krzesło przed biurko, wyjął z niego trochę gazet i porozkładał je pod krzesłem. Prędko się z tym uwinął. Teasle zaraz podszedł do Ramba, stojącego pod natryskiem, tak blisko, żeby go słyszał.

- Zakręć wodę - powiedział:

Rambo udawał, że nie słyszy.

Teasle podszedł bliżej. - Zakręć wodę - powtórzył.

Rambo dalej sobie mył ramiona i piersi. Wielki, żółty blok mydła ostro pachniał środkiem odkażającym. Zaczął sobie namydlać nogi. Po raz trzeci. Teasle pokiwał głową i znikł na lewo, gdzie widocznie był zawór, bo za chwilę woda przestała tryskać. Nogi i ramiona Ramba sprężyły się, woda ściekała z niego w metalowe zagłębienie na dnie kabiny, po czym Teasle ukazał się z ręcznikiem.

- Nie ma sensu odwlekać - powiedział. - Przeziębisz się i tyle.

Rambo nie miał wyboru. Wyszedł ociągając się. Wiedział, że jak tego nie zrobi, Teasle po niego sięgnie, a nie chciał, żeby Teasle go dotykał. Wciąż na nowo się wycierał ręcznikiem. Dostał od niego w tym chłodzie gęsiej skórki na ramionach. Jądra czuł jak gdyby na wierzchu.

- Jeszcze trochę się powycierasz i nic nie zostanie z ręcznika - rzekł Teasle.

On dalej się wycierał. Teasle wyciągnął rękę, żeby go zagarnąć na krzesło, a Rambo uchylił się, żeby mieć ich obu przed sobą, idąc tyłem do krzesła: Teraz już sytuacja narastała z każdą sekundą.

Kiedy Teasle szczęknął nożyczkami dotknął z boku jego włosów, Rambo nie wytrzymał i targnął się.

- Nie ruszaj się - rzekł Teasle. - Nadziejiesz się i zranisz o nożyczki.

Ciachnął mu duży kosmyk i Rambo poczuł, że mu zimno w lewe ucho, odsłonięte w mokrym, piwnicznym powietrzu.

- Masz tego więcej niż myślałem - powiedział Teasle, upuszczając kosmyk na podłogę zasłaną gazetami. - Zaraz głowa ci się zrobi dużo lżejsza. - Gazeta nasiąkła wodą i stała się szara.

Teasle jeszcze raz ciachnął i Rambo znów się wzdrygnął. Szeryf zaszedł od tyłu. Rambo aż spał się w sobie, że nie widzi, co robią mu za plecami. Odwrócił głowę, a Teasle ją pchnął z powrotem, Rambo uchylił mu się spod ręki.

Teasle znów szczęknął mu nad uchem i kiedy Rambo znów się targnął, trochę włosów utkwilo w złączu nożyczek, poczuł dotkliwe szarpnięcie. Nie mógł już tego znieść. Zerwał się z krzesła i stanął twarzą do szeryfa.

- Zostaw mnie.

- Siadaj.

- Nie będziesz mnie więcej strzygł. Zależy ci, żebym się ostrzygł, to sprowadź fryzjera.

- Już po szóstej. Żaden fryzjer teraz nie pracuje. Nie ubierzesz się w to, aż będziesz ostrzyżony.

- Więc zostanę, jak jestem.

- Usiądziesz na krześle. Galt, przyprowadź tu Shingletona. Patyczkowałem się z nim, ile mogłem. Zetnie mu się te kudły raz dwa, jakby się owce strzygło.

Galt wymknął się najwyraźniej z ulgą. Rambo nasłuchiwał, jak otwiera górne drzwi z klucza, szczęk rozległ się echem. Wydarzenia toczyły się coraz szybciej. Nie chciał zrobić nikomu krzywdy, ale wiedział, że ku temu idzie, i czuł, jak wściekłość w nim narasta i wymyka się spod kontroli. Zatupotało, ktoś zbiegł od razu po schodach, Galt za nim, nie nadążając o pół piętra. Ten, co siedział przy radiu. Shingleton. Teraz, kiedy już stał, wyglądał na olbrzyma, głową niemal dotykał jarzeniówek na suficie. W jaskrawym świetle wybijały się kości nad oczyma i w dolnej części twarzy. Łypnął na niego i Rambo poczuł się dwa razy bardziej nagi niż dotąd.

- Ma pan kłopoty? - przemówił Shingleton do szeryfa. - Podobno coś nie tak, szefie?

- Nie, to on ma kłopoty - rzekł Teasle. - Wy dwaj z Galtem posadźcie go na krześle.

Shingleton podszedł. Galt zawahał się i też podszedł.

- Nie wiem, o co chodzi - rzekł do Ramba Shingleton - ale potrafię się dogadać z każdym. Wybieraj. Sam idziesz czy mam cię zanieść?

- Lepiej mnie nie dotykaj. - Postanowił zapanować nad sobą.

To tylko pięć minut i przez ten czas ciągły dotyk nożyczek, i po wszystkim, nic mu się nie stanie.

Ruszył w stronę krzesła, ślizgając się po wodzie, a Shingleton za nim powiedział: - Mój ty Boże, skąd masz tyle tych blizn na plecach?

- Z wojny.

Pozwolił sobie na słabość. Nie trzeba było odpowiadać.

- Ach. No pewnie. A w której armii?

Rambo go w tej chwili omal nie zabił.

Ale Teasle z zaskoczenia znów ciachnął mu trochę włosów. Mokra, szara gazeta usiana była długimi kosmykami, niektóre czepiały się jego bosych stóp. Był na to przygotowany, że Teasle dalej mu będzie strzygł włosy. Zaparł się w sobie. Tymczasem Teasle sięgnął mu nożyczkami za blisko prawego oka, zabierając się do brody, i Rambo odruchowo targnął się w lewo.

- Nie ruszaj się - rzekł Teasle. - Shingleton i Galt, przytrzymajcie go.

Shingleton wyprostował mu głowę i Rambo odtrącił jego rękę. Teasle ciachnął znów kawałek brody, który utkwiał w nożyczkach, i przyciął mu policzek.

- Jezu. - Skręciło go. Są za blisko. Tłoczą się na niego, aż chce mu się krzyżeć.

- Tak możemy się bawić przez całą noc - rzekł Teasle. - Galt podaj mi z biurka krem do golenia i brzytwę!

Rambo zwinął się.

- Nie będziesz mnie golił. Nie podejdziesz do mnie z tą brzytwą.

Galt już wręczał przybory szeryfowi. Rambo ujrzał, jak długie ostrze błysnęło w świetle i przypomniał sobie, jak wrogi oficer mu rozcina pierś, i to był koniec. Szarpnął się, wyrwał mu brzytwę i stanął, odepchnawszy ich. Powstrzymał odruch ataku. Tylko nie tu. Nie na tym cholernym posterunku. Byle im odebrać tę brzytwę. Tymczasem Galt aż zbieleł na twarzy i wpatrzony w brzytwę szamotał się z rewolwerem.

- Nie, Galt! - krzyknął Teasle. - Bez broni!

Ale Galt wciąż się z tym szarpał, aż niezgrabnie wydobyl rewolwer. Widać był jeszcze nowy w tej robocie: jakby nie wierzył własnym oczom, że naprawdę podnosi rewolwer, dłoń mu latała, już ścigał spust i Rambo chlasnął go brzytwą po żołądku. Galt wybałuszył się głupio na czyste, głębokie cięcie na swym brzuchu, krew mu się rozlała po koszuli i bluznęła po spodniach, narządy wylażyły jak napompowana dętka z rozciętej opony. Uniósł palec i próbował je wypychać z powrotem, ale wnętrzości coraz bardziej się wypurchlały, spodnie przesiąkły krwią i z mankietów połała się krew na podłogę, kiedy wydał dziwny, zdławiony, gardłowy odgłos i zwałił się bokiem na krzesło, przewracając je.

Rambo już gnał po schodach. Tylko spojrzął, gdzie są Teasle i Shingleton. Jeden stał przy celach, drugi pod ścianą, za daleko od siebie, żeby zdążył obu rozplatać, nim co najmniej jeden wyciągnie broń i strzeli do niego. Właśnie okrążał podest w połowie schodów, kiedy za nim rozległ się pierwszy strzał i kula łupnęła w ścianę tuż obok.

Górna połowa schodów zawracała pod kątem, więc znikł im z oczu, nad ich głowami, pędząc w górę i do drzwi. Usłyszał pod sobą krzyki, a później tupot na dolnej połowie schodów. Drzwi! Zapomniał o drzwiach. Teasle upomniał Galta, żeby je zamykał na klucz. Rwał do góry, modląc się, żeby Galt w pośpiechu, wracając z Shingletonem zapomniał o tym, i usłyszał za sobą.

- Stać! - krzyk z dołu i trzask odciągniętego kurka, gdy szarpnął za klamkę, drzwi targnął ku sobie i - Jezusie! - otwarły się. Skoczył za róg i w tej samej chwili dwie kule trafiły naprzeciw niego w białą, świeżutką ścianę. Dźwignął rusztowanie malarskie i zwałił je u drzwi, tarasując drogę rumowiskiem z desek, puszek z farbą i stalowych rur.

- Co się dzieje? - spytał ktoś za nim i odwróciwszy się ujrzał zdumionego policjanta, jak stoi gapiąc się na całkowicie gołego Ramba i sięgając po broń. Czterema susami Rambo dopadł go i rąbnął krawędzią dłoni w nasadę nosa, złapał w powietrzu rewolwer, który wyleciał padającemu z ręki. Z dołu już ktoś spychał szczątki rusztowania. Rambo strzelił dwa razy i usłyszał jak Teasle krzyknął w nadziei, że to powstrzyma szeryfa na tyle, aby on zdążył dopaść frontowych drzwi.

Zdążył, oddawszy jeszcze po drodze strzał w rusztowanie, i wypadł nagi w rozprażone, słoneczne południe. Jakaś starsza kobieta na chodniku wrzasnęła; jakiś mężczyzna przyhamował i zagapił się. Rambo z frontowych schodów skoczył na chodnik, minął wrzeszczącą babę, rzucił się ku mężczyźnie w roboczym kombinezonie, który przejeżdżał na motocyklu i popełnił ten błąd, że zwolnił, aby się przyjrzeć, bo zanim się zdecydował dać gazu, Rambo dopadł go i wyrzucił z siodełka. Facet upadł na głowę i pojechał żółtym kaskiem ochronnym po nawierzchni. Rambo skoczył na motor, poczuł nagim siedzeniem gorące, czarne siodło i już motor zerwał się z rykiem, a on trzy ostatnie kule posłał w szeryfa, który właśnie wypadł na schody posterunku i uskoczył do środka widząc, że Rambo celuje w niego. Rambo zaś przeleciał obok sądu, kładąc się w zakosach, zygzakiem aby Teasle nie mógł dobrze wycelować. Przed nim ludzie gromadzili się na rogu, wypatrując, i miał nadzieję, że Teasle nie zaryzykuje strzelania w ich kierunku. Za nim rozlegały się krzyki, przed nim ludzie na rogu też krzyczeli, jakiś mężczyzna wybiegł z narożnika, by go zatrzymać, ale Rambo go odrzucił kopniakiem i wpadł w zakręt, okrążył w lewo róg i był już na razie bezpieczny. Teraz dopiero dał naprawdę gazu.

Sześć kul, policzył Teasle. Chłopak się wystrzelał z tego, co miał. Wybiegł na zewnątrz, mrużąc się pod słońce, akurat w porę, by zobaczyć, jak chłopak skręca za róg. Shingleton celował z pistoletu. Teasle szarpnął jego rękę w dół.

- Jezu Chryste, czy nie widzisz tych ludzi?

- Już bym go miał!

- Może nie tylko jego!- Wbiegł na posterunek, szarpnąwszy frontowe drzwi z trzema dziurami od kul w aluminiowej płycie. - Wracaj! Zobacz, co z Galtem i Prestonem! Dzwon po lekarza! - Już biegł do radia, zdumiony, że Shingleton usiłował strzelać. W biurze facet był taki sprawny; każdą myśl uprzedzał; aż tu nagle, nie mając rutyny w takich sprawach, kieruje się głupim odruchem.

Drzwi siatkowe trzasnęły, gdy Shingleton wpadł i pobiegł dalej. Teasle dziabnął w wyłącznik radia i zaczął prędko mówić do mikrofonu. Ręce mu się trzęsły; brzuch miał pełen gorącego, rzadkiego świństwa.

- Ward! Gdzie ty jesteś, do cholery, Ward? - krzyczał w radio, ale Ward się nie zgłaszał, wreszcie Teasle go złapał i powiedział mu, co się stało, już obmyślając taktykę.

- On wie, że Center Road wyprowadzi go z miasta! Pędzi na zachód w tym właśnie kierunku. Zatrzymaj go! Shingleton wybiegł zza rogu, z korytarza, do frontowego i wprost do szeryfa:

- Galt. Nie żyje. Boże! kiszki całe na wierzchu - wyrzucił z siebie, podbiegając. Przełknął ślinę, próbując złapać oddech. - Preston żyje. Na razie. Krew cieknie mu z oczu.

- Zwijaj się! Dzwon na pogotowie! Doktora! - Teasle dziabnął w inny wyłącznik. Ręce wciąż mu się trzęsły. W kiszkach coraz płynniej i cieplej. - Policja stanowa - zawołał z pośpiechem do mikrofonu. - Madison do policji stanowej. Pilne. - Brak odpowiedzi. Wykrzyczał to głośniej.

- Nie jestem głuchy, Madison - zatrzęszczał głos męski. - Co się stało?

- Ucieczka z więzienia. Jeden policjant zabity - wyjaśnił pośpiesznie Teasle, wściekły, że marnuje czas na powtarzanie, co zaszło. - Proszę o zablokowanie dróg. - Głos po tamtej stronie stał się od razu czujny.

Shingleton odłożył telefon, Teasle nawet nie słyszał, kiedy go wykonał. - Karetka w drodze.

- Połącz mnie z Orvalem Kellermanem. - Teasle wcisnął kolejny guzik, wezwał następny radiowóz i wysłał go w pościg za chłopakiem.

Shingleton już zatelefonował. Na szczęście przynajmniej teraz się sprawdzał. - Kellerman jest poza domem. Rozmawiam z jego żoną. Nie chce go poprosić.

Teasle wziął od niego słuchawkę.

- Pani Kellerman, Wilfred przy telefonie. Potrzebny mi jest Orval. Sprawa nadzwyczaj pilna.

- Wilfred? - głos miała wysoki i łamiący się. - Co za niespodzianka. Tyle czasu się nie odzywałeś. - Czy ona musi tak powoli gadać? - Nawet mieliśmy do ciebie wpaść i powiedzieć, jak nam przykro, że Anna odeszła.

Musiał jej przerwać.

- Pani Kellerman, Orval jest mi na gwałt potrzebny. To bardzo ważne.

- Kochany, tak mi przykro. Jest na dworze i zajmuje się psami, a wiesz o tym, że nie wolno mu przeszkadzać, jak on się zajmuje psami.

- Niech go pani poprosi do telefonu. Błagam panią. To ważne, proszę mi wierzyć.

Usłyszał jej sapanie.

- No dobrze, poproszę go, ale nie obiecuję, że podejdzie. Wiesz jaki on potrafi być, kiedy zajmuje się psami.

Słyszał, jak pani Kellerman odkłada słuchawkę, i szybko zapalił papierosa. Jest policjantem od piętnastu lat i nigdy więzień mu się nie wymknął, nigdy mu nie zabito kolegi. Miał ochotę rozkwasić temu chłopakowi gębę o beton.

- Po co to zrobił? - odezwał się do Shingletona. - Cóż to za pierdolony wariat. Przylazł tu szukać guza: i w jedno popołudnie od włóczęgostwa doszedł do morderstwa. Co, źle się czujesz? Usiądź i włóż sobie głowę między kolana.

- Nie widziałem jeszcze tak wybebeszonego człowieka. Jezu Chryste. Dopiero co jedliśmy z Galtem lancz.

- Ile razy widziałeś, to nieważne. Chyba z pięćdziesiąt razy oglądałem w Korei facetów rozprutych bagnetem i zawsze mnie zemdliło. A w Louisville znałem jednego, co służył w policji dwadzieścia lat. Którejś nocy poszedł załatwić w jednym barze wypadek nożownictwa i na podłodze było tyle krwi, pomieszanej z piwem, że dostał ataku serca i skonał, usiłując wrócić do wozu policyjnego.

Z tamtej strony ktoś podniósł słuchawkę. Och, żeby to był Orval Kellerman.

- No, co jest, Will? Tylko żeby mi się okazało tak ważne, jak mówiłeś.

Jednak przyszedł. Orval był najbliższym przyjacielem ojca i w sezonie chodzili we trzech, co sobota, na polowanie. A potem, kiedy starszy Teasle został zabity, Orval stał się jego drugim ojcem. Teraz był już na emeryturze, ale do dziś w lepszej kondycji niż ludzie mający połowę tych lat, a jego sfera była najlepiej ułożona w całym hrabstwie.

- Orwał, mieliśmy dopiero co ucieczkę z więzienia. Nie mam czasu wyjaśniać, ale to młody chłopak i zabił jednego z moich ludzi, no i nie sądzę, żeby się trzymał dróg, kiedy go ściga policja stanowa. Jestem pewien, że pójdzie w góry, i mam wielką nadzieję, że zechcesz puścić te swoje ogary na trop, jakiego nie miały w życiu.

Rambo przeleciał z rykiem po Center Road. Wiatr go smagał po twarzy i piersi, lży mu wyciskał z oczu, bał się, że przyjdzie mu zwolnić, aby przed sobą widzieć. Samochody stawały gwałtownie, kierowcy z okien gapili się na golasa pędzącego na motocyklu. Wzdłuż całej ulicy przechodnie odwracali się do niego, pokazywali palcami. Daleko z tyłu rozległa się syrena. Rozpędził się do setki, przeleciał na czerwonych światłach, ledwie zdołał wyminąć ogromną cysternę z ropą, gramolącą się po skrzyżowaniu. Gdzieś daleko z lewej zaczęła wyc drugą syrena. Nie ma sposobu, żeby na motocyklu przegonić wozy policyjne. Za to motocykl pojedzie tam, gdzie one nie mogą: w góry.

Ulica poszła ostro w dół, a potem długo pod górę i Rambo pędził nią, nasłuchując syren. Ta z lewej skrzyła, żeby przyłączyć się do tej z tyłu. Wpadł na szczyt wzniesienia z taką szybkością, że motocykl się oderwał od bruku i spadł w podrzutach, zmuszając go, aby zwolnić i odzyskał równowagę.

Potem gnał dalej.

Minał znak WYJEŹDŹASZ Z MADISON, minął rów, gdzie tego popołudnia jadł hamburgery. Pola brunatnej kukurydzy ciągnęły się w obie strony. Syreny rozlegały się bliżej, a góry widniały na prawo. Skrzył ku nim na polną drogę, omal nie przewracając się, gdy rzucił motor w bok, żeby nie wpaść na ciężarówkę z mlekiem. Kierowca wychylił się, krzycząc na niego.

Teraz podnosił za sobą kurz, utrzymując szybkość poniżej osiemdziesiątki, żeby go nie zarzucało na syrkim żwirze. Syreny wyły za nim najpierw na prawo, a potem już wprost za plecami. Zbyt szybko go doganiają. Jeśli zostanie na tej polnej drodze, nie da rady ich zgubić dość wcześnie, aby dotrzeć do gór: musi zboczyć z tej drogi tam, gdzie im się nie uda przejechać. Uskoczył w lewo przez otwartą bramę i ruszył wyjeżdżoną przez wozy drogą po głębokich, żółtych koleinach. Z obu stron wciąż była kukurydza, góry dalej na prawo, a on wypatrywał, którędy się do nich dostać. W nasilającym się ryku syren dotarł do kresu pól kukurydzianych, skrzył w prawo na pola wędnącej trawy, motor skakał na nierównym gruncie to w dół, to w górę, śmigając w gęstwie traw. Ale wozy policyjne jeszcze i tu mogłyby go ścigać. Wkrótce usłyszał ich syreny wyjące znów głośniejsze, wprost za plecami.

Przed nim drewniane, mocne ogrodzenie. Pędził ku niemu, na łeb na szyję, byle od tych syren, kiedy ujrzał bydło. Chyba ze sto sztuk. Na tym polu, ale uchodziły od niego ciężkim truchtem, przez otwartą bramę w ogrodzeniu i po zboczach w górę, ku drzewom. Na wrzask jego motocykla ruszyły galopem, nim je dogonił, brązowe dżerseje, porykując, po trzy naraz wypadając za wrota i pod górę, wymiona im się majdały, pełne mleka. Zdawały się coraz większe, gdy je dopędzał, rozbiegały się, grzmiąc kopytami, gdy przepchał się z ostatnimi przez wrota i pognał w górę pochyłości. Zrobiło się stromo i musiał nachylać się dociskać przednie koło, aby się nie zwalić na plecy. Minał jedno drzewo, później drugie, góry już były tuż, a potem zbocze się skończyło i znów pędził po równym. Przeskoczył na motorze wąski potok, omal nie przewracając się na przeciwległym brzegu. Ale teraz już do gór było cudownie blisko, więc odzyskawszy równowagę dał gazu do końca. Przed nim granica drzew, potem już gęsty las i skały, zarośla. Wreszcie dojrzał to, czego szukał - kotlina między dwoma zboczami, wiodąca w głąb skalistych wzgórz - i tam się skierował, gdy ryk syreny zaczął tuż w tyle zamierać.

To znaczy, że wozy policyjne się zatrzymały. Teraz będą wyskakiwać i celować w niego. Skupił się na wylocie kotliny. Trzask wystrzału, pocisk bzyknął mu przy samej głowie i łupnął w pień. Wpadł między pojedyncze drzewa, zygzakując ku zbawczej kotlinie. Znów huknęło, ale tym razem już nic bliskiego, a potem znalazł się w gęstym lesie, osłonięty zboczami biegnącej w górę kotliny. Po dziesięciu metrach zagroziło mu drogę rumowisko głazów i zwalonych drzew. Osunął się w tył motocykla i puścił go, żeby się rozbił o głazy. Wdrapał się na gęsto porosłe zbocze, a sterczące gałęzie dźgały go, jak popadło. Jego tropem ruszy więcej policji. Dużo więcej. Natychmiast. Przynajmniej zyska trochę na czasie, aby wspiąć się wysoko w góry, zanim tu dotrą. Pójdzie w kierunku na Meksyk. Tam zadekuje się gdzieś w nadmorskim miasteczku i co dnia wypływa się w oceanie. Żeby tylko nigdy więcej nie nawinął mu się ten skurwysyn Teasle. Obiecał sobie, że nikomu już nie zrobi krzywdy, a ten chuj go doprowadził do tego, że znów kogoś zabił, więc jeśli Teasle będzie go dalej prześladował Rambo postanowił tak mu się odgrzyźć, żeby Teasle nie mógł za Boga odzalaować, że z nim w ogóle zaczął.

CZEŚĆ DRUGA

Teasle nie miał za dużo czasu: musiał zorganizować swoich ludzi i wyprawić ich w las, nim się zjawi policja stanowa. Zjechał z drogi dla wozów na pastwisko, po śladach, które na trawie odcisnęły dwa wozy policyjne i motor chłopaka, ruszył w stronę drewnianego płotu na drugim końcu pastwiska i ku otwartej bramie. Obok niego Shingleton zaparł się dłońmi o deskę rozdzielczą, bo samochód na tym polu skakał i rzucał się po wybojach tak głębokich, że jego ciężkie podwozie raz po raz waliło w ziemię osiami, niżej od resorów.

- Brama jest wąska - ostrzegł go Shingleton. - Nie da rady przejechać.

- Tamci przejechali.

W bramie przyhamował, zwalniając nagle, luzu miał po calu z każdej strony, potem rozpedził się po stromym zboczu w kierunku dwóch samochodów policyjnych, zaparkowanych może o jedną czwartą od szczytu. Pewnie ich silniki tam zgasty. Kiedy znalazł się przy nich, nachylenie zbocza tak wzrosło, że silnik mu zaczął przerywać. Wrzucił pierwszy bieg i gaz wcisnął do dechy, czując, jak tylne koła wgryzają się w trawę, i wóz policyjny wystrzelił aż na sam szczyt.

Zastępca szeryfa Ward czekał tam, na równym terenie, poczerwieniały od wezbranego słońca, które płonęło już w połowie drogi od gór na lewo. Ramiona miał pochylone do przodu i chodził z brzuchem nieco wypiętym, pas od rewolweru nosząc wysoko. Podeszedł do samochodu, nim Teasle go zatrzymał.

- Tędy- powiedział, wskazując na kotlinę między drzewami. - Uważaj na potok. Lester już wpadł.

Świerszcze cykały nad rzeką. Ledwie Teasle wysiadł, usłyszał warkot silnika w dole, koło drogi dla wozów. Przyjrzał się pośpiesznie, z nadzieją, że to nie policja stanowa.

- To Orval.

Stary ciężarowy Volkswagen, też zalany czerwienią od słońca, warczał w dole pastwiska. Zatrzymał się u podnóża, nie do tego zbudowany aby się wdzierał po zboczu, jak wóz szeryfa, i wysiadł z niego Orval Kellerman, wysoki i chudy, z policjantem. Teasle przeląkł się, że psów nie ma w ciężarówce: nie słyszał ich szczekania. Wiadomo, Orval ma je tak wyszkolone, że szczekają tylko kiedy powinny. Jednak dręczyło go, czy nie dlatego milczą, że ich Orval wcale nie przywiozł.

Orval i policjant wspinali się prędko po zboczu. Policjant miał lat dwadzieścia sześć, najmłodszy w zespole, jakim Teasle rozporządzał a jego pas od broni był przeciwieństwem Warda, zapięty nisko jak u dawnych rewolwerowców. Orval tak wyciągał nogi pod górę, że go przegonił. Na czubku głowy miał świecąca łysinę z białymi włosami po obu stronach. Był w okularach i zielonej nylonowej kurtce, w zielonych džinsach i wysoko zasnurowanych butach polowych.

Teasle pomyślał znów o policji stanowej i popatrzył w dół, na wyjeżdżoną drogę, upewniając się, że jeszcze nie jadą. Spojrzał znów na zbliżającego się Orvala. Dotąd widział tylko w zarysie chudą, ciemną, ogorzałą twarz, ale teraz dostrzegł w niej głębokie bruzdy i zmarszczki, obwisłą skórę na szyi... wstrząsnęło nim, jak ten człowiek się postarzał w ciągu trzech miesięcy, kiedy się nie widzieli. Ale w zachowaniu wcale się nie zestarzał. Zbocze pokonał lekko i prawie nie zdyszany, wyprzedzając o kawał drogi młodego zastępcę szeryfa.

- A psy - zawołał Teasle. - Przywiozłeś psy?

- Pewnie - odpowiedział mu Orval, już na szczycie, zwalniając kroku - chociaż nie rozumiem, po co przysłałeś tego młodego zastępcę do pomocy w zaganianiu ich do ciężarówki. Spójrz na słońce. Za godzinę będzie już ciemno.

- Chyba wiem o tym.

- Chyba wiesz - usprawiedliwił się Orval. - Nie zamierzałem cię pouczać.

Teasle pożałował, że nie ugryzł się w język. Nie mógł sobie pozwolić znów na to samo. Sprawa jest zbyt poważna. Orval ciągle traktował go jak trzynastolatka, mówiąc mu wszystko, co ma zrobić i jak ma to zrobić: kropka w kropkę tak samo, jak w czasach, gdy Teasle był chłopcem i mieszkał u nich. Teasle, dajmy na to czyścił strzelbę albo wykonywał specjalny nabój, więc Orval zaraz włączał się, udzielał rady zabierał mu i sam robił, a Teasle się wściekał: żeby się nie wtrącał, że on sam potrafi, nieraz dochodziło do kłótni. Był świadom, dlaczego nie znosi dobrych rad: zdarzało mu się spotykać nauczycieli, co nie potrafia przestać i dalej uczyć, chociaż nie są już u siebie w klasie, i był do nich trochę podobny: tak się przyzwyczaił rozkazywać, że nie mógł przełknąć, aby ktoś mówił jemu co ma zrobić! Nie zawsze odrzucał radę. Jak dobra, to z niej często korzystał. Ale nie mógł dopuścić, żeby to weszło w zwyczaj: nie wywiązywałyby się dobrze ze swych obowiązków, jeśliby nie polegał tylko na sobie. Gdyby Orval tylko czasami próbował mu powiedzieć, co ma zrobić, wcale by mu to nie przeszkadzało. Ale nie stale! I znów się o mało nie ścięli, więc Teasle musi trzymać się w ryzach. Teraz

potrzebny mu jest właśnie Orval, nie kto inny, a Orval jest tak uparty, że gotów zabrać psy i odjechać do domu, gdyby znowu się pokłócili. Teasle postarał się uśmiechnąć.

- Znowu mój niewyparzony pysk, Orval. Nie zwracaj na to uwagi. Fajnie, że jesteś.- Wyciągnął do niego dłoń. To Orval nauczył go, kiedy jeszcze był chłopcem, jak się podaje rękę. Długo i krzepko, mówił Orval. Dajesz rękę tak jakbyś dawał słowo. Teraz, kiedy się ich dłonie spotkały, Teasle poczuł ściśnięcie w gardle. Kochał mimo wszystko, tego starego i nie mógł się pogodzić z nowymi zmarszczkami na jego twarzy, z białymi kępami włosów po bokach, już cienkimi i wątlymi jak pajęczyna.

Uścisk dłoni wypadł niezręcznie. Teasle umyślnie go nie odwiedzał od trzech miesięcy, odkąd wyszedł od niego z krzykiem, bo uwaga, którą mimochodem rzucił, zamieniła się w długą kłótnię: jak nosić kaburę, czy w przód skierowaną, czy w tył. Niebawem zaczął się wstydzić, że tak wyszedł, i jeszcze teraz się wstydził, próbując zachowywać się naturalnie i patrzeć Orvalowi prosto w oczy ale mu nie wychodziło. - Orval, przepraszam cię - za to ostatnie. Dziękuję, że się zjawiłeś tak szybko, jak mi jesteś potrzebny.

Orval się tylko wyszczerzył; coś pięknego.

- Nie nauczyłem cię, że jak podajesz człowiekowi rękę, to masz nie gadać? Masz mu patrzeć w oczy. A nie kłapać. Nadal sądzę, że kabura powinna być obrócona w tył.

Kiwnął głową pozostałym; głos miał niski i dźwięczny.

- Co z tym chłopakiem? Gdzie uciekł?

- Tędy - wskazał Ward. Przeprowadził ich po dwóch gładkich leżących w potoku, do linii drzew i w górę kotliny. Pod konarami było szaro i chłodno, gdy wspinali się do miejsca, gdzie wśród opadłych gałęzi martwego drzewa leżał przewrócony motocykl. Świerszcze się już nie odzywały. Teasle z pozostałymi zatrzymali się w trawie i świerszcze znowu się odezwały.

Orval pokazał głową na zwał połamanych drzew i gładów, tarasujących kotliny, i zarośla po obu stronach.

- Nawet widać, gdzie się wdrapywał przez te krzaki po prawej.

Na jego głos, jakby na sygnał, coś wielkiego zaszurało w tych krzakach i pomyślawszy sobie, że to może być chłopak, Teasle cofnął się, odruchowo sięgając po broń.

- Nie ma nikogo - dobiegł z góry męski głos. Osypało się trochę ziemi i kamyków; to Lester zbiegał przez gąszcz, nie mogąc złapać równowagi. Był przemoczony od upadku w strumień. Oczy zawsze miał nieco wylupiane, a tym bardziej się wytrzeszczyły, gdy ujrzał, jak Teasle mierzy z pistoletu. - Hej, przecież to ja! Tylko sprawdzałem, czy nie ma tu gdzieś chłopaka.

Orval podrapał się pod brodą. - Nie powinienesz być tego robić. Mogłeś zmylić trop, Will. Masz jakieś rzeczy chłopaka, żeby psy chwyciły zapach?

- Są w bagażniku. Bielizna, spodnie, buty.

- W takim razie potrzebne już nam tylko jedzenie i nocleg. Zaraz to zorganizujemy i skoro świt ruszamy.

- Nie. Jeszcze dziś wieczór.

- Jak to?

- Ruszamy już teraz.

- Nie słyszałeś, jak mówię, że za godzinę zrobi się ciemno? A noc będzie bezksiężycowa. W takiej gromadzie nie da rady utrzymać kontaktu, pogubimy się w ciemności.

Teasle na to czekał: był pewien, że Orval spróbuje odłożyć pościg do rana. Zresztą całkiem rozsądnie. Tylko że przeciw rozsądkowi przemawia jedno: on nie może tak długo czekać.

- Z księżycem czy bez, i tak musimy ruszyć za nim natychmiast - rzekł do Orvala. - Zapusciliśmy się już poza granice naszej jurysdykcji, więc jeśli nie chcemy zrezygnować, jest tylko jedno wyjście: nie przerywać pościgu. Jak poczekam do rana, to będę musiał oddać sprawę policji stanowej.

- Więc oddaj. Tak czy owak to czarna robota.

- Nie.

- Co za różnica? Policja stanowa i tak zaraz tu będzie: wystarczy, że właściciel tej ziemi zatelefonuje do nich, że mu samochody jeżdżą po polach. I tak będziesz musiał im tę sprawę przekazać.

- Nie będę musiał, jeśli ruszę w las wcześniej, niż oni przyjadą.

Lepiej byłoby przekonywać o tym Orvala w cztery oczy a nie przy swoich ludziach. Jak nie przyciśnie Orvala, to straci u nich na prestiżu, ale jak go za bardzo przyciśnie, to Orval machnie ręką i wróci do domu.

Następne słowa Orvala tym bardziej mu nie pomogły.

- Nie, Will, muszę cię niestety rozczarować. Dużo bym dla ciebie uczynił ale przez te wzgórza trudno się przedostać nawet i w dzień, a ja moich psów nie będę tam gnał na oślepie tylko dlatego, że ty chcesz zagarnąć tę sprawę.

- Nie chcę, żebyś gnał je na oślepie. Proszę tylko, żebyś ze mną poprowadził te psy do lasu, a jak wyda ci się, że jest za ciemno, od razu się zatrzymamy na biwak. To wystarczy, żebyśmy mogli kontynuować pościg. No chodź, biwakowaliśmy już nieraz, ty i ja. Będzie tak jak za życia ojca.

Orval przeciągle odsapnął i rozejrzał się po lesie. Było już ciemniej, chłodniej.

- Nie widzisz, jakie to wariactwo? Nie mamy nawet ekwipunku, żeby go ścigać. Ani strzelb, ani żywności, ani...

- Shingleton zostanie i sprowadzi co trzeba. Weźmie jednego z twoich psów, żeby rano mógł wytropić nasz obóz. Mam dość zastępców, żeby utrzymali porządek w mieście, tak że czterej z nich mogą dojść jutro z Shingletonem. Mam też kumpla na tutejszym lotnisku, który obiecał nam wypożyczyć helikopter i dowieźć wszystko, co się okaże potrzebne, a do tego polecieć przodem i rozejrzeć się, czy nie wypatrzy chłopaka. Teraz już tylko ty nas możesz zatrzymać. Proszę cię. Pomożesz?

Orval patrzył sobie pod stopy, grzebiąc butem w ziemi tam i z powrotem..

- Nie mam za dużo czasu, Orval. Jeżeli tam zaraz wejdziemy, policja stanowa będzie musiała mnie zostawić prowadzenie tej sprawy. Pomogą mi, obstawiają radiowozami szosy, którymi się z tych gór można wydostać, a nam pozwolą złapać go w tych górach. Ale bez twoich psów możemy się z tym pożegnać.

Orval podniósł oczy i sięgnął z wolna do kurtki po kapciuch i bibułkę. Rozważał to sobie, starannie zwijając papierosa, a Teasle wiedział, że go nie trzeba ponaglać. Wreszcie Orval się odezwał, już podnosząc zapalniczkę:

- Kto wie, gdybym to rozumiał. Co ten chłopak ci zrobił, Will?

- Rozplątał mi zastępcę prawie na pół, a drugiego pobił tak, że może oślepie!

- No tak, Will - rzekł Orval i trzasnął zapalniczką, kryjąc jej płomyk w dłoniach i przytykając papierosa. - Ale mi nie odpowiedziałeś. Co ten chłopak ci zrobił?

Był to kraj wyżyny i dziki, gęsto zalesiony, poprzecinany wąwozami i kotlinami, pełen zapadlisk. Całkiem jak te wzgórza Północnej Karoliny, gdzie przechodził szkolenie. Bardzo też podobny do gór, przez które uciekał z obozu w dżungli. W sam raz dla niego i teren, i rodzaj walki - i niech za bardzo mu nie dogryzają, bo jak on się odgryzie - to będzie źle. Usiłując przegonić zapadający zmrok biegł najprędzej i najdalej, jak mógł, ciągle pod górę. Nagie ciało miał umazane krwią od raniących go raz po raz gałązek; bosa stopy pocięte i krwawe od ostrych patyków na drodze, od kamienistych zboczy i skalnych urwisk. Wspiął się na wzgórze, na którego szczycie stał rozkraczony szkielet wieży i wycięto przesiekę, aby druty, przekazujące prąd z hydroelektrowni, nie plątały się w wierzchołkach drzew. Przesiekę pokrywały ostre kamyki, głazy i niskie zarośla, przez które brnął obolały, z przewodami wysokiego napięcia nad głową. Musiał przed zapadnięciem zmroku wdrapać się na jak najwyższy punkt obserwacyjny, aby wypatrzeć, co jest po drugiej stronie i zdecydować się, którądy iść;

Na szczycie pod wieżą powietrze było krystalicznie czyste, wbiegając tam, zdążył jeszcze skąpać się w ostatnich blaskach słońca, zachodzącego daleko po lewej stronie. Przystanął chłonąc wężką i ciepłe światło, rozkoszując się miękkim dotykiem ziemi pod stopami. Następny szczyt również kąpał się jeszcze w blasku słońca, ale jego zbocza już były szare, a dolina u podnóża mroczna. Tam właśnie zmierzał, porzucając miękki grunt na szczycie, znów po kamykach i głazach, ku zapadlisku. Jeśli tam nie znajdzie, czego szuka, będzie musiał skrócić na lewo ku potokowi, który wypatrzył, a potem wzdłuż jego biegu. Łatwiej mu będzie posuwać się jego brzegiem, a to czego mu potrzeba, najpewniej znajdzie się gdzieś nad potokiem, Popędził w dół po kamieniach ku zapadlisku, potykając się, przewracając z ranami i zadrapaniami piekącymi od słonego potu. Dolina nie zdała mu się na nic, gdy tam dotarł; jedno wielkie oparzelisko; cała w bagnach i mrocznej wodzie. Ale przynajmniej grunt był znów miękki, więc okrążył bagno po lewej, aż dotarł do potoku, który je nawadniał, i ruszył pod prąd jego brzegiem, już nie biegnąc, tylko szybkim krokiem. Przebył na pewno z osiem kilometrów i to wystarczyło, żeby go zmęczyć; daleko mu jeszcze do tej sprawności, co przed dostaniem się do niewoli, niezupełnie też wrócił do siebie po tygodniach szpitala. Jednak pamiętał wszystko, co trzeba wiedzieć o poruszaniu się w terenie, a choć wiele już nie dałby rady dzisiaj przebiec, te pięć mil wykonał całkiem znośnie.

Potok wił się i zawracał, a on go nie odstępował. Wiedział, że wkrótce pójda za nim psy, ale nie facygował się brodzeniem po wodzie, żeby zgubiły trop. Tylko straciłby na szybkości, a ponieważ i tak musiały od czasu do czasu wyjść na jeden brzeg albo na drugi, więc przewodnik po prostu rozdzieliłby psy na oba brzegi, aż trafią znów na jego trop, a tymczasem on straciłby na to czas i tyle.

Ściemniało się prędzej, niż się spodziewał. Idąc pod górę łapał jeszcze resztki szarej poświaty, a potem las i zarośla zlały się w cień. Wkrótce dały się rozróżnić już tylko zarysy największych drzew i głązów, aż stało się zupełnie ciemno. Słychać było potok ciurkający po kamieniach i głosy wydawane przez świerszcze, ptaki nocne i zwierzęta, oswojone z ciemnością, i wtedy zaczął wykrzykiwać. Bo na pewno z tych, których szukał, nikt się nie ujawni, gdyby po prostu szedł wzdłuż potoku i nawoływał. To musi zabrzmieć interesująco. Żeby im się zachciało sprawdzić: kto to jest, do cholery! Więc krzyczał po wietnamsku, troszkę po francusku, co go tam liźnął w szkole. Udawał to południowy akcent, to zachodni, to znów murzyński. Bluzgał długimi seriami najplugawszych sprośności, jakie tylko potrafił wymyślić.

Potok zagłębił się w małej rozpadlinie na zboczu. Nikogo. Znow szemrał pod górę i w następne zagłębienie, i pod górę, i w rozpadlinę, wciąż nikogo a on wciąż wykrzykiwał. Jeśli wkrótce się ktoś nie pojawi, znajdzie się tak wysoko, że potok może dojść do swego źródła i nie będzie już czym się kierować, i tak, się stało. Złany potem, stygnącym w nocnym powietrzu, zabrnął w miejsce, gdzie potok zmienił się w małe bagienko i źródło, którego bulgot słyszał po ciemku. No i koniec. Jeszcze raz wykrzyczał swoje plugastwa żeby się rozległy echem w górę i w dół po czarnym wzgórzu, poczekał i ruszył do szczytu. Przewidywał, że idąc tak dalej pod górę i w dół po zboczach trafi wreszcie na kolejny potok i znow pójdzie wzdłuż niego. Odszedł może dziesięć metrów od źródła, kiedy dwie latarki oślepiły go z lewej i z prawej.

Stanął bez jednego drgnięcia.

W innych okolicznościach wyskoczyłby z kręgu ich światła, żeby wymknąć się w ciemność. Można życiem przypłacić, jak człowiek się włóczy w nocy, po tych wzgórzach, wtykając nos, gdzie nie trzeba: iluz to ludzi dostało kulę w łeb za to, co on teraz, i znikło w płytkim grobie, skąd ich później wywlekały nocne zwierzęta.

Latarki świeciły wprost w niego, jedna w twarz, druga na gołe ciało. On wciąż ani drgnął, stał i tyle, z podniesioną głową, spokojnie wpatrzony w ciemność pomiędzy latarkami, jakby tu było jego miejsce i jakby robił to co noc, przez całe życie. Owady wlatywały z migotem w strugi światła i wylatywały z nich. Ptak z trzepotem zerwał się z któregoś drzewa.

- Lepiej rzuć tę spluwę i brzytwę - odezwał się z prawej, chrypliwie, stary głos męski.

Rambo odetchnął: nie zabiją go, przynajmniej nie zaraz, na tyle ich zaciekawił. Jednak trzymać rewolwer i brzytwę: to było ryzykowne. Mogli na ich widok poczuć się zagrożeni i strzelić. Ale nie mógł też chodzić nocą po tych lasach nie mając przy sobie nic, czym w razie potrzeby można by walczyć.

- Tak jest - rzekł spokojnie Rambo i upuścił na ziemię rewolwer i brzytwę.- Nie ma strachu. Spluwa nie nabita.

- No pewnie.

Jak stary po prawej, pomyślał Rambo, to z lewej powinien być młody. Może ojciec i syn. Albo wuj i siostrzeniec. Tak się to zwykle urządza, zawsze w rodzinie, stary rozkazuje, a jeden czy kilku młodziaków pracuje. Rambo czuł, że ci dwaj za latarkami oceniają go. Stary się nie odezwał, a Rambo też nie miał zamiaru się odezwać, aż go spytają. Jest intruzem i lepiej trzymać gębę na kłódkę.

- Te świństwa, co żeś wykrzykiwał - powiedział stary. - Nas tak wzywałeś od świniójebców, czy kogo?

- Tato, zapytaj go, czego tak łązi goły i z jajcami na wierzchu - dobiegło z lewej. Sądząc po głosie, chłopak jest o wiele młodszy, niż Rambo przypuszczał.

- Zamknij się - ofuknął go stary. - Powiedziałem ci, że masz nie pisać.

Rambo usłyszał jak po stronie starego trzasnął kurek u strzelby.

- Zaczekaj - powiedział szybko. - Jestem sam. Potrzebuję pomocy. Nie strzelaj aż mnie wysłuchasz.

Stary nie odpowiedział.

- Naprawdę. Nie chcę wam robić kłopotu. Żadna różnica, czy jesteście dwaj mężczyźni, czy jeden chłopiec. I tak nie mam zamiaru nic wam robić.

Zgadywał na oślep. Możliwe, że stary po prostu przestał się nim interesować i teraz go zastrzeli. Ale Rambo przypuszczał, że nagi i pokrwawiony wydał się starymu niebezpieczny, że stary nie chce dłużej ryzykować, kiedy Rambo już wie, że to tylko mężczyzna z chłopcem.

- Policja mnie ściga. Zabrali mi ubranie. Jednego zabiłem. Wołałem po to, żeby ktoś mi pomógł.

- Ano tak - rzekł stary. - Potrzebujesz pomocy. Tylko jeszcze pytanie, od kogo?

- Będą mnie tropili. Sprowadzą psy. Znajdą wasz aparat do pędzenia. Chyba że postaramy się ich nie dopuścić.

To jest ta niebezpieczna chwila. Jeśli mają mnie zabić, to teraz.

- Do pędzenia? - rzekł stary. - A kto ci powiedział, że tu się pędzi? Według ciebie ja pędzę?

- Jesteśmy tu ciemną nocą w dolince przy źródle. Inaczej po co byście przyszli? Musicie to mieć dobrze ukryte;

Nawet jak wiem, że jest, i tak nie widzę, gdzie się pali.

- Jakbym wiedział, że tu gdzieś pędzą, to myślisz, że bym się tutaj opieprzał z tobą, a nie tam pobiegł? A cholere tam! Poluję na szopy i tyle.

- Bez psów? Szkoda czasu. Musimy to urządzić, bo jutro tu już będą nie takie psy.

Stary kłął sam do siebie.

- No trudno, masz kłopot - powiedział Rambo. - Przykro mi, że cię w to wpakowałem, ale nie ma wyjścia. Muszę mieć jedzenie, ubranie i strzelbę, i nie wykręcisz się, aż je dostanę.

- Rąbnijmy go, tato - odezwał się z lewej chłopiec. - On coś kręci.

Stary nie odpowiedział i Rambo też milczał. Trzeba staremu dać czas do namysłu. Jakby go spróbował przynaglać, stary może się poczuć zapędzony w kąt i zastrzelić go. Z lewej Rambo usłyszał szczęknięcie kurka.

- Opuść tę fuzję, Matthew - rzekł stary.

- Kiedy on coś kręci. Nie widzisz? Przecie to na pewno jakiś rządowy.

- Ty sam będziesz widział, jak ci łeb obłożę tą fuzją! Opuść ją, powiedziałem. - Tu stary czmychnął śmiechem. - Rządowy. Pierdoły. Patrz na niego: gdzie by schował oznakę?

- Lepiej się posłuchaj taty - rzekł Rambo. - On rozumie. Jak mnie zabijecie, to policja mnie rano znajdzie i dowie się kto zabił. Puszczą te same psy po waszym tropie. Pochowacie mnie, a zapach zostanie.

- A wapno niegaszone - rzekł bystro chłopiec.

- Owszem, to by wam pomogło ukryć mój zapach. Ale wtedy będzie was czuć wapnem i psy za tym polecą.

Umilkł i wpatrywał się po kolei w oba światła, zostawiając im czas do namysłu.

- Kłopot polega na tym, że jak nie dacie mi jedzenia, ubrania i strzelby, to ja stąd nie odejdę, aż znajdę wasze urządzenie i rano po moich śladach znajdzie je policja. Jakbyście tej nocy chcieli wszystko rozebrać i pochować, to też na nic. Bo ja pójdę za wami tam, gdzie schowacie części.

- Zaczekamy do świtu - rzekł stary. - Ty nie możesz zostać do tego czasu.

- Boso i tak bym daleko nie uszedł. Nie. Możecie mi wierzyć. Tak, jak jestem, oni lekko mogą mnie złapać. A wtedy już mi nie zależy i mogę was też pogrążyć:

Po chwili stary znów zaczął kłąć.

- Ale jeśli mi pomożecie, jeśli mi dacie to, czego potrzebuję, to ja się stąd wyniosę i policja nawet się nie zbliży do waszej aparatury.

Już prościej Rambo nie mógł tego ująć. Pomysł wydał mu się przekonujący. Jeżeli chcą uratować swoją bimbrownię, to muszą mu pomóc. Oczywiście mogą się zezłościć, że on ich tak przycisnął wtedy mogą zaryzykować i rąbnąć go. A mogą to być degeneraci, od krzyżowania się w rodzinie już tacy głupi, że niezdolni do zrozumienia jego logiki.

Zrobiło się chłodniej i Rambo nie mógł powstrzymać drżenia. Teraz, kiedy wszyscy umilkli, świerszcze wydawały się szczególnie głośne.

Wreszcie stary przemówił.

- Matthew, leć do chaty i przynieś co on powiedział: - W głosie jego nie było zadowolenia.

- Przynieś też bańkę nafty - powiedział Rambo. - Skoro już pomagacie mi, to żebyście nie byli na tym stratni. Zmoczę to ubranie naftą i niechaj wyschnie, zanim się w nie ubiorę. Nafta nie przeszkodzi psom, żeby mnie tropić, ale waszego zapachu na ubraniu nie wywęszą i nie pójda za nim, żeby sprawdzić, kto mi pomagał. Chłopiec nie odwrócił swej latarki od Ramba.

- Ja zrobię, co mi tata powie, a nie co ty.

- Jazda, rób tak, jak on mówi - rozkazał stary. - Ja też go nie lubię, ale przynajmniej facet wie, do ciężkiej cholery, w co nas wpakował.

Światło z latarki chłopca jeszcze chwilę nie drgnęło, trzymając się Ramba, jak gdyby chłopiec zastanawiał się, czy iść, czy zachować twarz. Potem jego promień przeniósł się z Ramba na krzaki, pstryknęło i zgasło. Rambo usłyszał, jak odchodzi, przedzierając się przez zarośla. Pewnie chodził od domu do tego źródła i z powrotem tyle razy, że już trafiłby z zamkniętymi oczyma, nie tylko bez latarki.

- Dzięki - powiedział Rambo do starego, który nadal świecił mu w twarz. Potem latarka zgasła. - I za to dzięki - rzekł Rambo, jeszcze z powidokiem w oczach, z wolna blednącym.

- Oszczędzam tylko baterii.

Rambo usłyszał, jak stary zbliża się do niego przez zarośla.

- Lepiej już nie podchodź - powiedział. - Żeby twój zapach nie zmieszał się z moim.

- Nie miałem zamiaru. Tu jest pień, na którym chcę usiąść, i to wszystko.

Stary trzasnął zapalką i przytknął ją do fajki. Płomyk nie potrwał długo, ale kiedy stary pykał tą fajką i płomyk zapalki to rozjarzał się, to przygasał, Rambo ujrzał kudłatą głowę i szczecinę na twarzy, i górną część koszuli w czerwonej kratce z szelkami na ramionach.

- Nie masz ze sobą tego, co wyrabiasz? - spytał go Rambo.

- Może.

- Zimno mi tak. Łyknąłbym sobie.

Stary chwilę odczekał, potem zapalił latarkę i rzucił mu gąsiorek, tak żeby Rambo widział, jak go złapać. Gąsiorek był kamionkowy i ciężki jak kula do kręgli, tak że w zaskoczeniu Rambo mało go nie upuścił. Stary czmychnął radośnie. Więc Rambo wyciągnął korek, mokry i skrzypiący, i wiedząc, że stary to doceni, napił się trzymając ciężkie naczynie jedną dłonią w zgięciu łokcia, ze wskazującym palcem przetkniętym u góry przez ucho. Smakowało to jak czysty spirytus, złościście krzepkie i palące na języku i w gardle, spływające do żołądka cał po calu gorąco przez cały przelyk. Omal się nie zakrzusił. Gdy opuścił naczynie, z oczu mu ciekło.

- Trochę mocne?- zapytał stary.

- Trochę - wykrztusił Rambo, z trudem wydobywając głos. - Co to jest?

- Wypęd z kukurydzy. Ale ma trochę mocy, nie?

- A tak, powiedziałbym, że ma trochę mocy - powtórzył Rambo z coraz większym wysiłkiem.

Stary się zaśmiał. - A tak, trochę mocy ma, owszem.

Rambo podniósł gąsiorek i jeszcze się napił, krztusząc się palącym, gęstym trunkiem, a stary znów parsknął krótkim śmiechem.

Od pierwszego zaśpiewu porannych ptaków Teasle obudził się po ciemku i leżał na ziemi przy ognisku otulony w koc zabrany z samochodu, patrząc na ostatnie gwiazdy za wierzchołkami drzew. Od lat nie zdarzyło mu się spać w lesie. Już ponad dwadzieścia lat, uświadomił sobie, policzywszy wstecz do 1950 roku. Nie od końca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego: spanie okopawszy się w zamrzniętych dołach ochronnych w Korei to nie to samo. Nie, cholera, ostatni raz tak naprawdę obozował pod niebem tej wiosny, kiedy dostał powołanie i postanowił zaciągnąć się do piechoty morskiej, i we dwóch z Orvałem wybrali się w góry na pierwszy weekend, jak zrobiło się w miarę ciepło. Teraz był zeszywniały od spania na gołej ziemi, odzież mu zawilgła, gdzie koc nasiąkł od rosy, i choć przy ognisku, ale przemarzył do kości. Jednak od lat nie czuł w sobie tyle życia, podniecony, że znowu jest w akcji, paląc się do pościgu za chłopakiem. Ale nie ma powodu zrywać wszystkich, dopóki Shingleton nie wrócił z zaopatrzeniem i z resztą ludzi, więc na razie jedyny już nie śpiący, rozkoszował się tym rodzajem samotności, jakże odmiennym od tych nocy, które spędzał sam, odkąd Anna go porzuciła. Otulił się mocniej w koc.

Poczuł zapach i spojrzął, a Orwał już siedział przy ognisku, paląc cienkiego skręta, którego dym snuł się w jego stronę z chłodnym wietrzykiem porannym.

- Nie wiedziałem, że nie śpisz - wyszeptał Teasle, aby nie budzić reszty. - Od jak dawna?

- Dłużej niż ty.

- Kiedy ja już nie śpię ponad godzinę.

- Wiem. Ja teraz niedużo śpiam. Nie żeby nie mógł. Po prostu szkoda mi czasu.

Zgarnawszy wokół siebie koc Teasle przysunął się do Orwała i zapalił papierosa od rozjarzonego w ogniu patyka. Płomienie ledwie pełgały, a gdy Teasle w nich pogmerał, zwracając patyk, strzeliły wzwyż ciepłe, trzaskające. Miał rację, mówiąc Orwałowi, że będzie jak dawniej, chociaż wtedy sam w to nie wierzył, tylko potrzebował Orwała i czuł do siebie niechęć, że go tak emocjonalnie naciąga. Ale jak się czuje zbieranie drzewa na ognisko, odrzucanie kamieni i gałązek, żeby choć trochę wyrównać grunt, rozkładanie koca; już zapomniał, jakie to solidne i dobre.

- Więc odeszła - powiedział Orwał.

Teasle nie chciał o tym rozmawiać. To ona jego porzuciła, nie na odwrót, więc mogło wyglądać, jakby wina była po jego stronie. Może i tak. Ale ona też była winna. Jednak nie mógł się zmusić do obwiniania jej, byle Orwał sobie o nim źle nie pomyślał, Usiłował to przedstawić bezstronnie.

- Może wróci. Zastanawia się nad tym. Nie gadałem za dużo, ale w ostatnich czasach sporośmy się kłócili.

- Nie jesteś lekki w pożyciu.

- Jak Boga kocham, ty też.

- Ale ja przeżyłem z tą samą kobietą czterdzieści lat i zdaje mi się, że Bea raczej nie myślała o rozwodzie. Wiem, że ludzie teraz pewnie ci zamęczają dopytywaniem się, ale ze względu na to, czym ty i ja dla siebie jesteśmy, chyba mam prawo. Więc o co były te kłótnie?

Prawie że nie byłby odpowiedział. Rozmowy o sprawach bardzo osobistych zawsze go krępowały, a zwłaszcza to, czego jeszcze nie wyrozumował: kto miał rację, czy jego to usprawiedliwia.

- O dzieci - odparł, a skoro już zaczął, to mówił dalej. - Chciałem, żebyśmy mieli przynajmniej jedno. Chłopca czy dziewczynkę, nieważne. Po prostu żeby ktoś był dla mnie tym, co ja dla ciebie. Ja sam nie wiem jak to wyjaśnić. Nawet głupio mi o tym rozmawiać.

- Nie gadaj mi, że to głupio, chłopie, kiedy sam przez tyle czasu próbowałem mieć własne.

Teasle popatrzył na niego.

- Och, ty jesteś jakby mój własny - rzekł Orval. - Tak jakby mój własny. Ale wciąż się zastanawiam, co też za dziecko Bea i ja zrobilibyśmy we dwoje. Gdyby się dało.

Zabolało go to: jak gdyby przez wszystkie te lata był dla Orwała Kellermana po prostu dzieckiem nieżyjącego serdecznego przyjaciela, które kiedyś go potrzebowało. Nie mógł się z tym pogodzić: to jeszcze gorsza niepewność samego siebie niż to, że Anna odeszła: a skoro zaczął o niej mówić, trzeba to wywlec na wierzch i skończyć z tym.

- W ostatnie Boże Narodzenie - powiedział - zanim przyszedliśmy do was na kolację, wpadliśmy na drinka do Shingletona, i patrząc na jego dwójkę, na ich twarze, jak oglądają prezenty, pomyślałem sobie: może warto by takie mieć? Oczywiście zaskoczyło mnie, że w moim wieku chce mi się dziecka a ją tym bardziej zaskoczyło! Rozmawialiśmy o tym, ona ciągle powtarzała, że nie aż po jakimś czasie zrobiłem z tego chyba za duży problem, i skończyło się na tym, że ona jakby zważyła sobie z jednej strony mnie, a z drugiej kłopot, jakim według niej byłoby dziecko. I odeszła. A najbardziej zwariowane w tym wszystkim, to że wprawdzie nie mogę spać, tak bardzo mi się chce, żeby wróciła, ale zarazem jakby cieszy mnie, że odeszła, że znów jestem od nikogo niezależny, żadnych przepychanek i kłótni, mogę robić co zechcę i kiedy zechcę, mogę wracać tak późno, jak mi się spodoba, nie dzwoniąc i nie tłumacząc się, nie przeprasząc, że się spóźnię na obiad, jak mi się tylko zechce i sypiać, z kim zechcę. Czasem nawet wydaje mi się, jakby najgorsze było w jej odejściu to, ile mnie będzie kosztował rozwód. A zarazem aż nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mi potrzeba, żeby wróciła.

Oddech mu parował na zimnie. Wrzeszczały gromadzące się ptaki. Patrzył, jak Orval zaciąga się okurkiem papierosa, przy samych palcach, sękatych w stawach i pożółkłych od nikotyny.

- A co z tym, którego ścigamy? - rzekł Orval. - To na nim odgrywasz się za to wszystko?

- Nie.

- Na pewno?

- Przecież wiesz. Nie zgrywam się na twardszego, niż muszę. Wiesz równie dobrze jak ja, że bezpieczeństwo w mieście zależy od tego, czy się trzyma w garści te drobnotki. Nie da się zapobiec poważnej zbrodni, jak rabunek albo morderstwo. Jeśli komuś bardzo na nich zależy, to je popełni. Ale miasto, jakie jest, to zależy od tych drobiazgów, których można dopatrzeć i w mieście będzie wtedy bezpiecznie. Gdybym się tylko wziął i uśmiechnął, i przełknął, co ten chłopak sobie zażyczył, to raz dwa bym się przyzwyczył i już każdy pętał mógłby mi wciskać, co zechce, i niebawem na inne rzeczy też bym pozwalał. Chodziło mi o siebie tyle samo, co i o chłopaka. Nie mogę pozwolić sobie na poluzowanie. Nie mogę raz egzekwować porządku, a raz nie.

- W każdym razie okrutnie pilno ci do tego, żeby go ścigać, mimo że twoja część roboty skończyła się. Teraz to już sprawa policji stanowej.

- Przecież to mojego człowieka zabił i ja odpowiadam za to, żeby go schwytać. Niech moi ludzie wiedzą, że nic mnie nie powstrzyma i dopadnę takiego, który by im coś zrobił.

Orval przyjrzał się niedopałkowi, który zgniótł w palcach, i kiwnął głową, rzucając go w ogień.

Cienie rozpraszają się, drzewa i krzaki już były wyraźne. To fałszywy świt i niebawem światło znów jakby ściemnieje, a potem wszędzie słońce i wszystko stanie się jasne. Można by już podnieść się i ruszać, pomyślał Teasle. Gdzie ten Shingleton z ludźmi i zaopatrzeniem? Powinien być już pół godziny temu. Czyżby się coś wydarzyło w mieście? Może policja stanowa go zatrzymuje. Teasle pogrzebał patykiem w ledwie tłącym się ogniu, wzniciając płomienie. Gdzież on się podział?

Potem doleciało go pierwsze naszczekiwanie psa z daleka, w lesie, i pobudziło psy uwiązane do drzewa w pobliżu Orwała. Było ich pięć i zbudziły się, warując przy ziemi, wpatrzone czujnie w Orwała. Teraz się poderwały, w podnieceniu, szciekając w odpowiedzi. Cicho! - rzekł Orval i spojrzawszy na niego ucichły. Barki ich dygotały.

Ward, Lester i młody zastępca ruszali się już niespokojnie przez sen. Leżeli tuż przy ogniu z przeciwnej strony, zatulając się w koce.

- Chwileczkę - odezwał się przez sen Lester.

Znów zaszczekał z daleka pies, choć już nieco bliżej, i psy Orwała nadstawiły uszu, rozszczękały się w odpowiedzi.

- Cicho - rozkazał dobitniej Orval. - Leżeć.

One jednak poderwały głowy na następne szczekanie, a nozdrza im drgały.

- Leżeć - powtórzył Orval i z wolna posłuchały go, jeden po drugim.

Ward zwinął się na boku, otulony w koc, z kolanami nieomal przy piersi.

- Co jest? Co się stało?

- Pora wstawać - rzekł Teasle.

- Co? - odezwał się Lester i zwinął się. - Boże, jak zimno!

- Pora wstawać.

- Jedną chwileczkę.

- Właśnie za chwileczkę tu będą.

Ludzie przedzierali się z trzaskiem przez zarośla, coraz to bliżej. Teasle zapalił drugiego papierosa, w ustach i w gardle mu zaschło, czuł, jak wzbiera w nim energia. Raptem uświadomił sobie, że to może być policja stanowa i zerwał się, zaciągając się papierosem, wypatrując w kierunku, gdzie trzeszczało poszycie leśne.

- Boże, ale zimno - utyskiwał Lester. - Mam nadzieję, że Shingleton przyniósł coś gorącego.

Teasle miał nadzieję, że to właśnie Shingleton z jego ludźmi, a nie policja stanowa. Nagle ukazało się ich pięciu, spieszenie idących między drzewami, przez krzaki w bladym i chłodnym świetle, ale wciąż nie mógł wypatrzeć koloru ich mundurów. Gadali ze sobą, jeden się potknął i zaklął, ale głosu Teasle nie mógł rozpoznać. Gdyby to była policja stanowa, już zastanawiał się, jak zachować prowadzenie tej sprawy.

Potem zbliżyli się i wychynęli spomiędzy drzew, pokonując krótkie wzniesienie, i Teasle poznał Shingletona, jak potyka się i nie może nadążyć za psem ciągnącym go na smyczy, a za nim ujrzał swoich ludzi. Nigdy jeszcze widok ich nie sprawił mu takiej przyjemności. Nieśli dobrze wypchane konopne worki i strzelby i zwoje liny, a Shingleton, gwałtem wleczony przez psa do obozowiska, miał na ramieniu radio polowe.

- Coś gorącego - wstał i dopominał się Lester. - Macie coś gorącego do zjedzenia?

Shingleton jakby nie słyszał. Zadyszany, oddał psa Orwalowi. Lester dopytywał się na gwałt u policjantów:

- Macie coś gorącego do zjedzenia?

- Kanapki z szynką i jajkiem - odpowiedział któryś, nie mogąc jeszcze złapać tchu. - Kawa w termosie.

Lester sięgnął po dźwigany przez niego worek.

- Nie tutaj - rzekł policjant. - Mitch. Tam dalej.

Radośnie szczerzący się Mitch już otwierał worek i rozdawał kanapki, zawinięte w nawoskowany papier, a wszyscy łapali się za nie i pożerali.

- Kawał drogi odwaliliście po ciemku - zwrócił się Shingleton do szeryfa, odzyskując oddech, wsparty o drzewo.

- Myślałem, że znajdę was najdalej za pół godziny, a zajęło mi to dwa razy tyle.

- Przecież nie mogliśmy tak pędzić jak oni w nocy - stwierdził Mitch. - Mieliśmy więcej do dźwigania.

- Ale i tak zrobili kawał drogi.

Teasle nie był pewien, czy Shingleton usprawiedliwia się za spóźnienie, czy wyraża swój podziw.

Wgryzł się w kanapkę, tłustą i ledwie ciepłą, ale jakie to było dobre, o Jezu. Wziął papierowy kubek, napełniony przez Mitcha parującą kawą; podmuchał i troszkę upił, parząc sobie górną wargę, podniebienie i język, czując, jak letnia papka z jajek i szynki robi mu się w ustach gorąca. - No i co tam słyszać?

- Tych z policji stanowej mało szlag nie trafił - zaśmiał się Shingleton. Przestał się wgryzać w kanapkę. -

Zaczekałem na tym polu, jak szef mi kazał, i zjawili się może w dziesięć minut po tym, jak weszliście do lasu. Ależ byli wściekli o Jezu, że wyście skorzystali z tej resztki dnia i jeszcze ruszyli za chłopakiem, żeby nie wypaść z tej gry. Ale mnie zdziwiło, że tak szybko się połapali, o co szefowi chodzi.

- I na czym stało?

Shingleton z dumą wyszczerzył zęby i znów ugryzł kanapkę.

- Pół nocy spędziłem z nimi na posterunku aż zgodzili się iść szefowi na rękę. Zablokują drogi wylotowe i w góry nie będą się zapuszczać. Słowo daję, niełatwo mi było ich przekonać, żeby się w to nie pakowali.

- Dzięki. - Wiedział, że Shingleton na to czeka.

Shingleton kiwnął głową, żując.

- W końcu przekonało ich, jak powiedziałem, że szef lepiej od nich zna tego chłopaka i że najlepiej wie, co on może zrobić.

- Nie mówili, co to za jeden i za co jeszcze może być poszukiwany?

- Pracują nad tym. Powiedzieli, żeby ich stale informować przez to radio. Na pierwszy sygnał, że nie radzimy sobie, wkroczą do akcji ze wszystkim, co tylko mają.

- Poradzimy sobie. Niech tam który kopnie Balforda, żeby wstawał - Teasle wskazał na młodego zastępcę, opatulonego w koc przy ognisku. - Ten wszystko by przespał.

Orval poklepał psa, którego mu oddał Shingleton, przyprowadził go i kazał mu polizać twarz Balforda, i młody policjant zerwał się, gniewnie ocierając sobie jego ślinę z ust.

- Co jest u diabła?

Ludzie wybuchnęli śmiechem i wtem zaskoczeni umilkli. Dobiegł ich warkot silnika. Jeszcze za daleko, żeby Teasle mógł się domyślić, co to takiego, ale coraz wyraźniejszy, aż wreszcie niski i grzmiący, kiedy helikopter wychynał spoza wierzchołków drzew i zakrążył nad nimi ogromny, połyskujący w słońcu.

- Co u... - zaczął Lester.

- Skąd wiedział, że tu jesteśmy?

Psy rozszczękały się. Przez ryk silnika słychać było, jak śmigł tną z wizgiem powietrze.

- Coś nowego - wyjaśnił Shingleton - policja stanowa mi to dała. - Wyjął coś wyglądającego jak matowo szara papierośnica. - To nadaje sygnał radiolokacyjny. Powiedzieli, że chcą bez przerwy wiedzieć, gdzie jesteśmy i kazali mi to nosić przy sobie, a drugą połówkę dali temu facetowi, co miał wypożyczyć nam helikopter.

Teasle przełknął resztkę kanapki. - Który z naszych ludzi jest tam z nim w górze?

- Lang.

- Masz z nim połączenie radiowe?

- Oczywiście.

Radio stało tam, gdzie je Shingleton umieścił, w niskim rozwidleniu drzewa. Teasle przerzucił wyłącznik i spoglądając w górę na helikopter krążący opodal, z migotem słońca odbijającego się w rozjazgotanych śmigłach, powiedział głośno do mikrofonu: - Lang. Portis. Jesteście gotowi?

- W każdej chwili, szefie. - Głos był chropawy i splaszczony. Dochodził jakby z bardzo daleka.

Teasle ledwie słyszał go przez ryk silnika. Spojrzał po swoich ludziach. Orval pośpiesznie zbierał papierowe kubki i woskowe opakowania z kanapek i rzucał je w ogień. Reszta zapinała na sobie ekwipunek, zarzucali na ramię strzelby. Gdy papiery i kubki się spopieliły, Orval przyrzucił ogień ziemią, zgarniając ją butami.

- To w porządku - rzekł Teasle. - Ruszamy.

Był tak podekscytowany, że z trudem udało mu się trafić mikrofonem w gniazdo na radioaparacie.

Przez cały ranek, kiedy na przemian biegł i szedł, i biegł, i szedł, słyszał silnik buczący gdzieś o wiele mil, od czasu do czasu stłumiony wystrzał i niski głos męski, coś mamroczący przez megafon. Później ten silnik był już o kilka szczytów. Rozpoznał w nim wojenny odgłos helikoptera i przyspieszył.

Już prawie od dwunastu godzin był ubrany, ale po wspinaczkę nago po wzgórzach, w nocnym zimnie, wciąż jeszcze rozkoszował się szorstkim ciepłem odzieży. Miał ciężkie, stare buty, które około północy syn przyniósł do kotlinki u źródła. Z początku były za duże, ale napchawszy w palce liści tak je dopasował, żeby mu się w nich stopy nie ślizgały, nacierając pęcherze. Mimo to ich skóra była ostra i sztywna dla jego bosych stóp: szkoda, że chłopiec zapomniał mu przynieść skarpetek. Może i umyślnie zapomniał. Spodnie za to były przyciasne i domyślając się, że syn również wybrał mu je naumyślnie, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Buty za duże, a spodnie za ciasne, dobry żart.

Wyglądały na takie niegdyś od garnituru, wydarte na siedzeniu i połatane, tak że stały się spodniami roboczymi, jasnej barwy, w ciemnych plamach oleju i brudu. Koszula z białej bawełny, wystrzępiona w mankietach, kołnierzyku i dziurkach od guzików, a na to, żeby nie zmarzł po nocy, stary dał mu nawet swoją własną grubą, wełnianą koszulę w czerwone kraty. Zaskoczyło go to, że stary w końcu okazał się taki życzliwy i hojny. Może sprawiła to whisky. Gdy już razem ze starym zjedli marchewkę i pieczonego kurczaka na zimno, przyniesione przez chłopca, zaczęli sobie podawać z ręki do ręki gąsiorek z whisky, syn również, no i wreszcie stary posunął się aż do tego, że oddał mu własną strzelbę i do niej garść naboju zawiązanych w chusteczkę.

- Sam kiedyś musiałem się zadekować w górach na parę dni - rzekł stary. - Dawno temu. Byłem niewiele starszy niż teraz mój chłopak. - Nie powiedział dlaczego, a Rambo uważał, aby nie spytać. - Nawet nie miałem jak wpaść do domu po strzelbę. A przydałaby mi się na nich. Jak się z tego wykręcisz, przyslij mi forszę za tę

strzelbę. Daj słowo. Nie o forszę chodzi. Z tego, co robię, Bóg świadkiem, wystarczy mi na drugą. Ale jak z tego wyleziesz, chciałbym się dowiedzieć, jak ci poszło, no i może ta strzelba ci przypomni, żebyś dał znać. To jest niezła sztuka. - I rzeczywiście: kalibru 30-30 z dźwignią, o pół mili mogąca człowieka podziurawić kulą na wylot, jak z bliska bryłę sera. Na stopce kolby stary dodał grubą, skórzaną podkładkę, żeby mniej kopała. Na muszce zaś umieścił kropkę fosforyzującej farby, aby lepiej celować w nocy.

Po czym Rambo zrobił to, co obiecał, wycofując się po własnych śladach w dół potoku od miejsca, gdzie stary mógł ukrywać swój kocioł z węzownicą i swoje gąsiorki.

Niebawem posuwał się już na zachód, ciągle z zamiarem, aby wreszcie skierować się na południe i do Meksyku. Nie oszukiwał się, że dotrzeć tam będzie łatwo. Ponieważ nie chciał ryzykować, że zdradzi się kradnąc samochód, przyjdzie mu wędrować miesiącami po bezludziach i żyć z tego, co znajdzie i upoluje. Nie wyobrażał sobie jednak, aby gdzieś bliżej mógł znaleźć bezpieczne miejsce, a jakkolwiek daleko do granicy, przynajmniej na razie to jest jakiś kierunek. Uszedłszy kilka mil po ciemku, więc z konieczności powoli, przespał się na drzewie, zbudził o świcie i pożywił się marchewką z kurczakiem, wziętymi od starego jeszcze na drogę. Teraz, gdy słońce już prażyło z wysoka, miał poza sobą wiele mil i biegł między drzewami pod górę, w długiej i szerokiej kotlinie.

Huk wystrzałów się wzmógł, słowa z głośnika dobiegały coraz wyraźniej i wiedział, że wkrótce helikopter będzie sprawdzał tę kotlinę jak inne. Wpadł spomiędzy drzew, aby przebiec odkrytą przestrzeń trawy i paproci, gdy ówierać jej przebywszy raptem usłyszał ten rozłopotany ryk niemalże nad sobą i obrócił się w panice, gdzie tu się ukryć? Samotna w trawie, z pniem widać rozprutym od pioruna, leżała jedynie zwalona sosna: nie zdążyłby już dopaść z powrotem drzew. Pognał i dał nura pod jej gęste, duszne gałęzie, ocierając sobie grzbiet, kiedy się pod nimi rozciągnął, i wypatrując przez igły sosnowe ujrzał, jak maszyna wychynęła i leci kotliną w dół. Coraz większa. Płozami omal nie zahaczała o najwyższe gałęzie drzew.

- Tu policja - grzmiał z megafonu śmigłowca męski głos. - Nie masz żadnych szans. Poddaj się. Mówimy do wszystkich w tym lesie. Niebezpieczny zbieg może być tuż koło was. Pokażcie się. Pomachajcie do nas, jeśli widzieliście samotnego, młodego mężczyznę. - Głos umilkł, po czym znów się odezwał, niezgrabnie brzmiący, jakby czytano z kartki. - Tu policja. Nie masz żadnych szans. Poddaj się. Mówimy do wszystkich w tym lesie. Niebezpieczny zbieg może być tuż koło was.

I tak dalej, a potem ucichło i znów od początku, a Rambo leżał pod gałęziami bez drgnięcia, wiedząc, że iglasty gąszcz kryje go z ziemi, ale nie mając pewności, czy z powietrza też, patrząc, jak śmigłowiec się niesie sponad drzew ku trawiastej łące. Był już dość blisko, aby mógł z dołu zajrzeć do oszklonej kabiny. Dwaj mężczyźni wyglądali z niej na obie strony przez otwarte okna, pilot w cywilu i policjant w szarym uniformie, jaki noszą ludzie szeryfa, mierzący z dalekonośnego karabinu z lunetą. Ta-rach! rozległ się strzał, wymierzony w kupę głązów i zarośli na skraju lasu, nad którym śmigłowiec właśnie przeleciał.

Boże, ten Teasle się doprawdy na niego uwziął, skoro kazał swemu człowiekowi strzelać w każde miejsce mogące być kryjówką, nie bojąc się trafić kogoś niewinnego, bo większość i tak posłucha wezwania i pokaże się. Z punktu widzenia szeryfa: czemu nie? Teasle patrzy na to w ten sposób, że on jest po prostu mordercą policjanta i musi być przykładnie schwytyany, żeby nikt inny sobie nie pomyślał, że można by zabić policjanta. Ale Teasle jest i tak za dobrym policjantem, by akceptował zastrzelenie go nie dając mu szansy, żeby się poddał. Właśnie po to jest wezwanie przez głośnik, a ten pomysł, aby strzelać na oślep w miejsca, gdzie mógłby się ukryć, ma służyć raczej do wypłoszenia go, a nie po to, by zabić. Ale i tak za wielkie jest prawdopodobieństwo, że go trafią, więc co za różnica, czy te strzały go wypłoszą, czy nie wypłoszą?

Ta-rach! w następną kępę krzaków na skraju lasu, a teraz już lecieli nad łąką i za parę sekund będą nad nim, i prawie na pewno tu strzelą. Wymierzył przez gałęzie ze strzelby, celując w twarz nadlatującego strzelca, żeby wyprawić go do piekła, niech tylko przyłoży oko do celownika. Nie chciał już zabijać, ale nie ma innego wyjścia. A co gorsza, jeśli go zastrzeli, pilot zaraz przycupnie i schowa mu się, umknie czym prędzej, wołając przez radio pomocy, i wszyscy się już dowiedzą, gdzie on jest! Chyba żeby powstrzymał pilota eksplodując w helikopterze zbiorniki z paliwem, ale o tym, wiadomo! głupio nawet i myśleć. Oczywiście może w nie trafić. Ale żeby wybuchły? To się zdarza jedynie w snach, żeby ta sztuka wyszła bez pocisków zapalających.

Leżał w napięciu i czekał, a serce tłukło mu nieznośnie, gdy helikopter nadlatywał z rykiem. Strzelec już nachylił twarz do lunety na karabinie, a Rambo właśnie naciskał spust, kiedy zorientował się, co strzelec ma na oku i - chwała Bogu, że w porę to spostrzegł - zwolnił nacisk. O pięćdziesiąt metrów na lewo spiętrzyły się głązy i krzaki ponad kałużą wody. Niewiele brakowało, aby sam się tam ukrył, gdy usłyszał nadlatujący kotliną śmigłowiec, ale trochę za daleko, nie zdążyłby. Teraz helikopter niósł się tam właśnie... ta-rach! i własnym

oczom nie uwierzył, chyba mu się coś przywidziało. Krzaki się poruszyły. Zamrugał, w krzakach się zaszamotało i już wiedział, że go wzrok nie myli, gdy rozstały się i wypadł z nich potężny, o rozłożystych rogach, barczysty jeleni, potykając się i wspinając po gałęziach. Upadł, dźwignął się znów i skoczył przez łąkę w las po przeciwnej stronie, a helikopter za nim. Struga ciemnoczerwonej krwi połyskiwała jeleniowi na udźcu, ale jakby na to nie zważał, tak wspaniale rwał tym skocznym, wyciągniętym krokiem ku drzewom, a helikopter za nim.

Serce tłukło mu jak szalone.

I tłuc nie przestało. Za chwilę wróca. Z jeleniem to tylko zabawa. Niech wpadnie między drzewa i zniknie, oni zawrócą. Skoro się coś kryło w tych krzakach nad kałużą, to pod zwalonym drzewem też coś może się znaleźć.

Uciekać stąd!

Ale musiał jeszcze poczekać, aż ogon śmigłowca zwróci się ku niemu i obaj mężczyźni będą patrzyli wprost, na jelenia, za którym gonią. Sprężył się w oczekiwaniu i wreszcie nie mógł dłużej, wyturlał się spod gałęzi, biegiem, gdzie trawa najkrótsza i nie zostawi śladu. Już był przy gałęziach i krzakach. Warkot helikoptera zbyt wcześniej się zmienił, zabrzmiał wyżej. Więc jeleni już dopadł lasu. Helikopter zawraca. Rzucił się jak szalony, skuliwszy się, pod osłonę gałęzi i potoczył się w krzaki, gotów strzelać, jeśli go spostrzegli w ucieczce.

Tatrach! Ta-rach! pierwszy strzał z podejścia do leżącej sosny, drugi gdy helikopter zawisł nad nią, obracając się z wolna, by ruszyć dalej wzdłuż kotliny. Dając mu spokój.

- Tu policja. Nie masz żadnych szans. Poddać się. Mówimy do wszystkich w tym lesie. Niebezpieczny zbieg może być tuż koło was. Pokażcie się. Pomachajcie do nas, jeśli widzieliście samotnego, młodego mężczyznę.

Porcja niestrawionej marchewki z kurczędziem nagle rzuciła mu się z żołądka do ust, wypluł ją na trawę, język mu się nasączył goryczą. Znajdował się u wąskiego krańca kotliny. Dalej pod górę skały już zwierały się z obu stron i przyglądał się - jeszcze słaby od wymiotów - skroś zarośli, jak helikopter poniósł się w tę stronę ponad drzewami, a potem wbił się, przeskoczył tuż nad skalnym grzbieciem i zapadł w następną kotlinę, z rykiem zamierającym z wolna, z przytłumionym głosem z megafonu.

Nie mógł ustać, nogi mu się za bardzo trzęsły. Przez to drżenie drżał jeszcze bardziej: helikopter nie powinien był go aż tak nastraszyć. Na wojnie bywał w akcjach dużo gorszych i wychodził z nich rozdygotany, owszem, ale nigdy aż tak, żeby ciało mu odmówiło posłuszeństwa. Skóra mu się lepiała, chciał pić, ale kałuża w zaroślach była zielona i stęchła, więc pochorowałby się jeszcze gorzej.

Za długo nie walczyłeś, i to wszystko, powiedział sobie. Po prostu nie masz kondycji. Wkrótce się przyzwyczaisz.

No tak, pomyślał. To pewnie dlatego.

Czepiając się gałęzi, zmusił się z wolna do wstania i wytknąwszy głowę ponad krzaki rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Uspokojony, oparł się o gałąź, na nogach jeszcze niepewnych, i omiół zamek strzelby z igieł sosnowych. Cokolwiek by się stało, musi dbać o broń. Zapach nafty, którą polał sobie ubranie, już się ulotnił, zastąpiła go lekka i cierpka woń żywicy, którą przepoiła go sosna. Zmieszała się z gorzkim smakiem w ustach i pomyślał, że znów go zemdli.

Z początku nie był pewien, czy dobrze usłyszał: wiatr powiał i rozproszył dźwięki. Powietrze znieruchomiało i już wyraźnie je usłyszał; pierwszy stłumiony odgłos psów naszczekujących poza nim, w dole, u rozszerzającego się krańca kotliny. Znów drżenie mu przeszło po nogach. Zwrócił się na prawo, gdzie trawa wspinała się pochyłym zboczem do gałęzi i rozproszonych drzew, a potem do skał, i wyteżając mięśnie nog pobiegl.

Chłopak niewiele ich wyprzedził, kalkulował Teasle - on i jego ludzie przedzierali się za psami skroś drzew i zarośli. Z więzienia wyrwał się o szóstej trzydzieści, o ósmej trzydzieści zapadła ciemność i po nocy nie mógł ująć daleko w tych górach, godzinę, co najwyżej dwie. Na pewno ruszył o świcie, jak i oni, więc wyprzedził ich w sumie o jakieś cztery godziny. Ale biorąc pod uwagę inne czynniki, mogą to być raczej dwie godziny albo i mniej: opóźnia go choćby to, że jest nagi; nie zna tych okolic, więc od czasu do czasu będzie się zapuszczał w strome wąwozy i w kotliny bez wyjścia, znów tracąc czas na wydostanie się z nich i szukanie innej drogi. W dodatku nie ma co jeść, więc będzie się bardziej męczył, szedł wolniej, zmniejszał dzielącą ich odległość.

- Na pewno ma przewagi poniżej dwóch godzin - rzekł w biegu Orval. - Co najwyżej godzinę. Spójrz na te psy. Trop jest taki świeży, że nawet nie muszą iść nosem po ziemi.

Orval wyprzedzał szeryfa i pozostałych, pędził za swymi psami, z ramieniem wyciągniętym jak przedłużenie otoku, na którym je prowadził, a Teasle wspinał się i przedzierał przez krzaki, usiłując za nim nadążyć. Było to poniekąd zabawne, że stary człowiek, liczący sobie 72 lata, narzuca im tempo i potrafi zagonić ich do upadłego.

Tylko że Orval każdego ranka biega pięć mil, pali cztery papierosy dziennie i w ogóle nie pije, podczas gdy on wypala półtorej paczki, obciaga piwo kartonami po sześć i nie ćwiczył od lat. Że przynajmniej na tyle mógł dotrzymać kroku Orvalowi, to już nie najgorzej. Dyszał tak szybko i głęboko, aż go paliło w płucach, a w podudziach łupało, jakby je wzięto w szyny, ale przynajmniej nie biegł już tak niezgrabnie jak na początku. W piechocie morskiej uprawiał boks i nauczono go tam biegać dla treningu. Ale ciało jego dawno się odzwyczaiło i teraz musiał znów uczyć się, jak biec posuwistym, szybkim, wygodnym krokiem, pochylając się z lekka, tak by sam bezwład jego ciała zmuszał nogi do pchania go w przód, żeby nie upaść. Po trochu przypominał to sobie i biegł coraz prędzej, lżej, ból się zmniejszał, a wzbierała w nim przyjemność wysiłku.

Czuł się tak ostatni raz pięć lat temu, gdy wrócił z Louisville jako nowy szef policji w Madison. Miasto niewiele się zmieniło, a jednak wyglądało całkiem inaczej. Stary dom z cegieł, w którym wyrósł, na podwórzu za domem drzewo, na którym ojciec zawiesił huśtawkę, nagrobki jego rodziców... w latach, kiedy go tu nie było, wspomnienia tego wszystkiego stały się płaskie i bezbarwne jak czarno-biała fotografia. Teraz nabrały wymiaru i głębi, stały się zielone, brązowe i czerwone, a nagrobki były z purpurowego marmuru. Nie przypuszczał, że widok tych grobów uczyni powrót jego tak przygnębiającym. Dziewczynka, czy raczej embrion, w plastikowej torbie u stóp matki leżącej w trumnie. Obydwa ciała dawno już rozpadły się w proch.

A wszystko to dlatego, że była katoliczką. Płód ją zatrzymał, Kościół nie pozwalał go usunąć, więc oczywiście posłuchała się i umarła, a dziecko razem z nią. Stało się to, kiedy miał dziesięć lat, i nie rozumiał, dlaczego ojciec przestał odtąd chodzić do kościoła. Ojciec, który od tej chwili starał się być dla niego także i matką, uczył go, jak obchodzić się z bronią i łowić ryby, jak cerować sobie skarpetki i gotować, sprzątać i pracować uczył go samodzielności, prawie jak gdyby przewidywał, że zginie w trzy lata później w lesie od postrzału. A potem wychowujący go Orval Kellerman, potem Korea, Louisville i wreszcie, w wieku trzydziestu pięciu lat, na powrót znalazł się w domu.

Tylko to już nie był jego dom, po prostu miejsce, gdzie wyrósł, i w tym pierwszym dniu po swym powrocie, odwiedzając kolejno niegdyś znajome miejsca, uświadomił sobie, że już ma za sobą blisko połowę życia. Pożałował, że tu przyjechał, i o mało co nie zadzwonił do Louisville, aby sprawdzić, czy nie mógłby tam wrócić do pracy. Wreszcie poszedł do biura handlu nieruchomościami, tuż przed zamknięciem, i teje nocy pojechali z agentem rozejrzeć się po domach na sprzedaż lub do wynajęcia. Ale we wszystkich domach i lokalach, jakie oglądali, ktoś jeszcze mieszkał i Teasle nie potrafił sobie wyobrazić, żeby w którymkolwiek z nich mógł pozostać sam. Agent dał mu wykaz ofert ze zdjęciami, żeby przejrzał je sobie do poduszki, i wtedy, kartkując go w pokoiku hotelowym, trafił na to, czego mu było trzeba: domek letni we wzgórzach pod miastem, przed nim rzeka, drewniany most i z tyłu gęsto zadrzewione zbocze. Okna powybijane; dach zapadł się, a ganek od frontu zawalił; farba łuszcząca się i obłazująca; okiennice potraskane i ledwie trzymające się na zawiasach.

Następnego ranka dom już był jego; i nigdy w życiu tak nie harował dniem i nocą jak w następnych tygodniach. Od ósmej do piątej organizował sobie policję, przeprowadzając rozmowy z tymi na etacie, zwalniając tych, którym nie chciało się po nocy chodzić na strzelnicę albo do stanowej wieczorowej szkoły policyjnej, angażując takich, których nie odstraszała służba w godzinach nadliczbowych, wyrzucając przestarzałe wyposażenie, i kupując nowe, usprawniając zagnatwany tryb działania, jaki mu zostawił poprzednik, kiedy umarł na frontowych schodach na zawał serca. A później od piątej aż do zaśnięcia urządzał swój dom, kładł na nim dach, szklili okna i kitował je, wstawiał nowy ganek, malował to wszystko na rdzawo, aby pasowało do zieleni drzew. Ze spróchniałego drewna z rozbiórki dachu i ganku rozpałał co noc ognisko i siedział przy nim, gotując sobie, jedząc chili con carne, stek z upieczonymi kartoflami albo hamburgery. Nigdy w życiu lepiej mu nie smakowało, nigdy lepiej nie sypiał i nie czuł się lepiej, dumny z mozołów na stwardniałych dłoniach, a sztywność nóg i ramion przeobrażała się w siłę i naturalną sprawność ruchów. Tak było przez trzy miesiące, a potem zajęcia przy domu dobiegły końca; jeszcze przez jakiś czas wyszukiwał sobie różne drobiazgi; no i potoczyły się noce, w które nie miał co robić, więc szedł na piwo albo zostawał dłużej na strzelnicy, albo wracał do domu na telewizję i piwo. A potem ożenił się i to również miał już za sobą, i teraz wybiegając spomiędzy drzew na polanę, z chrypiącym oddechem w krtani, w piekącym pocie, czuł się tak wybornie, że dziwił się tylko, dlaczego się tak zaniedbał.

Psy ujadają z przodu i Orval wyciągał swe długie nogi, by za nimi nadażyć. Policjanci usiłowali nadażyć za Teaslem, a on za Orvałem; i był taki moment, gdy biegł po trawie, cały w jasnym i gorącym słońcu, z nogami i ramionami wprawionymi w równy i prędki rytm, kiedy poczuł, że mógłby tak pędzić bez końca. Wtem Orval przyspieszył i oddalił się, a Teasle już nie mógł wyciągnąć tej szybkości.

Wyborne samopoczucie opuściło go.

- Nie tak prędko, Orval!
Lecz Orval dalej pędził równo z psami.

Kiedy dotarł do granicy drzew i skał, musiał zwolnić i uważnie stawiać obute już stopy, bo mógłby się pośliznąć na głazach i nawet złamać nogę. U skalnego podnóża przyśpieszył, szukając łatwego wejścia na szczyt, i znalazł szczelinę, głęboką na metr i biegnącą wprost ku wierzchołkowi. Zaczął się wspinać. Niedaleko od szczytu kamienne występy, których się czepiał, były od siebie tak odległe, że musiał chwycić się ich pazurami i podciągać, ale potem wspinaczka znów stała się łatwiejsza i niebawem wydostał się ze szczeliny na równą skałę. Na szczycie ujadanie psów rozlegało się głośnym echem. Skulony rozejrzył się, czy w pobliżu nie ma śmigłowca. Lecz nie było go widać - ani słysać - i ani znaku, żeby ktoś wypatrywał go czy to z sąsiedniego wzgórza, czy z dołu. Skrył się w krzakach i drzewach na krawędzi urwiska i prędko przeczołgał w prawo, na uskok, z którego miał rozległy widok na kotlinę, i tu się położył, obserwując naprzemienne pasma łąk i lasów. O milę w dół kotliny dojrzał ludzi, biegnących z gęstwy drzew po szerokiej polanie znów między drzewa. Z tej odległości byli drobni i nie do rozpoznania; doliczył się bodaj dziesięciu. Psów nie mógł wypatrzeć, ale po głosie sądząc, było ich sporo. Jednak nie liczba ich go niepokoiła, lecz to, że najwyraźniej złapały jego trop i szybko nim podążają. Za piętnaście minut będą już tu, gdzie on teraz. Teasle nie powinien go tak prędko dogonić. Powinien być o wiele godzin do tyłu. A więc jest wśród nich ktoś, może sam Teasle, a może któryś z jego ludzi, dobrze znający okolicę i orientujący się, podług znanego sobie z grubsza kierunku ucieczki, jakimi skrótami da się go wyprzedzić.

Pobiegł między skałami z powrotem do tego wgłębienia: nie będzie Teasle miał tu łatwej wspinaczki, jak on. Położył strzelbę na trawiastym wzgórkach, żeby się nie pobrudziła ziemią, i zaczął pchać głaz leżący koło urwiska. Był wielki i ciężki, ale kiedy go ruszył z miejsca, zachwianie równowagi pomogło mu. Niebawem zdołał go zatoczyć tam, gdzie chciał, i całkowicie zaklinować w wylocie szczeliny, tak że jednym bokiem wystawał poza urwisko. Kto podejździe do niego z dołu, nie przedostanie się bokiem ani górą. Musiałby go zepchnąć, zanim by się wydostał na wierzch, ale podsadziwszy się z dołu nie ruszy go, bo nie będzie miał o co się zaprzeć. Potrzebowałby kilku do pomocy, ale szczelina jest za wąska, żeby się pomieścili. Teasle będzie się długo zastanawiał, jak usunąć ten głaz, a tymczasem jego tu już od dawna nie będzie.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Spojrząwszy w głąb kotliny zdziwił się, że w czasie, gdy on przetaczał głaz, pościg tak prędko się posuwał i już widać ich przy wodzie i zaroślach, gdzie dopiero co się ukrywał. Miniaturowi ludzie tam w dole przestali się rozglądać po krzakach i skupili się na psach, które obwąchują grunt i szczekając biegają w kółko. Coś musiało im zmylić trop. Uświadomił sobie: ranny jelen! Kiedy rzucił się w krzaki, trochę krwi jeleniej musiało na nim zostać: i teraz psy próbują się zdecydować, po którym tropie iść: jego czy jelenia? Niestety, prędko się zdecydowały. Ledwie rzuciły się jego śladem w stronę urwiska, odwrócił się, złapał strzelbę i pobiegł znów przez krzaki i drzewa, byle głębiej w las. Gdy zarośla robiły się zbyt gęste obracał się i przepychał tyłem, potem znów biegł do chwili, aż przyszło mu pchać się grzbietem do przodu. Od wysiłku, jaki kosztowało go zatoczenie głazu do wylotu szczeliny, twarz i pierś mu ociekły potem, który piekł i gryzł, a teraz pot oblewał go jeszcze bardziej, gdy przedzierał się przez gąszcz pokrzyw, rozdrapując sobie kłykie do żywego, do krwi.

Wtem znalazł się na otwartej przestrzeni. Wpadł z półmroku drzew na słoneczne zbocze, całe z kamienia i łupku, i przystanął, żeby odsapnąć. Ostrożnie zsunął się nad krawędź. Tu zaczynało się znów urwisko i w głębi rozległy las, mieniący się liśćmi w barwach czerwonych, pomarańczowych i brązowych. Zbyt strome, aby dało się tędy zejść.

A więc ma urwisko przed sobą i za sobą, co znaczy, że pozostały mu tylko dwie drogi. Na wschód, czyli z powrotem ku szerokiemu wylotowi kotliny. Ale Teasle na pewno wyprawiał grupy przetrzasujące wzgórza po obu stronach kotliny na wypadek, jeśliby zawrócił. Pozostało więc tylko jedno wyjście, na zachód, gdzie skierował się helikopter: więc pobiegł w tę stronę, aż znalazł się znów nad urwiskiem i stwierdził, że tym razem wpakował się w pułapkę.

Jezusie. Psy szczekały coraz głośniejsze, a on ścisnął strzelbę, przeklinając się w żywy kamień, że zapomniał o jednej z najbardziej podstawowych zasad, jakich go kiedykolwiek uczono. Zawsze wybierać taką drogę, która nie zaprowadzi do pułapki! Nigdy nie pędź tam, gdzie można cię odciąć. Jezu Chryste. Czy nie tylko ciało, ale i mózg ci się rozmiękczył od tego wylegiwania się w szpitalnych łózkach? W żadnym razie nie należało wspinać się po tej skale. Zasługujesz na to, żeby cię złapał. I na wszystko, co Teasle ci zrobi, jeżeli dasz się złapać.

Psy rozszczękały się jeszcze bliżej. Przyłożył sobie dłoń do twarzy, piekącej od potu, i poczuł na brodzie pstrą szczecinę, cofnął i obejrzał dłoń lepka od krwi, gdzie poorały go krzaki i pokrzywy. Od tej krwi wściekł się na samego siebie. Myślał, że dość łatwo mu będzie uciec przed Teaslem, zwykła rutyna, i że po tym, co przeszedł na wojnie, da już sobie radę ze wszystkim. I dopiero teraz mówił sobie: wolnego! A wiedział, że choćby to, jak wstrząsnęła nim przygoda z helikopterem, powinno go było ostrzec: i mimo to był tak pewien, że prześcignie szeryfa, aż wziął i zapędził się w pułapkę i teraz będzie miał dużo szczęścia, jeśli wykaraska się z tego tracąc zaledwie tyle krwi, co już stracił. Pozostało mu tylko jedno. Pobiegnął wzdłuż krawędzi nowego urwiska, wypatrując w dół i oceniając wysokość, przystanął tam, gdzie wydawało mu się najniżej. Sześćdziesiąt metrów. No dobra, powiedział sobie. Nawarzyłeś, do cholery, tego piwa, to będziesz pił.

Przekonamy się, czy potrafisz wziąć dupę w troki.

Wsunął sobie wygodnie strzelbę za pas, tak ją umieszczając, żeby leżała pionowo u boku, kolba niemal pod pachą, lufa przy kolanie. Upewniwszy się, że nie wypadnie, aby się roztrzaskać w dole na skałach położył się płasko na brzuchu, osunął za krawędź i zawisł na rękach, ze stopami w próżni. Teraz oprzeć się o coś palcami stóp.

Nie mógł znaleźć dla nich oparcia.

Psy zaczęły histerycznie ujadać, jak gdyby dotarły do zablokowanego wejścia na urwisko.

Czy po to, aby się posłużyć jego wyciągiem i blokami do usunięcia głazu, czy dla zbadania urwiska: może się tam ukrywa? W każdym razie Teasle musiał go wezwać przez radio prawie natychmiast. Rambo spuścił się ledwie o dziesięć długości swego ciała po stromym urwisku, gdy znów go usłyszał, jak buczy w oddaleniu, coraz to głośniejsze. Obliczał, że jak dotąd każde opuszczenie się o własną długość zajmowało mu prawie minutę; tak trudno było znaleźć pęknięcie lub występ, których się czepiał, sprawdzić każde oparcie czubkiem stopy, opuszczając się z wolna, po trochu przenosząc na nie swój ciężar, zanim odetchnie z ulgą, że wytrzymało. Nieraz wisiał tak, jak przedtem na krawędzi, młócąc butami po ścianie, aby z niej wyskrobać jakieś oparcie. Miejsca do uchwytu były tak rzadko rozsiane, że wdrapać się z powrotem, aby helikopter go nie zauważył, byłoby mu równie trudno jak zejść. A i tak pewnie by nie zdążył, zanim nadleci, więc nie warto nawet próbować: lepiej spuszczać się dalej w nadziei, że helikopter go nie zauważy.

Skały w dole wykrzywiały się olbrzymie, przyciągając go, jak gdyby nachylał się coraz niżej, w ich obraz widziany pod lupą, a on starał się udawać, że to po prostu ćwiczenie na zajęciach ze skoków. Ale tak nie jest. I nasłuchując psów i coraz bliższego warkotu śmigłowca, przyspieszał jednak schodzenie, zwieszał się aż do granic możliwości, już nie tak sprawdzał oparcia dla stóp, swędzący pot sączył mu się po twarzy i zbierał dygotliwie na wargach i podbródku. Przedtem, gdy słyszał helikopter, biegnąc przez łąkę do kryjówki pod zwaloną sosną, odgłos jego zbliżania się był jakby siłą fizycznie go popychającą. Ale teraz, tutaj, skrępowany i powolny mimo pośpiechu, czuł jego potężniejszy ryk jakby coś śliskiego, co pnie mu się z wolna od krzyża, im wyżej, tym cięższe. Kiedy przyssało mu się do podstawy czaszki, obejrzał się na niebo za plecami i przylgnąwszy do skały znieruchomiał, gdy szybko zwiększający się ponad drzewami helikopter pędził ku ścianie urwiska. Jego zwierzchnia, wełniana koszula czerwieńta się na kamiennej szarości; modlił się, żeby strzelec jakimś cudem jej nie zauważył.

Ale wiedział, że strzelec musi ją zauważyć.

Palce zakrwawione i wciśnięte w rysę na powierzchni skały. Noski butów wbite w gzyms szerokości cala. W gardle mu zadygotało, gdy jeden but się obsunął. Pocisk trzepnął w skałę tuż przy jego prawym ramieniu i tak niespodziewanie oszołomił go, że omal się nie puścił, potrząsając głową, by oprzytomnieć, i zaczął gorączkowo schodzić prawie na oślep.

Jeszcze tylko trzy oparcia dla stóp i dalszych zabrakło. Ka-rrang! drugi pocisk odbił się rykoszetem od skały, trafiając wyżej, tuż przy głowie, wzdrygnąwszy nim tak samo jak pierwszy, i już wiedział, że właściwie jest martwy. Na razie ocalił go jeszcze tylko dygot śmigłowca, wystarczający, aby zbić tamtego z celu, a pilot czym prędzej podprowadzał helikopter, powodując tym gorsze wibracje: ale niebawem pilot uświadomi to sobie i ustabilizuje maszynę. Ramiona i nogi trzęsły mu się z wysiłku, zmacał na oślep niżej uchwyt dla dłoni, potem drugi, zaryzykował opuszczenie nóg i znów zwiesił je w pustkę, skrobiąc butami po skale, szukając czegoś, byle czego, o co mógłby je oprzeć.

Ale nie było nic. Wisiał na zakrwawionych palcach, a helikopter nalatywał na niego, niczym jakaś potworna wałka, o Jezuu przenajsłodszy, niech to draństwo się rusza, nie daj mu znieruchomieć do porządnego strzału. Ka-rrang! kamienne odpryski i stopiony pocisk bryznęły mu ogniem po boku twarzy. Zerknął na skały o trzydzieści

metrów pod sobą. Przez gryzący go w oczy pot ledwie odróżnił tam w dole bujną jodłę, wznoszącą się ku niemu, której górne gałęzie znajdowały się o jakieś trzy metry pod nim. A może pięć? albo sześć? nie mógł obliczyć.

Pod nawisłym helikopterem, chłostany przez podmuch od wirnika, wycelował ciałem w szczyt jodły i puścił się pozbijanymi palcami, poleciał w dół. Żołądek mu skoczył do gardła, krtań rozwarła się w nagłej pustce i - ach! jak długo, jak bez końca trwało - nim roztrącił najwyższe gałązki, potem leciał przez grubsze i czepiające się, aby wreszcie lupnąć o coś i zatrzymać się na tęgim konarze.

Jak sparaliżowany.

Nie mógł odetchnąć! Nabrał konwulsyjnie tchu i ból przeszył mu ciało, dotkliwie pulsując w piersiach, w plecach też! był pewien, że go trafiono.

Ale nie. Jazgot śmigłowca nad wierzchołkiem drzewa i smagnięcie kuli w gałęziach poderwały go. Był wysoko na drzewie. Strzelba wciąż tkwiła za pasem, ale wstrząs, kiedy runął, wgniół mu ją tak gwałtownie w bok, że go na wpół sparaliżowało. Z bólem, przemocą zginając rękę, chwycił za broń i szarpnął, ale nie chciała wyjść. Nad nim helikopter zawracał, podchodząc do następnego strzału, a on się szarpał ze strzelbą i wreszcie ją wyrwał, z takim rozmachem, że gałąź, na której się znajdował, rozkołysała się. Obsunął się tracąc równowagę, przejechał udem po szorstkiej korze, rozpaczliwie zahaczając ramieniem o wyższą gałąź. Trzasnęła... wstrzymał oddech. Jeśli się złamie, on runie na zewnątrz, po czubkach gałęzi w dół, na czekające daleko pod nim skały. Gałąź jeszcze raz trzasnęła i, utrzymała go, tak że znów odetchnął.

Ale odgłos helikoptera się zmienił. Wyrównał. Ustalił. Pilot zrozumiał i stabilizował go. Rambo nie miał pojęcia, czy widzą go przez gałęzie, czy nie, ale to nie było istotne: u szczytu drzewa przestrzeń jest tak mała, że jeśli strzelec ją naszpikuje kulami, to na pewno trafi. Nie miał czasu się przenosić na grubszą gałąź: następna kula może go wykończyć. W pośpiechu, w desperacji, rozpychał igły i gałązki, wypatrując, gdzie ten helikopter młóci powietrze.

Otóż i on. Akurat naprzeciwno. Górujący na wysokość domu. A z otwartego okna wystaje głowa strzelca. Rambo ujrzał całkiem wyraźnie jego okrągłą twarz z wielkim nosem, kiedy policjant składał się do następnego strzału; wystarczyło mu to jedno spojrzenie. Płynnym, już instynktownym ruchem Rambo uniósł lufę i wsparł ją na gałęzi powyżej siebie, żeby nie drgnęła, i wycelował po niej w sam środek okrągłej twarzy, w czubek wielkiego nosa.

Łagodnie ściągnął spust.

W dziesiątkę.

W kabinie strzelec chwycił się za opadłą twarz. Był już martwy, nim zdążył rozdziawić usta i krzyknąć. Jeszcze przez moment pilot utrzymywał helikopter w bezruchu, jakby nic się nie stało, a potem Rambo ujrzał w przedniej szybie kabiny, jak do faceta raptem dotarło, że ma wszystko zbryzgane szczątkami kości, włosów i mózgu, że jego towarzysz stracił górną część głowy. Rambo widział go, jak ze zgrozą wytrzeszcza się na krew, która ochlapała mu koszulę i spodnie. Oczy mu się wybałuszyły; usta wykrzywił grymas. I już się szamotał z pasami, rozpaczliwie wczepiony w drążek, rzucając się na podłogę kabiny.

Rambo chciał go ustrzelić z wierzchołka drzewa. Co prawda już nie widział pilota, lecz orientował się dość dokładnie, w którym miejscu on przycupnął na podłodze, i właśnie celował w to miejsce, gdy helikopter ostro zawrócił w stronę urwiska. Poderwany ku jego krawędzi, precyzyjnie minął ją zadartym przodem, ale kąt wznoszenia się był tak stromy, że tylną częścią zahaczył o tę krawędź. Przez ryk silnika dał się chyba usłyszeć metaliczny trzask, gdy tylko część uderzyła; tego Rambo nie całkiem był pewien. Helikopter zawisł tak, zdawałoby się, bez końca, po czym nagle wywinął kozła na plecy i spadając lupnął o skalną ścianę, w zgrzycie, w trzasku, śmigła się gięły i łamały, gdy eksplodował: ogłuszający kłęb ognia i szczęk metalu buchnęły tuż koło drzewa i opadły. Wzbił się smród benzyny i palącego się ciała.

Rambo już był w ruchu. Zleźć jak najprędzej z tego drzewa! Gałęzie okazały się zbyt gęste. Musiał okrążyć pień, szukając, którędy by się precyzyjnie przeliczyć. Psy rozszczeły się głośnie i wściekle, jakby pokonały przeszkodę i były już na grzbiecie. Ten głaz powinien tam dłużej stawiać opór! Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Teasle z pościgiem zdołali się tak szybko wdrapać. Trzymał się mocno strzelby, przedzierając się w dół skroś gałęzi, a ostre igły kłuły go po dłoniach i twarzy. W klatce piersiowej pulsowało mu dotkliwie od upadku na drzewo: ból był taki, jakby miał kilka żeber pękniętych lub złamanych, ale teraz nie mógł się tym przejmować. Psy ujadły coraz bliżej; trzeba szybciej zlaźić, wykręcając się, osuwając. Welniana koszula zahaczyła o gałąź; uwolnił się rozdzierając ją. Prędzej! Te psy... co za sukinsyny. Trzeba się śpieszyć.

Tuż nad ziemią ogarnął go czarny, gęsty dym, dławiący w płucach, przez który zamajaczył mu poskręcany wrak helikoptera, palący się z trzaskiem. Do ziemi pozostało sześć metrów, już nie do zejścia; gałęzi zabrakło; a pień

za gruby, żeby go objąć i zsunąć się. Trzeba skakać. Nie ma innego wyjścia. Psy z góry wściekle ujadają, gdy Rambo obejrząwszy pod sobą głązy i kamienie wybrał miejsce, gdzie ziemia, naniesiony muł i suche brązowe igły zgromadziły się w skalnym zagłębieniu i nieświadomie uśmiechnął się - przecież to właśnie ćwiczył - tygodniami skacząc z wież na szkoleniu spadochroniarskim. Z bronią w ręku zwiesił się, wolną dłonią chwyciwszy za najniższą gałąź, i puścił. Spadł bezbłędnie. Kolana ugięły się jak należy, padł rozluźniony i potoczył się odpowiednio i podniósł dokładnie tak, jak ćwiczył tysiące razy. Dopiero gdy wydostał się z dławiącego dymu, zgromadzonego pod osłoną drzewa, i pobiegł po skałach, ból w piersi stał się dotkliwy. I to bardzo. Uśmiech z twarzy mu znikł. Jezusie, nie dam rady.

Pędził w dół po kamienistym zboczu, w stronę lasu, wałąc butami i boleśnie dysząc. Przed nim była trawa, kamienie skończyły się, wypadł na łąkę i gnając ku drzewom usłyszał psy, obłądnie naszczekujące z góry, tuż za jego plecami. Muszą być już tam, gdzie on schodził po skale; ścigający lada chwila zaczną do niego strzelać. Na otwartym terenie, jak tu, nie miał żadnych szans, byle do drzew, klucząc, głowę kryjąc w ramionach, stosując każdy znany sobie trik, aby nie stać się wygodnym celem, sprężył się na przyjęcie pierwszej kuli, która mu rozerwie plecy i pierś, roztracał krzewy i zarośla, byle w ten las, głębiej, potykał się w pnączach i na korzeniach, aż upadł i został tak rozciągnięty na płask, dysząc na wilgotnym i słodko pachnącym dnie lasu.

Nie strzelają. Nie mógł tego zrozumieć. Leżał i dyszał, napęniając płuca do granic możliwości, wydychając i znów biorąc głęboki oddech, ignorował ból przeszywający piersi przy każdym wdechu. Dlaczego nie strzelają? Wreszcie zrozumiał: po pierwsze dlatego, że nie ma ich w ogóle na tej krawędzi. Dopiero się zbliżają. Tylko po głosach wydaje się, jakby tam doszli. Odbiło mu się z głębi żołądka, ale tym razem nic z siebie nie wypłynęło, osunął się na grzbiet, przez liście w jesiennych barwach wpatrując się w dalekie niebo. Co się z nim dzieje? Dotąd nigdy się tak nie mylił w ocenach.

Meksyk.

W myślach błysnął mu obraz ciepłej plaży, oplukiwanej przez fale. Ruszaj się. Trzeba się ruszyć. Podźwignął się z wysiłkiem i już kroczył ociężałe w głąb lasu, gdy usłyszał za sobą krzyczące głosy męskie, szczekanie psów, teraz pogoń już niewątpliwie dotarła na skraj urwiska. Zatrzymał się i posłuchał, a potem, wciąż jeszcze z trudem łapiąc oddech, zawrócił i poszedł w kierunku, z którego przyszedł. Nie tą samą drogą. Trawa była wysoka, którądy biegł do lasu, i wiedział, że zostawił w niej ślad jak najdokładniej widoczny z wysokości urwiska; ścigający przyglądają się zapewne tej części lasu, w którą się zapuścił, a wracając mógłby się przed nimi czymś zdradzić, gdzie jest. Zwrócił się więc na lewo, ku tej części leśnego skraju, gdzie nie mają powodu się go spodziewać. Kiedy drzewa się przerzedziły, położył się i podczołgał aż na brzeg lasu, gdzie skulony za krzakiem ujrzał coś pięknego: w odległości stu metrów, jak na dłoni widocznych, mężczyzn i psy. Wszyscy biegli teraz ku miejscu, któredy on schodził, psy szczekały, za nimi jeden z mężczyzn pędził trzymając je na otoku, reszta za nim, a teraz wszyscy zatrzymali się i patrzą w dół, gdzie płonie i dymi helikopter. Nigdy jeszcze Rambo nie widział ich z tak bliska, w rozjarzonym słońcu, jak gdyby ręką sięgnąć, jak w dziwnym powiększeniu. Naliczył sześć psów i dziesięciu ludzi, z których dziewięciu w szarych uniformach w jakie ubiera swych policjantów Teasle, a jeden w zielonej kurtce i spodniach, ten, co trzyma psy na otoku. Psy obwąchiwały miejsce, gdzie Rambo zszedł za krawędź, klucząc i węsząc, czy trop się nie ciągnie gdzie indziej, po czym zwracały nad krawędź i szczekały bezradnie. Ten w zielonym był starszy od pozostałych i wyższy; uspokajał psy, poklepywał je, przemawiał do nich łagodnie słowami, które tu docierały stłumione. Niektórzy z policjantów usiedli, inni stali, patrząc w dół na płonący helikopter albo pokazując w kierunku lasu, w który on się zapuścił.

Ale nie ich był ciekaw, tylko jednego, który chodził tam i z powrotem, uderzając się dłonią po udzie. Teasle. Nie do pomylenia, ta bryła krępego ciała, ta wydatna klatka piersiowa, ta głowa nisko w ramionach, obracająca się krótkimi ruchami z boku na bok, jak u wojowniczego koguta. No pewnie. Kogut. Oto, czym jesteś, Teasle.

Zajadły ptak w spodniach.

Uśmiechnął się z własnego żartu. Miejsce pod krzakiem, gdzie leżał, było zacienione i rozkosznie się tu odpoczywało. Wziął szeryfa na muszkę, właśnie gdy Teasle zwrócił się do tego w zielonym. Ale by się zdziwił Teasle, gdyby w pół słowa kula przeszła mu gardło! To byłby dopiero żart. Tak mu się to spodobało, że omal nie pociągnął za spust.

Ale byłby to błąd. Owszem, chciał go zabić, jeszcze jak! Po tej grozie, kiedy się dostał między helikopter a pościg, już nie dbał, co robi, żeby uciec. A pomyślawszy teraz o tych dwóch, których zabił w helikopterze, zdał sobie sprawę, że już nie przejmuje się jak wówczas, gdy zabił Galta. Znowu się przyzwyczajał do śmierci.

Ale co ważniejsze?

Urwisko nie powstrzyma szeryfa: opóźni go może o godzinę i tyle. A gdyby go zabił, to i tak nie muszą rezygnować: będą mieli psy i wciąż mogą szybko iść jego tropem. Ogary. Nie tak zajadle jak owczarki alzackie, z którymi zetknął się na wojnie, ale mimo to urodzeni łowcy i gdyby go kiedyś doszły, mogą się nawet rzucić, a nie tylko osaczyć, do czego szkoli się ogary. Więc najpierw musi wystrzelać psy. A dopiero następny będzie Teasle. Albo ten w zielonym, jeśli wyjdzie mu na cel wcześniej niż Teasle. Po tym, jak obchodzi się z psami, Rambo poznał, że facet zna się na tropieniu: więc jakby on i Teasle zginęli, to reszta już chyba nie będzie wiedziała, co począć, i zawrócą do domu.

Chyba nie mają wielkiego pojęcia o tym rodzaju walki. Stoją sobie i porozsiadali się tam w górze, widoczni jak na dłoni, aż prychnął z pogardą. Oczywiście nawet im przez myśl nie przeszło, że on mógłby tu jeszcze być. Facet w zielonym wciąż nie może uspokoić psów; zbiły się w gromadę, splątały, jeden drugiemu włązi w drogę. Przewodnik rozpiął otok i trójkę psów oddał jednemu z zastępców. Leżąc w chłodzie pod krzakiem Rambo wymierzył do trzech, które sobie zatrzymał ten w zielonym, i jak nic ustrzelił dwa z nich. Następnym strzałem trafiły trzeciego, gdyby nie to, że przewodnik szarpnął go i znikł za urwiskiem. Policjanci z krzykiem padali, kryli się, znikając z pola widzenia. Druga trójka psów oszalała, wyjąc i wyrwijając się zastępcy, który je trzymał. Rambo prędko zastrzelił jednego. Drugi spłoszył się i pośliznął na skraju, spadł, a trzymający linkę policjant usiłował wyciągnąć go, zamiast puścić, też stracił równowagę i porywając za sobą ostatniego psa przeleciał na krawędź. Raz tylko zaskowyczał i grzmotnął o skały na dnie przepaści.

Przez moment leżeli wszyscy na płask, jak sparaliżowani, w prażącym słońcu, ani wiatru, w ogóle nic. Chwila ta wlokła się i wlokła. Potem Shingleton pozbierał się i zaczął strzelać w dół, w las, po jego skraju. Oddał już cztery strzały, gdy przyłączył się do niego następny i następny, a potem wszyscy, z wyjątkiem szeryfa i Orwała, walili już ile wlezie, z ciągłym grzechotem, jakby pas amunicyjny ktoś wrzucił do pieca i naboje, rozpalając się, wybuchały jak nieustanny werbel.

- Dość - skomenderował Teasle.

Ale nikt nie posłuchał. Rozciągnięci płasko na krawędzi, kryjąc się za głazami i wzgórkami ziemi, strzelali najprędzej, jak się dało. Bach, bach, bach, dłonie od spustu w nieustającym ruchu, wyrzucając łuski, repetując, właściwie bez celowania pluli na oślep, wstrząsani raz po raz odrzutem. Bach, bach, bach. A wyciągnięty w skalnej bruzdzie Teasle krzyczał: - Dość tego, powiedziałem! Rozkazuję wam przestać!

A oni walili wciąż, siekąc po drzewach i krzakach, prując tam, gdzie od kuli drugiego zatrząsły się liście i wydawało się, że ktoś tam się poruszył. Niektórzy ładowali od nowa i znów rozpoczęli kanonadę. Karabiny mieli rozmaite: Winchester, Springfield Remington, Marlin, Sayage. I różnego kalibru: 270, 300, 30-06, 30-30. Zamki z rygłem i dźwignie, i różne też magazynki, mieszczące sześć albo siedem, albo dziewięć naboji, puste łuski wały się wokół i wciąż ich przybywało. Orwał trzymał ostatniego już psa i krzyczał:

- Przestać!

Wreszcie Teasle uniósł się z bruzdy, skulony jakby do skoku, i żyły mu na szyi aż nabrzmiały od wrzasku:

- Cholera, zaprzestać ognia, dość, powiedziałem! Pierwszy, który pociągnie za spust, płaci dwie dniówki kary!

To ich otrzeźwiło. Niektórzy jeszcze nie zdążyli drugi raz naładować. Reszta jakoś pohamowała się, w napięciu, z kolbami u ramion, z palcem na spuście, rwąc się do dalszej strzelaniny. Potem chmura zakryła słońce i ocknęli się. Wciągnęli dech i przelykali, opuszczali niezgrabnie broń.

Zerwał się podmuch, łagodnie przemiatając suche liście w lesie za ich plecami.

- Jezu - odezwał się Shingleton. Policzki miał blade i napięte jak skóra na bębnie.

Ward opuścił się z łokci na brzuch i oblizwał sobie kąciki ust. - Jezu, to jest to - powiedział.

- W życiu się tak nie bałem - mamrotał któryś w kółko i w kółko. Teasle spojrział: to ten młody zastępca.

- Co tak śmierdzi? - rzekł Lester.

- W życiu się tak nie bałem.

- To on. Od niego tak śmierdzi.

- Moje spodnie. Ja...

- Dajcie mu spokój - rzekł Teasle.

Chmura, która zakryła słońce, gładko przeszła i jaskrawy blask znów go ogarnął. Ale spojrzawszy tam, gdzie słońce zawisło już nisko w dolinie, Teasle widział, jak zbliża się następna chmura, większa, a za nią, już niedaleko, całe niebo kłębiło się od nich, czarne i spurchlone. Odlepił sobie przepoconą koszulę od piersi, a potem dał jej spokój - bo i tak zaraz przykleiła mu się do skóry - w nadziei, że spadnie deszcz. On przynajmniej mógłby to wszystko trochę ostudzić.

Usłyszał, jak najbliżej leżący Lester mówi o młodym policjancie:

- Wiem, że nie mógł na to nic poradzić, ale o Boże, jak to śmierdzi.
- W życiu się tak nie bałem.
- Daj mu spokój - rzekł Teasle, wciąż patrząc na chmury.
- Kto idzie o zakład, że trafiliśmy tego chłopaka? - zaproponował Mitch.
- Czy ktoś ranny? Wszystko w porządku? - zapytał Ward.
- A jak - rzekł Lester. - Nikomu nic nie jest.

Teasle ostro na niego spojrział.

- Policz jeszcze raz. Jest nas tylko dziewięciu. Jeremy spadł.
- A z nim trzy moje psy - przemówił Orval. Głos miał cały na jednym tonie, jak maszyna, tak to dziwnie zabrzmiało, że wszyscy się odwrócili i spojrzeli na niego. - Pięć z moich psów. Pięć ich zginęło. - Twarz miał szarą jak cement w proszku.
- Orval, przykro mi - rzekł Teasle.
- A jak ci ma być. Od początku to był twój głupi pomysł. Nie mogłeś poczekać żeby policja stanowa przejęła. Ostatni pies siedział na zadzie i dygotał, i skomlał.

- Dobry pies. Dobry - przemówił do niego Orval, głaszcząc go łagodnie po grzbiecie i zerkając przez okulary na dwa martwe psy, leżące tuż nad krawędzią. - Jeszcze mu odpłacimy, nie bój się. Jeśli żyje, tam w dole, jeszcze mu odpłacimy. - Spojrzął z ukosa na szeryfa i odezwał się głośniejszym głosem. - Nie mogłeś się doczekać, żeby ta dziobana policja stanowa przejęła sprawę - co - nie mogłeś?

Ludzie patrzyli, co Teasle odpowie. Szeryf poruszył wargami, lecz nie wy dobył żadnego słowa.

- Co to znaczy? - powiedział Orval. - Chryste Panie, jak masz coś do powiedzenia, to nie mamroc, ale gadaj po męsku.

- Powiedziałem, że nikt cię nie zmuszał. Wspaniale się bawiłeś, pokazując nam, jaki to z ciebie stary twardziel, że wszystkich przegonisz i raz dwa wdrapiesz się tą szczeliną, żeby zepchnąć głaz i pokazać, jakiś ty bystry. Sam jesteś winien, że zastrzelił te psy. Taki z ciebie mądrała? To nie trzeba było ich dopuszczać na samą krawędź.

Orval aż zadygotał z wściekłości: Teasle pożałował, że to powiedział. Wbił oczy w ziemię. Nie wypadało z tego drwić, że Orval musi wszystkich przewyższyć. Sam był aż nadto wdzięczny, gdy Orval wykombinował, jak usunąć ten głaz: że się wdrapał i obwiązał go liną, a pozostałym kazał ją ciągnąć, podczas gdy sam go podwazył grubymi gałęziami, głaz się przeważył i zleciał z łoskotem, z trzaskiem, bryzgając okruchami skał, tak że ledwie zdążyli, potykając się, uskoczyć mu z drogi.

- No dobrze, posłuchaj Orval - rzekł, już się uspokoiwszy. - Naprawdę mi przykro. To były wspaniałe psy. Jest mi naprawdę przykro.

Wyczuł tuż koło siebie nagły ruch i Shingleton wymierzył ze strzelby, dał ognia w kępę krzaków.

- Shingleton, zabroniłem strzelać!

- Coś tam się poruszyło.

- Będzie cię to kosztowało dwie dniówki, Shingleton. Twoja żona się wścieknie.

- Kiedy mówię ci, że coś tam się poruszyło.

- Ty mi nie mów, co ci się zdawało. Podniecasz się i strzelasz, tak samo, jak i wtedy chciałeś strzelać, kiedy chłopak się wyrwał. Ty mnie lepiej posłuchaj. Mówię to do was wszystkich. Posłuchajcie. Żaden z was nie trafił nawet o kilometr od tego chłopaka. Zanim odpowiedzieliście mu ogniem na strzał, on przez ten czas mógł się wysrać i zakopać to, i jeszcze spokojnie odejść.

- No co ty, Will, dwie dniówki? - obruszył się Shingleton. - Chyba nie mówisz poważnie.

- Nie przerywać. Przypatrzcie się wszyscy, ile zmarnowaliście amunicji. Połowę jej wystrzelaliście.

Obiegli wzrokiem puste łuski, rozsypane wszędzie wokół po ziemi, zaskoczeni, że jest ich aż tyle.

- I co zrobicie, jak znów się na niego nadziejecie? Wystrzelacie resztę i będziecie rzucać kamieniami?

- Policja stanowa może nam podrzucić więcej drogą powietrzną - rzekł Lester.

- I będziesz się dobrze czuł, jak wylądują i wyśmieją was, że wypukaliście wszystko na oślep.

Jeszcze raz pokazał na wystrzelone łuski i dopiero teraz zauważył, że jedno ich skupisko bardzo różni się od pozostałych. Jego ludzie musieli spuścić oczy w zakłopotaniu, kiedy je zgarnął.

- Te nie zostały w ogóle odpalone. Któryś bałwan wypompał całą swoją amunicję, nawet nie pociągając za spust.

Nie miał wątpliwości, co się stało. Kozła gorączka. W pierwszym dniu sezonu myśliwskiego człowiek może się tak podniecić na widok zwierzyny, że po kretyńsku wypompuje cały magazynek bez pociągania za spust, kompletnie sfrustrowany, dlaczego celuje i nie trafia? Teasle nie mógł nad tym przejść do porządku, musiał sprawę przywoździć.

- No, który to zrobił? Co za chłoptaş? Niech mi odda strzelbę, a ja mu lepiej dam korkowca.

Nabój był opisany: kaliber 300. Już miał sprawdzić, czyja broń do tego pasuje, gdy zobaczył, jak Orval pokazuje w stronę urwiska: i wtedy usłyszał skowyt. Nie wszystkie psy ustrzelone przez chłopaka były martwe. Jednego pocisk ogłuszył i teraz wracał do siebie, wierzgając i skomląc.

- W brzuch - wymówił z niesmakiem Orval. Splunął i pogładził psa, którego trzymał, po czym oddał smycz Lesterowi, który stał najbliżej.- Trzymaj mocno - powiedział. - Widzisz, jak ona drży? Czuje krew innych psów i może oszaleć. Znowu splunął i wstał z mieszaniną kurzu i potu na zielonym ubraniu.

- Chwileczkę - powiedział Lester. - To znaczy, że ona może się wściec?

- Może. Ale nie sądzę. Prawdopodobnie spróbuje się wyrwać i uciec. Trzymaj mocno i tyle.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Nikt cię o to nie pyta.

Zostawił Lestera ze smyczą w rękę i podszedł do zranionego psa. Ten leżał na boku, wierzgając łapami, usiłował się przewrócić i wstać, ale wciąż osuwał się na bok, żałośnie skomląc.

- No tak - powiedział Orval. - W kiszki. Ten skurwysyn przyładował jej w brzuch.

Otarł sobie usta rękawem i zerknął na psa, który ocalał nietknięty i teraz wyrwał się Lesterowi

- Pamiętaj, żebyś ją mocno trzymał - napominał go Orval. - Na to, co muszę zrobić, ona się szarpnie.

Schylił się i obejrzał ranę w brzuchu psa, na widok połyskliwych jelit wyprostował się, potrząsając niechętnie głową, i bez wahania strzelił psu w łeb za uchem.

- Niech to diabli, co za skurwysyństwo - wymamrotał, patrząc, jak ciało zwinęło się konwulsyjnie i opadło.

Kolor twarzy zmienił mu się z szarego w czerwony, pomarszczył się jeszcze bardziej. - Na co czekamy? - rzekł ściszym głosem do szeryfa.- Chodźmy ukatrupić tego chłopaka.

Odstąpił krok od psa i zatoczył się, gwałtownie tracąc równowagę, upuścił strzelbę i dziwacznie złapał się za kręgosłup, gdy od lasu położonego w dole rozległ się wystrzał, on zaś runął do przodu, twarzą i piersią z rozmachem waląc o ziemię. Od tego uderzenia pękły mu okulary na nosie. Tym razem nikt nie odpowiedział na strzał.

- Padnij!- krzyknął Teasle. - Na ziemię!

Wszyscy się rozplaszczyli. Ostatni pies wyrwał się Lesterowi i skoczywszy tam, gdzie leżał Orval, też padł zastrzelony. A kryjący się w zagłębieniu z zaciśniętymi pięściami Teasle przysięgał sobie, że wytropi chłopaka, choćby trwało to nie wiem ile, złapie go, zmasakruje. Za nic i nigdy nie ustąpi. Teraz już nie z powodu Galta, że nie daruje takiemu, co zabił któregoś z jego ludzi. Teraz to już sprawa osobista. Za siebie. Najpierw ojciec, a teraz przybrany ojciec. Jeden i drugi zastrzelony. Ta sama obłędna wściekłość, co wówczas, gdy zastrzelono mu rodzzonego ojca: zadusić tego chłopaka, zmiażdżyć mu gardziel, ażeby mu ślepa wylazły. Ty skurwysynie. Ty parszywy, zajebany skurwielu! Dopiero gdy kalkulował sobie w myśli, jak zejdzie po tym urwisku i dopadnie chłopaka, zrozumiał nagle, jak wielki popełnił błąd.

On nie ściga chłopaka. Tylko na odwrót. Dał chłopakowi wciągnąć wszystkich w zasadzkę.

I to w jaką zasadzkę, o Jezu! Najbliższe miasto o trzydzieści mil stąd po nieprzebytych bezdrożach, helikopter zniszczony, psy zabite: teraz chłopak może ich wybierać po jednym, jak tylko zechce. Bo za nimi grunt się nie ciągnie poziomo. Już o parę metrów od urwiska zbrocze idzie pod górę. Aby się wycofać, musieliby na nie wbiegać, niczym nie osłonięci, a chłopak tylko waliłby do nich, ukryty w lesie: i skąd on wziął, u diabła, tę strzelbę i gdzie się nauczył, u diabła, jak urządzić taką zasadzkę?

W tej chwili z chmur, nawisłych czarno w niebie, rozległ się donośny grzmot.

Orval. Teasle nie mógł oderwać od niego oczu. Stary leżał nieruchomo twarzą do ziemi nad urwiskiem, a Teasle ledwie mógł oddychać. To przeze mnie. Raz w życiu popełnił nieostrożność, a ja nie ostrzegłem go, żeby się nie wychylał. Poczłogał się, pragnąc go dźwignąć.

- Zajdzie nas od tyłu - rzekł chrapliwie Lester.

Zbyt chrapliwie, pomyślał Teasle. Zawrócił niechętnie, zatroskany raptem o swoich ludzi. Już zostało ich tylko siedmiu, twarze napięte, obmacują nerwowo broń, wygląda, że są prawie do niczego. Z wyjątkiem Shingletona

- Mówię wam, ten chłopak nas okrzy - powtórzył Lester. Spodnie miał rozdarte na kolanie. - Zajdzie nas od tyłu.

Tamci wzdrygnęli się i wybałuszyli na zbocze za plecami, jakby myśleli, że on już tam jest.

- Na pewno przyjdzie - odezwał się ten młody. Brązowa ciecz sączyła mu się z szarych spodni, rozchodząc się plamą po siedzeniu, wszyscy się odsunęli od niego. - Boże drogi, zabierzcie mnie stąd. Ja tu nie mogę zostać.

- To uciekaj - powiedział Teasle. - Tam pod górę. Zobaczymy, ile przebiegniesz, zanim on cię rąbnie.

Młody przełknął.

- Na co czekasz? - zapytał Teasle. - No jazda. Biegnij.

- Nie - powiedział zastępca. - Nie chcę.

- To nie jęcz.

- Ale musimy się tam dostać - powiedział Lester. - Zanim on to zrobi. Jak będziemy za długo czekać, on tam wejdzie przed nami. Wtedy już nie wyjdziemy stąd.

Mroczne, coraz bliżej nadciągające chmury przecięła błyskawica. Znów zagrzmiało, przeciągłe i głośno.

- Co to? Słyszałem coś - powiedział Lester. Z dziury w spodniach sterczało mu obdarte i czerwone kolano.

- Grzmot - rzekł Shingleton. - Przez to się wydaje.

- Nie. Ja też słyszałem - rzekł Mitch.

- Posłuchaj.

- To ten chłopak.

Jak gdyby ktoś cicho wymiotował, jakby się dławił. Orval. Ruszył się. Zgarbił. Kolana i głowa dźwignęły brzuch od ziemi, a trzymał się za pierś, zbierał się w sobie. Wyglądał jak gąsienica wyginająca grzbiet w łuk, aby postąpić naprzód. Ale nie posunął się ani trochę. Z plecami wyprężonymi w garb, zeszywniał i upadł. Krew mu kapiała z ramion i z ust mu pociekło, odkaszlnął krwią.

Teasle zamarł w osłupieniu. Był pewien, że Orval nie żyje. Orval - powiedział. - I już biegł, zanim to sobie uświadomił. Padnij - upomniał sam siebie, przycisnął się do skały, aby nie stać się celem jak Orval. Ale tamten leżał za blisko krawędzi, Teasle nie wątpił, że z lasu tam w dole będzie go widać. Chwycił Orvala za ramię i usiłował go ściągnąć w zagłębienie. Lecz Orval był za ciężki, za długo to trwało, w każdej sekundzie chłopak może strzelić. Szarpał go i ciągnął, i włókł, i nareszcie Orval ruszył się z miejsca. Ale za wolno. Kamienie są zbyt ostre. Ubranie Orvala zaczepia się o powyżebiane skały na krawędzi.

- Pomóżcie mi - krzyknął za siebie.

Orval wykrztusił jeszcze trochę krwi;

- Niech mi któryś pomoże!

I nagle ktoś znalazł się przy nim, pomógł, we dwóch odciągnęli Orvala znad przepaści w bezpieczne miejsce.

Teasle odetchnął i otarł sobie pot z oczu. Nie musiał oglądać się, kto mu pomógł: Shingleton.

A Shingleton się wyszczerzył, roześmiał, nie za głośno, wcale nie wesoło, a jednak się zaśmiał. Jakby do wewnątrz. Jawnie dyszał i śmiał się. - Udało się. Nie strzelił. Udało się.

Rzeczywiście to zabawne. Teasle też się roześmiał. A potem Orval znów odkaszlnął krwią i gdy Teasle ujrzał mękę na jego twarzy, wszystko znów przestało być zabawne.

Sięgnął aby rozpiąć mu zakrwawioną koszulę.

- Spokojnie, Orval. Popatrzmy, co jest, i założymy ci opatrunek.

Próbował to zrobić delikatnie, ale krew przylepiła koszulę do ciała i w końcu musiał ją szarpnąć, aby zająrzeć, aż Orval jęknął.

Nie chciało mu się tej ranie długo przyglądać. Cuchnące gazy wydobywały się z rozprutej piersi.

- Czy... ciężko? - zapytał, krzywiąc twarz, Orval.

- Nie przejmuj się - powiedział Teasle. - Opatrzmy cię. Już rozpiął własną koszulę i zdejmował ją.

- Pytałem... czy... ciężko. - Co słowo to wysilony, osobny, wyraźny szep.

- Widziałeś dużo ran, Orval. Sam wiesz, jak ciężko. - Zwijał swą przepoconą koszulę w kłęb i umieścił ją w dziurze na piersi Orvala. Z miejsca przesiąkła krwią.

- Chcę... żebyś mi... powiedział. Pytałem cię...

- No dobrze, Orval, nie wysilaj się. Nie mów. - Palcami lepiącymi się od krwi zapinał Orvalowi jego koszulę na własnej, którą mu zatkał ranę. - Nie będę cię okłamywał, bo wiem, że nie chcesz. Trudno się dokładnie przyjrzeć, bo dużo krwi, ale zdaje mi się, że dostałeś w płuco.

- Jezu.

- Teraz nie gadaj i oszczędzaj sił.

- Proszę cię. Tylko nie zostawiaj mnie.

- O to możesz się nie martwić. Zabierzemy cię stąd i zrobimy dla ciebie wszystko, co możliwe. Ale i ty musisz dla mnie coś zrobić. Słuchasz? Musisz wziąć się w garść i trzymać się za pierś. Włożyłem ci pod koszulę swoją koszulę, zwiniętą, i chcę, żebyś ją przyciskała do rany. Żeby przestała krwawić. Słyszysz mnie? Czy rozumiesz?

Orval oblizwał wargi i słabo przytakał, a Teasle poczuł w ustach kurz. Nie było cienia nadziei, aby zwinięta koszula mogła powstrzymać krwotok z rany tych rozmiarów. Ciągłe czuł suchość w ustach i strużki potu ściekające po gołych plecach. Słońce już od dawna skryło się w chmurach, ale upał ciągle przytłaczał i Teasle pomyślał o wodzie, raptem uświadamiając sobie, jak spragniony musi być Orval, Wiedział, że nie wolno mu dać nic do picia. Znał to z Korei.. Ranny w piersi albo w brzuch zwymiotuje, co wypił, rozdzierając sobie tylko ranę, a ból się zwiększy. Lecz Orval oblizywał sobie te usta i oblizywał, aż Teasle nie mógł dłużej patrzeć, jak się męczy. Dam mu tylko troszkę, to nie zaszkodzi.

Orval miał u pasa manierkę. Teasle odpiął ją z szorstkim płóciennym pokrowcem, odkręcił i wlał troszkę Orwalowi do ust. Orval zakaszał i woda z powrotem wybulgotała, zmieszana z krwią.

- Boże - powiedział Teasle. Przez chwilę miał w głowie pustkę i nie wiedział, co dalej robić. Przypomniało mu się radio i tego się chwycił. - Teasle wzywa policję stanową. Do policji stanowej. Pilne. - Podniósł głos. - Sytuacja krytyczna.

W radiu słychać było tylko trzaski. To od chmur.

- Teasle wzywa policję stanową. Sytuacja krytyczna.

Postanowił, cokolwiek by się stało, nie wzywać pomocy. Nawet kiedy ujrzał rozbity i palący się helikopter, nie wzywał ich. Ale Orval. Przecież on umrze.

- Zgłasza się policja stanowa.

Z radia wydarł się nieartykułowany skrzek, to od pioruna, i dobiegł zanikający głos, chrypliwy i niewyraźny.

- Stanowa... tu... liwe.

Teasle nie mógł tracić czasu na prośbę, aby tamten powtórzył. - Nie słyszę - zawołał w pośpiechu. - Nasz helikopter się rozbił. Mam tu ciężko rannego. Do zabrania go potrzebny jest natychmiast inny helikopter.

- ..zrobić.

- Nie słyszę. Potrzebny jest inny helikopter.

- ..żliwe. Zbliża się burza z piorunami. Wszystkie... bazy.

- Ale on umrze!

Głos mu coś odpowiedział, lecz Teasle nie mógł zrozumieć, a potem wyładowania i trzaski wszystko zagłuszyły. Kiedy znów się przedarł, był w połowie zdania.

- Nie słyszę! - wykrzyczał Teasle.

- ..ście trafili... facet... go... będziecie ścigać... odznacz... Honor... lonych Beretach.

- Co takiego? Powtórz.

- Służył w Zielonych Beretach? - zapytał Lester.

Głos zaczął powtarzać, urwał się i więcej nie wrócił. Zaczynało padać, kropelki upstrzyły kurz i ziemię, mnożyły się plamkami na spodniach szeryfa i wsiąkały, ich uderzenia ziębiły go w nagie plecy. Czarne chmury pograżyły ich w cieniu. Piorun trzasnął i oświetlił urwisko jak reflektor, zgasł i wróciły cienie, a z nimi fala uderzeniowa toczącego się grzmotu.

- Teasle, on dostał Medal of Honor? - przemówił do szeryfa Lester - Na takiego nas wyprowadziłeś? To jakiś pierdolony bohater z wojny. Zielony Beret?

- Nie strzelił! - zawołał Mitch.

Teasle ostro na niego spojrział, w obawie, że Mitch traci poczytalność. Ale nie. Tylko próbował im w podnieceniu coś powiedzieć i Teasle go rozumiał: bo sam już o tym pomyślał i uznał, że to nieistotne.

- Kiedy odciągałeś Orvala - tłumaczył Mitch - on nie strzelił. Już go tam nie ma. Bo próbuje zejść nas od tyłu. Teraz mamy szansę się wycofać.

- Nie - odpowiedział Teasle. Deszcz bryzgał mu w twarz.

- Kiedy mamy szansę, żeby się....

- Nie! Mógłby nas okrążyć - owszem - a jeżeli nie? Może po prostu jeden cel to dla niego za mało, i czeka, kiedy uznamy, że to już niegroźne i pokażemy się wszyscy.

Twarze im poszarzały. Z chmur buchnęło i dopiero zaczął się prawdziwy deszcz.

Walił i walił. Siekł ich jak się patrzy. Teasle jeszcze się nie spotkał z czymś takim. Wicher smagał go deszczem po oczach, pchał mu go w usta.

- Burza? Takiego wała! Przecież to oberwanie chmury.

Leżał w wodzie. Nie wierzył, aby mogło być jeszcze gorzej, a potem ulewa się wzmogła i był już niemal pogrzebany w wodzie. Trzaskały pioruny, jasne jak słońce, i natychmiast wszystko zagarniał mrok, coraz czarniejszy i czarniejszy, jak noc, tylko że to późne popołudnie, a deszcz ciął po oczach na oślepie. Teasle nie mógł dojrzeć nawet skraju urwiska. Grzmot nim wstrząsnął. Co to właściwie jest?

Przysłonił oczy dłonią. Orval leży twarzą do góry, i z ustami rozdziawionymi na deszcz. Utopi się, pomyślał Teasle. Woda mu napełni usta. Wetchnie ją i utopi się.

Popatrzył z ukosa na swoich ludzi, jak leżą w tej wodzie nad przepaścią, i uświadomił sobie, że nie jednemu Orwalowi grozi utonięcie. Miejsce, w którym leżeli, stało się korytem rozszalałego potoku. Woda pędzi z góry po zboczu, przewala się przez nich, rwąc ku skrajowi przepaści: i choć nie mógł dojrzeć krawędzi, wiedział, jak to wygląda. Po prostu szczyt wodospadu: niech burza jeszcze trochę przybierze na sile, a zostaną wszyscy zmyci z krawędzi w przepaść. A pierwszy Orval.

Złapał go za nogi.

- Shingleton! Pomóż!- zawołał, a deszcz mu się wpychał do ust.

Słowa pomieszały się z grzmotem.

- Złap go za ręce, Shingleton! Zabieramy się stąd!

Temperatura szybko spadała. Deszcz na gołych plecach stał się tak zimny, aż Teasle się wzdygał, przypominając sobie opowieści o takich, których zaskoczyła w górach nagła powódź, o ludziach zmywanych parowami, strącanych z urwisk, rozbijających się i miażdżonych w dole na skałach.

-Trzeba stąd uciekać!

- Ale chłopak!- zawołał któryś.

- Teraz nie widzi nas! Teraz niczego nie wypatrzy!

- Ale może już czeka tam w górze!

- Nie mamy czasu, żeby się nim przejmować! Musimy się stąd wydostać, zanim burza się zrobi jeszcze gorsza! Bo zmyje nas w przepaść!

Piorun błysnął oślepiająco. Teasle potrząsnął głową na to, co zobaczył. Jego ludzie. Ich twarze. W błyskawicach i deszczu zmieniły się w białe czaszki. A potem nagle jak się ukazały, tak znikły, i mrugającego, po ciemku raził grzmot, jak seria wybuchających pocisków z moździerza.

- Jestem tu! - wrzasnął Shingleton, łapiąc Orwala za ręce. - Trzymam go. Jazda!

Dźwignęli go z wody, ponieśli pod górę. Ulewa się podwoiła, gwałtowniejsza, obfitsza. Waliła w nich prawie z boku, przemaczając na wylot, lejąc się po nich jak z kubła. Teasle się pośliznął. Upadł ciężko na ramię i upuścił Orwala w kłębiący się nurt. Miotał się z pluskiem, usiłując go złapać, utrzymać głowę Orwala ponad wodą, znów się pośliznął i jego własna głowa znalazła się pod wodą, zachłystnął się.

Wciągnął ją przez nos. Wypełniła mu przewody nosowe i bryznęła z dwóch dziurek w głębi podniebienia, rozdzierając je. Miotał się jak szalony, dziko, krztusząc się i charcząc, znów stanąwszy i wychylony z wody. Ktoś go trzymał. Shingleton go wyciągał.

- Nie! Orwala łap! Orwala!

Nie mogli go znaleźć.

- Zmyje go w przepaść!

- Tutaj! - wrzeszczał ktoś. Teasle mrugał, otrząsając deszcz z powiek i usiłując wypatrzeć, który to krzyczy. - Orval! Złapałem go!

Woda mu wezbrała do kolan. Brodził w niej, burząc ją nogami, aż tam, gdzie ktoś trzymał nad wodą głowę Orwala.

- Prąd go porwał! - wyjaśnił. Był to Ward, szarpiący się z Orwalem, aby wciągnąć go w górę po zboczu. - Już niosło go do krawędzi! Wpadł na mnie, kiedy przepływał!

Znalazł się Shingleton i we trzech dźwignęli Orwala z wody i ruszyli z nim, potykając się, w stronę zbocza. Tam dopiero Teasle zrozumiał, czemu woda tak gwałtownie przybiera. W pochyłości wzgórze był rów i do niego wpadały strumienie z góry, łącząc się i waląc wprost na nich.

- Musimy przesunąć się w bok! - rzekł Teasle. - Trzeba znaleźć łatwiejsze podejście!

Wiatr się zmienił i teraz deszcz siekł ich po twarzach z lewa. Zatoczyli się wszyscy, jak jeden, w prawo, a wiatr im pomagał. Ale gdzie reszta ludzi? Czy wdrapują się już po zboczach? Czy są jeszcze na skalnej półce. Dlaczego, u diabła, nie pomagają im dźwigać Orvala?

Woda uniosła mu się nad kolana. Podniósł Orvala wyżej i brnęli dalej, a potem wiatr znów się zmienił: już nie pchał ich tam, gdzie chcieli, tylko z powrotem, a oni parli przeciw połączonym siłom wiatru i deszczu. Shingleton obejmował Orvala za ramiona, Teasle trzymał za nogi, Ward podtrzymywał mu plecy i tak ślizgali się, potykali w ulewie aż do miejsca, gdzie pochyłość jakby stała się łagodniejsza. Tu również spływała powódź, ale nie tak potężna jak tam, wzdłuż rowu, i sterczące głazy dawały się uchwycić. Żeby tak zobaczyć, co jest, aż do szczytu! pomyślał Teasle. Chciałby upewnić się, że ta skała aż do góry jest taka sama, Zaczęli się wspinać. Shingleton jako pierwszy, posuwał się tyłem, zgięty, podtrzymując Orvala za ramiona. Zapierał się stopą o kamień i cofał na nią, a potem zerkał na boki szukając następnego kamienia, o który mógłby się zaprzeć stopą i na nią znów przenieść ich połączony ciężar. Teasle i Ward postępowali za nim, pochyleni, dźwigając większość tego ciężaru i Shingletonowi pozostawiając szukanie kolejnego punktu oparcia, aby mógł cofnąć się znów trochę wyżej. Potok walił z góry coraz mocniej, rozbryzgując się o ich nogi.

Ale gdzie reszta? zastanawiał się Teasle. Dlaczego, na Boga, nie pomagają? Zimny deszcz kąsał go w plecy. Dźwigał Orvala na oślepie, czuł, jak Shingleton cofa się raz za razem pod górę, wciągając Orvala za sobą, a sam Teasle miał już ramiona obolałe w stawach, mięśnie skręcały mu się pod ciężarem Orvala. Za długo to trwało. Czuł, że daleko już go nie uniosą. Czas najwyższy dostać się na szczyt. I wtedy Ward się pośliznął i upadł, i Teasle omal nie upuścił Orvala. Wyłożył się na płask i osunęli się o kilka stóp w dół, pociągnięci przez prąd, kotłując się we trzech, aby nie wypuścić Orvala.

Złapali go. Zaczęli znów pchać się pod górę.

I już się nie posunęli. Bo nagle Shingleton krzyknął i przeleciawszy obok Orvala, grzmotnął szeryfa w pierś. Zatoczyli się, padając, i Teasle nie utrzymał Orvala, i ani się obejrzał, jak leżał wyciągnięty na wznak u stóp zbocza, woda piętrzyła się nad nim, staczające się kamienie obtłukiwały go boleśnie.

- Nie dałem rady! - krzyknął Shingleton. - Kamień się pode mną obsunął!

- Orval! Prąd go porwał!

Teasle rzucił się z pluskiem ku przepaści. Ramieniem zgarnął sobie wodę z oczu mrugając, ażeby coś dojrzeć w deszczu. Nie mógł podejść za blisko do krawędzi, prąd był tam za mocny. Ale, na Boga, musi zatrzymać Orvala! Zwolnił, podszedł bliżej omackiem, zgarniając wodę z oczu. Mignęła błyskawica. I oto wyraźnie, jak na dłoni widoczne, ujrzał ciało Orvala wylatujące w przepaść. Potem zrobiło się czarno i żołądek mu podszedł do gardła. Piekące łzy mieszały się na twarzy z chłodnym deszczem i wrzasnął, aż go ścisnęło w gardle:

- Skurwysyny! żeby tak z piekła nie wyjrzel! Zabiję ich, że nam nie pomogli!

Shingleton zamajaczył tuż obok.

- Widzisz Orvala?

Teasle odepchnął go i przeszedł. Dobrnął do tego samego zbocza. - Pozabijam!

Chwycił się jakiegoś głazu i podciągnął, i zaparł stopą o kamień i odepchnął się, i czepiał, i rył szukając, za co się złapać, przez tę wodę ciągnącą wstecz. Nagle już był na szczycie i rzucił się w las. Tu na górze hałas był ogłuszający. Wicher uginał drzewa i w gałęziach rozlegał się łomot deszczu, i tuż obok rozjarzony piorun trzasnął w pień z ostrym dźwiękiem, jakby topór rozłupał tęga kłodę.

Przed nim zwały się drzewo. Przeskoczył je.

- Szefie! - ktoś na niego zawołał. - Tutaj, szefie!

Nie widział twarzy. Tylko skuloną pod drzewem postać.

- Tutaj, szefie! - Człowiek dawał mu znaki, wymachując szeroko ręką. Teasle podbiegł do niego i złapał go z przodu za koszulę. To Mitch.

- Co robisz? - powiedział Mitch. - O co ci chodzi?

- Zmyło go w przepaść! - odparł Teaste. Zamachnął się i przyładował Mitchowi pięścią w zęby, rzucając nim o drzewo i w błoto. - Jezu Chryste - powiedział Mitch. Potrząsnął głową, jeszcze raz nią potrząsnął. Jęknął i złapał się za pokrzwawione usta. - Jezu Chryste, o co ci chodzi? - zabelkotał. - Lester i wszyscy inni uciekli! A ja tu zostałem, żeby ci pomóc!

Teasle na pewno dotarł już do lasu. Tego Rambo był pewien. W tak długiej i ciężkiej burzy Teasle ze swoimi nie utrzymaliby się na tej półce. Pod osłoną deszczu, który uniemożliwił mu strzelanie, na pewno skorzystali już z

okazji, aby wdrapać się po tym zboczach do lasu. W porządku. Daleko nie odeszli. On zaś nieraz przeprowadzał takie akcje w ulewnym deszczu i doskonale wiedział, jak się w nim tropi ludzi.

Wynurzył się z krzaków i drzew, kierując się w deszczu do stóp urwiska. W zamęcie spowodowanym przez tę burzę - wiedział o tym - nietrudno byłoby mu uciec w przeciwnym kierunku, w głąb lasu gdyby zechciał. Sądząc po tym, jak rozległe i gęste jest okrycie chmur, znalazłby się stąd o wiele godzin i mil, zanim przejaśniłoby się na tyle, ażeby Teasle mógł podjąć przerwany pościg: tak daleko, że już nigdy by go nie doszedł. Możliwe, że w następstwie tej zasadzki i ulewy szeryfowi w ogóle się odechce pogoni, ale to nieistotne: na razie on sam postanowił już nie uciekać, czy go będą ścigać, czy nie. Leżał w ukryciu pod tymi krzakami, wypatrując kolejnego celu na szczycie urwiska i myśląc, jak Teasle znów uczynił z niego zabójcę i poszukiwanego za morderstwo; tym bardziej wściekły, gdy pomyślał o tych co najmniej dwóch miesiącach przez które będzie musiał uciekać i kryć się, i uciekać, i kryć się, nim dotrze do Meksyku; więc na razie, jak mi Bóg miły, odwróć tę grę i niech Teasle ucieka przede mną, pokażę mu, niech sam tego posmakuje, żeby go diabli wzięli. Teraz mi skurwysyn za to zapłaci.

Ale częściowo sam się o to napraszałeś. Nie tylko Teasle. Mogłeś się wycofać.

Po raz szesnasty? A wała.

Choćby i po raz setny, no to co? Lepiej się było wycofać niż wdepnąć w ten gips. Daj spokój. Skończ już z tym i zabieraj się stąd.

I niech robi to samo z kim innym? Ja pierdolę. Trzeba z tym zrobić koniec,

Co takiego? Chyba nie to jest powód? Przyznaj się, że sam tego chciałeś. Napraszałeś się o coś takiego: żeby pokazać mu, co potrafisz i żeby rozdziawił gębę, jak się przekona, że nie z tobą te numery i że źle trafił. Tobie się to podoba.

Nie napraszałem się o nic. Ale że mi się podoba, to fakt. Zapłaci mi ten skurwysyn.

Wszystko spowinał mrok. Odzież lgnęła mu lodowato do skóry. Przed nim wysoka, gładka trawa uginała się w zacinającym deszczu, brnął przez nią i trawa osuwa mu się po gładkich, mokrych spodniach. Dotarł do usypiska głazów i kamieni, wiodącego ku podstawie skały, i wstąpił na nie ostrożnie. Strugi wody kłębiły się między nimi i po nich, w tej wichurze łatwo się pośliznąć i upaść, i znów dostać po żebrach. Wciąż pulsował w nich ból, odkąd skoczył z urwiska i rąbnął się o konary i przy każdym oddechu coś go uwierało ostro w piersi po prawej stronie. Jakby tkwił w niej ogromny haczyk na ryby albo szczerbaty kawał stłuczonej butelki. Musi to załatwić. Szybko. Jak najszybciej. Coś huczało. Słyszał to już spomiędzy drzew i domyślał się, że wichura z ulewą. Tylko że coraz głośniejsze, kiedy wspinał się po głazach do urwiska, i już wiedział, że to nie deszcz. Skała szaro zamajaczyła przed nim i zobaczył. To katarakta. Urwisko zmieniło się w wodospad i z góry waliła powódź, hucząc na skałach, wzbijając się pyłem wodnym wysoko w deszcz. Bliżej podejść byłoby niebezpiecznie; zaczął się posuwać na prawo. O jakieś sto metrów musi stać drzewo, w które skoczył. A tuż koło niego powinny leżeć zwłoki policjanta, który ze swoimi psami spadł w przepaść.

Nie znalazł ich koło drzewa. Już miał zabrać się do grzebania w szczątkach śmigłowca, kiedy uświadomił sobie, że wodospad pewnie zmył ciało po kamieniach w dół, ku wysokiej trawie. Zszedł i rzeczywiście na skraju znalazł faceta, leżącego twarzą w płynącej wodzie. Szczyt głowy miał rozplaszczony, a ręce i nogi mu sterczały pod dziwnymi kątami. A gdzie psy? nie mógł ich znaleźć. Chyba zniosło je głębiej w wysoką trawę. Prędko ukląkł, aby obszukać zwłoki.

Przede wszystkim był mu potrzebny pas. Trzymając strzelbę, żeby mu nie wpadła do wody, jedną ręką przewrócił trupa na wznak. Twarz jeszcze nie najgorsza, nie takie widywał na wojnie. Odwrócił od niej wzrok i zajął się odpinaniem pasa, wyciąganiem go spod nieboszczyka, Przy tych wysiłkach aż się krzywił: tak żebra dźgały go w środku. Wreszcie zdołał wyszarpnąć pas i sprawdził, co na nim jest.

Manierka wgnieciona, lecz nie pęknięta. Odkręcił, napił się i zabełkotała, na wpół pełna. Woda z niej miała stęchły, metaliczny posmak.

Rewolwer w dopasowanej kaburze. Skórzana kłapa zatrzaśnięta na rękojeści: dużo wody tam nie mogło się dostać. Odpiął go, pomyślawszy z uznaniem, że Teasle świetnie wyposażył swych ludzi. To był Colt Python: gruba, czterocalowa lufa z wielką muszką na końcu. Plastikowa rękojeść, z jaką zawsze się go sprzedaje, zastąpiona drewnianymi okładzinami, tak wyrobionymi, aby nie ślizgały się w rękę, kiedy mokre. Celownik u kurka też został przerobiony. Zazwyczaj stały, tutaj był przystosowany do strzelania na odległość.

Nie spodziewał się tak doskonałego rewolweru. Komora dostosowana do kalibru 375 Magnum, do naboju, od którego tylko jeden jest potężniejszy. Można nim ubić jelenia. Da się go przestrzelić na wylot. Nacisnął dźwignię z boku i odchylił bębenek. Tkwiło w nim pięć naboju. Komora pod iglicą była pusta. Szybko schował

rewolwer przed deszczem do kabury i zajrzawszy do ładownicy znalazł w niej jeszcze piętnaście naboii. Zapiął na sobie ten pas i nachylił się, z kluciem w zębrach, aby mu przeszukać kieszenie. Ale nie było tam nic użytecznego do zabrania. Zwłaszcza nic do jedzenia. Liczył na to, że znajdzie przy zwłokach w najgorszym razie trochę czekolady.

Przy schylaniu się zabolalo go w piersiach gorzej niż kiedykolwiek. Trzeba coś z tym zrobić. I to natychmiast. Odpiął zabitemu pasek od spodni, wyprostował się z bólem, trzymając go, rozpiął sobie wierzchnią koszulę wełnianą i tę białą, którą miał pod spodem, bawełnianą. Deszcz go chlastał po piersi. Otoczył sobie paskiem żebra i dociągnął go, ściskając się, jak gdyby obwiązał się mocną taśmą. I ból przestał go wreszcie przeszywać. Zmienił się w nabrzmiały, bolesny ucisk paska. Ciasno. Że aż trudno oddychać. Ale chociaż przestało go rżnąć. Zapiął się i poczuł na ciele mokry, ociekający dotyk bawełnianej koszuli. Teasle. Czas ruszyć za nim. Przez chwilę się zawahał i omal nie poszedł w las: na pogoń za Teaslem zużyje czas potrzebny na ucieczkę i jeśli by w tych górach był jeszcze jeden pościg, może się na nich natknąć. Ale dwie godziny to nie tak dużo. Więcej czasu mu nie zajmie złapanie go, a później, pod osłoną nocy, jeszcze wystarczy mu czasu, aby się wymknąć. Oplaca się zużyć dwie godziny i nauczyć tego skurwysyna.

No dobrze. To którądy? Zejście do szczeliny po tamtej stronie, zdecydował. Jeśli Teasle będzie chciał szybko zejść na dół, chyba tam się skieruje. Przy odrobinie szczęścia Rambo zdąży tam przed nim i złapie go schodzącego. Szybko ruszył na prawo skrajem łąki. Po chwili natknął się na drugiego trupa.

To ten stary w zielonym. Ale jakże on mógł zlecieć z tej skały, żeby tu wylądować? Nie miał żadnej broni u pasa. Miał za to nóż myśliwski i miał torbę, a w niej Rambo coś wymacał.. jedzenie! Coś podłużnego. Mięso... cała garść. Odgryzał i łykał, prawie nie żując, znów i znów odgryzał. Kielbasa w całych laskach, wędzona kielbasa, mokra i trochę pognieciona, kiedy facet się rozbił o skały, ale żywność... więc ją gryzł, miażdżył i czym prędzej połykał, zmuszając się żeby jeść wolniej i żując obracać w ustach; już z niej prawie nic nie zostało; dojadła ostatnie kęsy i oblizywał palce; wreszcie pozostał mu tylko przydymiony smak i język trochę piekący od ostrego pieprzu, którym to mięso było zaprawione.

Wtem piorun i grzmot, jak gdyby ziemia się wzdrzygnęła. Trzeba uważać: za bardzo mu sprzyja szczęście. Najpierw rewolwer i naboje, manierka, a teraz nóż i kielbasa. Tak łatwo mu przyszły, że trzeba uważać. Wiedział, jak to bywa i jak wszystko się wyrównuje. Przez chwilę ma się szczęście - a potem... no, ale już on się postara i będzie się miał na baczności, żeby szczęście pozostało po jego stronie.

Teasle masował sobie pięść, otwierając ją i zaciskając. Rozciął sobie kłyckie na zębach Mitcha, teraz mu puchły, ale Mitchowi wargi spuchły dwa razy gorzej. W blasku pioruna Mitch próbował wstać jedno z kolan się pod nim ugięło i osunął się, zapłakany, na pień.

- Nie trzeba go było tak mocno bić - rzekł Shingleton.

- Sam wiem o tym - rzekł Teasle.

- Jesteś bokserem. Ćwiczyłeś. Nie powinieneś go tak uderzyć.

- Przecież mówię. W ogóle nie powinienem go bić. Dajmy już temu spokój.

- Spójrz na niego. On teraz nawet ustać nie może. Jak będzie z nami szedł?

- Mniejsza o to - powiedział Ward. - Mamy gorsze kłopoty. Karabiny, radio, wszystko nam zmyło w przepaść.

- Mamy broń krótką.

- Ale jaki to zasięg - rzekł Teasle. - Przeciw karabinowi nie doniesie. Jak tylko się rozjaśni, chłopak będzie nas mógł wystrzelać z kilometra. -

- Chyba, że korzystając z burzy ucieknie - rzekł Ward.

- Nie, musimy zakładać, że przyjdzie po nas. Popelniliśmy już zbyt wiele nieostrożności. Najwyższy czas, abyśmy zaczęli tak działać, jakby miało się zdarzyć najgorsze. Choćby się nie zjawiał, i tak jesteśmy załatwieni, bez jedzenia i ekwipunku. W rozsypce, padamy ze zmęczenia. Dobrze będzie, jak się doczołgamy do miasta.

Popatrzył na Mitcha, który siedział w deszczu i błocie, trzymając się za twarz i jęcząc.

- Pomóżcie mi z nim - powiedział, stawiając Mitcha na nogi.

Mitch odepchnął go.

- Dam sobie radę - wymamrotał przez wybite zęby. - Już dość mi zrobiłeś. Nie podchodź do mnie.

- Może ja spróbuję - przemówił Ward.

Ale Mitch jego też odepchnął. - Powiedziałem, że dam sobie radę. - Wargi miał spuchnięte i fioletowe. Głowa mu opadła i ukrył twarz w dłoniach. - Cholera, dam sobie radę.

- Na pewno - powiedział Ward i złapał go, kiedy pod tamtym się ugięły kolana.

- Boże, moje zęby.

- Wiem - powiedział Teasle i z Wardem we dwóch podparli Mitcha.

Shingleton spojrział na szeryfa, potrząsając głową.

- Co za paskudztwo. Popatrz, jakie mętne ma spojrzenie. A spójrz na siebie. Jak ty chcesz wytrzymać tę noc bez koszuli? Zamarzniesz.

- Nie martw się o to. Patrz tylko, czy nie ma gdzieś Lestera i tamtych.

- Do tej pory już dawno się wynieśli.

- Nie w taką burzę. Nawet nie widzieliby tyle, żeby iść prosto. Pewnie łążą gdzieś po tym grzbiecie i jak się natkniemy na nich, to uważaj. Lester i ten młody są tacy przerażeni, czy chłopak nie przyjdzie po nich, że gotowi nas wziąć za niego i powystrzelać. Widziałem już takie rzeczy.

Zamieć śnieżna w Korei, kiedy wartownik przez pomyłkę zastrzelił swojego: myślał o tym, ale nie miał kiedy wyjaśniać. Deszczowe noce w Louisville, gdzie dwaj policjanci stracili głowę i pozabijali się wzajemnie. Jego ojciec. Także i jego ojcu zdarzyło się coś podobnego... ale nie mógł sobie pozwolić na myślenie o tym, przypominanie sobie.

- Idziemy - rzekł stanowczo. - Mamy do zrobienia wiele mil, a siły nam nie przybywa.

Popędzani deszczem po plecach, ruszyli między drzewa, prowadząc Mitcha. Z początku jego nogi wlokły się w błocie; potem już ospale, niezdarnie, ale zaczął sam iść.

Bohater wojenny, rozmyślał Teasle, z plecami odrętwiałymi od spływającego po nich zimnego deszczu. Chłopak wprawdzie mówił, że był na wojnie, ale kto by to wziął poważnie? Dlaczego nie wyjaśnił dokładniej?

Czy to by coś zmieniło? Czy potraktowałbyś go inaczej niż kogokolwiek?

Nie. Tego bym nie mógł zrobić.

W porządku, wobec tego zastanawiaj się tylko nad tym, co on wam potrafi zrobić, jak przyjdzie.

Jeżeli przyjdzie. Może ci się zdaje. Może nie przyjdzie.

A do miasta za każdym razem wracał, może nie? Więc i teraz też wróci. Możesz być pewien.

- Ej, ty się trzęsiesz - powiedział Shingleton.

- Patrz tylko, czy nie ma gdzieś Lestera i pozostałych.

Nie mógł odpędzić tej myśli. Z trudem unosząc zeszywniałe nogi, podtrzymując Mitcha i wlokąc się z tamtymi, wszyscy zmordowani, między drzewami w deszczu, nie mógł pozbyć się natrętnego wspomnienia, jak to się stało z ojcem tej soboty i o tych sześciu, co wybrali się z nim na jelenie. Ojciec chciał go zabrać, ale trzej z tamtych oświadczyli, że jest za młody, a ojcu nie podobał się sposób, w jaki to powiedzieli, ale ustąpił: tej soboty był pierwszy dzień sezonu i nie chciał go popsuć. Nie chciał rozpętać kłótni.

Więc historia wróciła. Jak zajęli stanowiska wzdłuż wyschniętego koryta rzeki, upstrzonego świeżymi śladami i odchodami jeleni. Jak ojciec wszedł pod górę i narobił hałasu, żeby spłoszyć jelenie i napędzić je korytem rzeki, gdzie tamci będą je wypatrywać i strzelać. Zasada: nikt się nie rusza ze stanowiska, żeby się nikomu nie pomyliło, gdzie który jest. Ale jednemu z nich, będącemu pierwszy raz na polowaniu, znudziło się czekać cały dzień, kiedy się pokażą jelenie, więc sam powędrował rozejrzeć się, czy nie trafi czegoś na własną rękę, usłyszał hałas, zobaczył jakieś poruszenie w zaroślach, dał ognia i rozłupał ojcu głowę niemal na dwoje. Ciało prawie że nie wystawiano w otwartej trumnie, bo głowa była roztrzaskana jeszcze bardziej, niż się z początku wydawało: ale w zakładzie pogrzebowym użyto peruki i wszyscy mówili, że nieboszczyk wygląda jak żywy. Orval był na tym polowaniu; a teraz już i Orvala zastrzelono; i prowadząc tak Mitcha w burzę po skale Teasle coraz bardziej obawiał się, że i on tak umrze. Wyteżał wzrok, próbując w mroku drzew przed sobą wypatryć Lestera i pozostałych. Jeśli zabłądzili i zaczną strzelać ze strachu, wiedział, że będzie to jego własny błąd, a nie kogo innego. Zresztą kimże są jego policjanci? Ot, w sam raz do pilnowania ruchu za 5700 dolarów rocznie, zastępcy szeryfa w małym miasteczku, wyszkoleni do radzenia sobie z małomiasteczkowym przestępstwem, wciąż liczący na to, że nie stanie się nic poważnego, i zawsze mający pod ręką pomoc na wypadek, gdyby jej potrzebowali; a tu raptem znaleźli się w najdzikszych górach w Kentucky, bez żadnej pomocy, oko w oko z doświadczonym zabójcą; i Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem wytrzymali to wszystko aż dotąd. Uświadomił sobie, że w ogóle nie powinien ich tu sprowadzać. Należało zaczekać na policję stanową. Przez całe pięć lat oszukiwał się tylko, że jego wydział jest równie twardy i zdyscyplinowany jak ten w Louisville, aby teraz dopiero pojąć, że przez te lata jego ludzie po trochu przyzwyczaili się do swej codziennej rutyny i stracili ostrość. On również. Myśląc o tym, jak się wyklócał z Orvałem zamiast się skoncentrować na chłopaku, jak wpakował ich wszystkich w zasadzkę, jak stracili wyposażenie i jak pościg się rozsypał i diabli go wzięli, a

Orval zginął Teasle zaczął sobie uświadamiać - ta myśl kielkowała w nim, on ją odpychał, a ona tym uparciej wracała - jak miękki zrobił się w istocie i jak niedbały.

Choćby to, jak uderzył Mitcha. Albo jak nie ostrzegł Orwala, żeby się nie wychylał.

Pierwszy odgłos pomieszał się z grzmiotem i nie był pewien, czy go rzeczywiście usłyszał. Zatrzymał się i spojrzął na tamtych. Słyszeliście?

- Tak naprawdę to nie wiem - rzekł Shingleton. - Chyba tam w górze przed nami. Trochę na prawo.

I jeszcze po trzykroć. Teraz już nie mieli wątpliwości: wystrzały karabinowe.

- To Lester - powiedział Ward. - Ale nie w naszą stronę.

- Wątpię - rzekł Teasle - czy Lesterowi został jakiś karabin, jak i nam. To strzela ten chłopak.

Nastąpił jeszcze jeden wystrzał, znów z karabinu. Słuchał, kiedy padnie następny, ale już się go nie doczekał.

- Obiegł dookoła i złapał ich przy tej szczelinie - rzekł Teasle. - Cztery wystrzały. Czterech ludzi. Piątym dobił któregoś. Teraz weźmie się za nas. - Poprowadził czym prędzej Mitcha w kierunku przeciwnym do strzałów.

Ward zaprotestował.

- Zaczekaj. Nie pójdziemy im pomóc? Nie możemy ich tak zostawić.

- Nie żyją. Możesz być pewien.

- A teraz przyjdzie po nas - rzekł Shingleton.

- Jak w banku - powiedział Teasle.

Ward popatrzył trwożnie w kierunku strzałów. Zamknął oczy, zbrzydzone.

- Nieszczęsne, głupie skurwiele. - Ociągając się podparł Mitcha i poszli w lewo, coraz szybciej, Deszcz osłabł, a potem znów się wzmógł.

- Prawdopodobnie będzie na nas czekał przy zejściu z urwiska, na wypadek, gdybyśmy nie usłyszeli - rzekł Teasle. - To nam da wyprzedzenie. A jak będzie już pewien, że nie przyjdziemy, to ruszy na przelaj, żeby nas wytropić, ale deszcz pozaciera ślady i nie znajdzie nas.

- Wobec tego mamy go z głowy - powiedział Ward.

- Go z głowy - powtórzył głupawo Mitch.

- Nie. Co robi, kiedy nie znajdzie naszych śladów? Poleci na drugi koniec tej góry, starając się nas wyprzedzić. Poszuka miejsca, gdzie my, według niego, najprawdopodobniej będziemy schodzić i tam się zaczai.

- No cóż - powiedział Ward - po prostu musimy tam dotrzeć wcześniej od niego, nie?

- Od niego, nie? - powtórzył Mitch, potykając się, a Ward po wiedział to tak lekko. Powtórka w ustach Mitcha zabrzmiała tak groteskowo, że Teasle nerwowo się zaśmiał.

- A co u diabła, jasne, że po prostu musimy tam dotrzeć wcześniej od niego - powiedział, patrząc na Shingletona i Warda, z podziwem, że tak się trzymają w garści, i wtem pomyślał, że mimo wszystko może im się udać.

O szóstej deszcz zamienił się w duże, trzaskające bryłki gradu i kilka z nich trafiło w twarz Shingletona tak mocno, że musieli po omacku schronić się pod drzewo. Liście już opadły, ale pozostało dość nagich gałązek, aby większość gradu się odbijała: a reszta dotkliwie tłukła szeryfa po nagich plecach, po piersiach i ramionach, którymi osłaniał sobie głowę. Rozpaczliwie pilno mu było ruszać dalej, byłoby to jednak szaleństwem: dostać kilka razy takimi grudami lodu i człowiek mógłby nie wstać. Ale im dłużej kulą się pod tym drzewem, tym więcej chłopak ma czasu, żeby ich dogonić: pozostała im tylko nadzieja, że on też będzie musiał ukryć się i przeczekać.

Siedział tak, wypatrując, przygotowany na atak, i nareszcie grad przestał walić, deszcz także ustał, a że przejaśniło się i wiatr zamierał, posuwali się teraz dość szybko. Jednak bez wiatru i deszczu odgłosy ich przedzierania się przez zarośla też stały się donośne: sygnał dla chłopaka. Próbowali zwolnić, ale nie było to wiele ciszej, więc znów przyśpieszyli, nie zwracając uwagi na czyniony przez siebie hałas.

- Czy ten grzbiet się w ogóle nie kończy? - złościł się Shingleton. - To już całe mile.

- Mile - podchwycił Mitch. - Ile. Tyle mil. - Znów zaczął powłóczyć nogami.

Po czym obwisł im w rękach; Ward poderwał upadającego i sam poderwał się, zatoczył do tyłu. Echo wystrzału rozległo się między drzewami, a Ward leżał na wznak, ręce i nogi wyrzucając w kurczach agonii. Teasle dojrzał z miejsca, gdzie upadł, że Ward dostał prosto w piersi. Zdziwił się, że sam leży. Nie pamiętał, jak się rzucił na ziemię. I również ze zdziwieniem stwierdził, że ma w ręku wydobyty pistolet.

Boże, więc i Ward już nie żyje. Chciał się do niego podczołgać, ale po co? A co się dzieje z Mitchem: czyżby i on? Upadł w błoto i leży bez ruchu, też jakby zastrzelony. Nie. Żyje, otworzył oczy i mrugając przygląda się pobliskiemu drzewu.

- Widziałeś go? - Teasle w pośpiechu spytał Shingletona. - Z którego miejsca strzelał?

Brak odpowiedzi. Shingleton rozplaszczony na ziemi, tępo zagapiony przed siebie, twarz ma napiętą wokół masywnych kości policzkowych.

Teasle potrząsnął nim. - Hej, pytam cię! Czy widziałeś? Ocknij się!

Jak gdyby uruchomił mechanizm wyzwalający. Shingleton się rzucił, z pięścią tuż u twarzy szeryfa.

- Trzymaj te pierdolone łapy przy sobie!

- Pytam, czy go widziałeś.

- Mówiłem, że nie!

- Nic nie odpowiedziałeś.

- Wiedziałeś - powtórzył jak echo Mitch.

Spojrzeni na niego.

- Prędko, pomóż mi - rzekł Teasle i odciągnęli go w płytkie zagłębienie, otoczone krzakami, z przodu osłonięte przez leżące, spróchniałe drzewo. Zagłębienie było pełne wody i Teasle opuścił się w nią z wolna, czując jej chłód na piersiach i brzuchu.

Ręce mu się trzęsły, gdy sprawdzał, czy woda się nie dostała do lufy. Wiedział, co teraz wypada mu zrobić, i bał się, lecz nie widział innego wyjścia, a jak będzie się dużo zastanawiał, to może w ogóle się nie potrafił zmusić.

- Zostań tu z Mitchem - powiedział do Shingletona, czując suchość w ustach. Nie odświeżył języka od wielu godzin. - Jeśli ktoś podejdzie z tych krzaków bez uprzedzenia, że to ja, strzelaj.

- Co znaczy: zostań? A ty dokąd?

- Przed siebie. Jeśli spróbujemy uciekać tam, skądemy przyszedli, on po prostu ruszy za nami. Zamiast uciekać, możemy sobie zaoszczędzić kłopotu. Spróbujemy tu zrobić z tym koniec.

- Ale on jest wyszkolony do takiej walki.

- Ja też byłem szkolony do nocnego zwiadu w Korei. To było dwadzieścia lat temu, jednak coś z tego pamiętam. Może nie mam już tej praktyki i szybkości, ale nie słyszę lepszej propozycji.

- Zostań tu i poczekaj na niego. Niech on przyjdzie. Będziemy przygotowani.

- A jak zapadnie noc i on się do nas podkradnie, zanim go usłyszymy?

- Jak zapadnie noc, wyniesiemy się stąd.

- Aha! I narobimy tyle hałasu, że będzie mógł nas wystrzelać nawet nie patrząc. Po prostu na słuch. Przecież sam powiedziałeś: on został do tego wyszkolony!

- I w tym nasza przewaga. Założę się, że przy odrobinie szczęścia da się go tym właśnie zaskoczyć: nie spodziewa się, że ja mógłbym posłużyć się jego własną bronią. Liczy na to, że będę uciekał, nie atakował.

- Więc idę z tobą.

- Nie! Musisz ochraniać Mitcha. A jakbyśmy się przekradali we dwóch, możemy narobić hałasu i ostrzec go.

Miał jeszcze jeden powód, aby zrobić to w pojedynkę, ale już nie chciało mu się wyjaśniać. I tak za długo zwlekał. Natychmiast wyczołgał się z dołka, okrążając z lewej zwałone drzewo. Błoto go tak przeraźliwie ziębiło w brzuch, że siłą zmuszał się, aby w nim pełznąć. Co się przeczołgał kilka stóp, to zatrzymywał się, nasłuchując, i czołgał się dalej, a ilekroć zarył się butami w błoto, by się odepchnąć, z błota wydobywało się cmoknięcie i Teasle się spręzał w oczekiwaniu. Cmokało tak coraz głośniejsze, aż przestał używać stóp do odpychania się i odtąd już sunął tylko wijąc się, za pomocą łokci i kolan, wciąż pilnując, aby błoto nie dostało się do pistoletu. Kiedy przepelzał pod krzakami, woda mu kapiała na plecy. Zatrzymywał się, nasłuchiwał i brnął dalej.

Shingleton i tak nie rozumiałby ostatniego powodu, dla którego to robi, pomyślał. To nie Shingleton kierował akcją i popełnił błędy, przez które zginęli Orval i Lester i ten młody, i Galt, i ci dwaj w helikopterze i cała reszta. Więc jak Shingleton mógłby zrozumieć, że on nie może pogodzić się z tym, aby jeszcze ktoś zginął za niego. Tym razem będzie to jeden na jednego, on i chłopak, nikt inny, tak samo jak się zaczęło, i jeżeli znów popełni błąd, to już sam za niego zapłaci.

Na zegarku miał szóstą trzydzieści, kiedy wyruszył. Tak się skoncentrował na poruszeniach i odgłosach wokół, że gdy spojrzał znów na zegarek, minęła siódma. Wbiegająca na drzewo wiewiórka zaskoczyła go, myślał, że to chłopak i omal nie strzelił do niej. Światła znów ubywało, nie z powodu chmur, ale robił się wieczór, powietrze się ochłodziło i dygotał, czołgając się. Mimo to strużki potu ciekły mu po twarzy, plecach i pod pachami.

To ze strachu. Gorące parcie w odbytnicy. Adrenalina wstrzykiwana do brzucha. Okropnie mu się chciało zawrócić i dlatego zmuszał się, aby pełznąć naprzód. Boże miłosierny, jeśli tym razem nie dopadnie chłopaka, to na pewno nie ze strachu przed śmiercią. Nie, na Boga. Winien to jest Orwalowi. I pozostałym.

Siódma piętnaście. Już kawał drogi się przeczołgał, klucząc po lesie, zatrzymując się, wypatrując w głąb zagajników i zarośli, czy chłopak się tam nie ukrył. Wzdrygał się przy drobnych, niewyjaśnionych odgłosach, jak trzaśnięcie gałązki, którą mógł złamać chłopak układający się do strzału, jak szmer w liściach, mogący oznaczać, że chłopak go zachodzi od tyłu. Czołgał się powoli, tłumiąc paniczne impulsy, aby przyspieszyć i skończyć z tym, zmuszając się do koncentracji na wszystkim, co go otacza. Chłopakowi dość było najdrobniejszej osłony. A jemu wystarczyło pozwolić sobie na jedną nieostrożność, nie sprawdzić tylko jednego krzaczka, pniaka czy zagłębienia w ziemi, i to mógł być już koniec. Nastąpiłby tak nagle, że nawet by nie usłyszał wystrzału, który go zabił.

Zrobiła się wreszcie 7.30 i cienie zaczęły się tak zlewać, że już oszukiwały go. Raz wydawało mu się, że to chłopak, a był to ciemniejszy w półmroku pień krzywego drzewa. Tak samo nabrał się na kłodę leżącą za krzakiem i już wiedział, że zrobił wszystko, co mógł. Pora zawracać. To było najgorsze. Oczy mu się zmęczyły od wypatrywania, cienie zaskakiwały go i chciał już tylko jak najszybciej wrócić do Shingletona i przez chwilę odpocząć, a niech Shingleton wypatruje chłopaka. Ale nie ważył się zaprzestać tropienia, byle szybciej! Nawet i wracając musiał to czynić bez pośpiechu i sprawdzać każdy krzak i drzewo, zanim wykonał ruch. Musiał też patrzeć w tył, czy chłopak się nie podkrada. Czuł, że plecy ma tak nagie, tak białe w półmroku: tylko czekał, kiedy obejrawszy się zobaczy chłopaka, jak z uśmiechem celuje mu pomiędzy łopatki. Kula mu rozerwie kręgosłup i wnętrzności i trup na miejscu. Wbrew samemu sobie przyspieszał.

Omam nie zapomniał dać Shingletonowi znaku, że to on wraca. A to byłby dowcip. Zaryzykować tropienie chłopaka i być zastrzelonym przez swojego. - To ja - wyszeptał. - Teasle.

Nikt mu nie odpowiedział.

Za cicho szepnąłem, nie usłyszał, pomyślał Teasle.

- To ja - powtórzył nieco głośniejszym głosem. - Teasle.

Ale znów nikt nie odpowiedział i Teasle poczuł, że coś jest nie w porządku.

Okrażył zagłębienie i podczołgawszy się od tyłu zobaczył, że nie w porządku, to mało. Shingletona nie było, a Mitch leżał w wodzie na wznak z gardłem starannie poderżniętym od ucha do ucha, we krwi parującej na zimnie. Shingleton. A gdzie Shingleton? Widocznie, znużony wyczekiwaniem i niespokojny, też wybrał się na poszukiwanie chłopaka i zostawił Mitcha samego, a chłopak zakradł się i poderżnął mu gardło, aby ciszej! Więc chłopak, uświadomił sobie Teasle, chłopak musi być tuż. Skulił się i gwałtownie odwrócił, a widok Mitcha i gorączkowa konieczność bronienia się ze wszystkich stron naraz omam nie wydarły mu krzyku: Shingleton, wracaj. Shingleton! Dwaj patrzący w przeciwnych kierunkach może by dojrżeli chłopaka, zanim by ich zaskoczył. Shingleton! chciało mu się zawołać.

A tymczasem Shingleton zawołał gdzieś z prawej.

- Uważaj, Will, dostał mnie!

Strzał przypięczętował ten okrzyk i już więcej Teasle nie mógł znieść. Załamał się wreszcie, nie wiedział, kiedy zerwał się i pobiegł, wrzeszcząc, aby dalej, na złamanie karku, przez cienie, drzewa i krzaki. Aaa-ee-iii! wrzeszczał. Zejście ze skały. O niczym więcej nie myślał. Gdzie ta szczelina byle uciec stąd na dół na dół!

Strzelił do szeryfa, ale światło już było słabe i drzewa za gęste, poza tym Shingleton złapał go za lufę i kula poszła dołem. Shingleton powinien już nie żyć. Miał kulę w czaszce. Jak on mógł jeszcze się dźwignąć i złapać za lufę, psując mu strzał! Rambo nie mógł się wstrzymać od podziwu, kiedy go dostrzelił, tym razem w oko i teraz Shingleton już na pewno nie żył.

Bez chwili zwłoki skoczył za szeryfem. Oczywiście, że Teasle pędzi do zejścia ze skały. Rambo zamierzał być tam pierwszy. Nie biegł dokładnie za Teaslem, bo ten mógłby się opanować i gdzieś zacząć, tylko równolegle z nim, jak najszybciej, aby wcześniej niż Teasle dopaść tego zejścia.

Nie zdążył. Wybiegł z lasu, widząc już krawędź urwiska i górny wylot szczeliny, przykleknął w ukryciu, czekając na niego. Wtedy usłyszał, jak staczają się z grzechotem odłamki skalne i ciężkie sapanie z dołu, i podbiegł w samą porę, aby zobaczyć, jak Teasle zeskakuje w szczelinie z ostatnich kilku stóp i znika za jej pionową krawędzią. Ujrzał też ciała czterech zastępców tam, gdzie ich zastrzelił u stóp skały, i nie spodobało mu się położenie, w jakim się znalazł. Teraz przewagę ma Teasle. Schodzić za nim tą rynną? Będzie dla szeryfa równie łatwym celem, jak ci czterej byli dla niego.

Aż za dobrze wiedział, że Teasle nie będzie tam sterczał do rana i czekał na niego. Wkrótce zaryzykuje i wymknie się, a on zostanie na szczycie, podejrzewając, że Teasle już uciekł, ale nie mogąc ryzykować w razie,

gdyby jeszcze tam był. Aby się zabezpieczyć, musi znaleźć inne zejście, i to w kierunku, którądy Teasle będzie uciekał do domu.

Pobiegł znów tam, gdzie zabił Shingletona, minął jego trupa i biegł dalej, w nadziei, że grzbiet łagodnie przejdzie w kotlinę, i rzeczywiście: za pół godziny był już w kotlinie, biegnąc pomiędzy drzewami ku leśnej łące, którą niejasno wypatrzył z góry. Światło robiło się coraz gorsze, więc pędził, aby dopaść tej trawy, zanim ciemność ukryje ślad po szeryfie. Zdażył i pobiegł między drzewami tuż na skraju polany, żeby nie wychylić się na cel, a równocześnie szukając śladów, które by prowadziły z lasu na otwartą przestrzeń. Rozglądał się, biegł i wypatrywał dalej, ale wciąż ani znaku na wilgotnej ziemi, więc pomyślał, że Teasle mógł dłużej zabawić przy urwisku i kto wie, czy teraz nie skrada się za nim, wypatrując. Właśnie znów rozpadał się deszcz i ściemniło się, gdy ujrzał zdeptaną trawę.

Tam!

Jednakże musi dać mu fory. Bo wbrew pokusie, aby rzucić się za nim przez polanę, trzeba zaczekać, aż noc zrobi się całkiem czarna: przecież Teasle nie musi przed nim uciekać, możliwe, że leży po drugiej stronie w krzakach i celuje. Wreszcie uznał, że jest już dostatecznie ciemno, aby przebiec nie wystawiając się na cel, ale ostrożność okazała się zbyt duża, bo szeryfa nie zastał. Deszcz prószył skroś drzew, prawie nie tłumiąc odgłosów, i oto usłyszał, jak daleko przed nim coś przedziera się z hałasem przez gęste zarośla.

Ruszył za tym odgłosem, przystanął i nasłuchiwał, skorygował kierunek na słuch i znów pobiegł. Spodziewał się, że niedługo Teasle przestanie biec i spróbuje się na niego zacząć, ale dopóki słyszał, jak Teasle biegnie, mógł bez żadnej obawy biec za nim i nie dbać o hałas. Potem się zatrzymał i odgłosów ucieczki przed nim także nie było słyhać, więc położył się i cicho poczołgał naprzód. Po chwili biegnący znów dał się słyszeć, więc i on zerwał się i pognął za nim. Powtarzało się to przez godzinę: biegł, przystawał, nasłuchiwał, czołgał się, biegł. Z góry wciąż prószyła chłodna mżawka. Zaciągnięty na żebrach pasek rozluźnił się i musiał go znów dociągać, ażeby zmniejszyć ból. Teraz już był pewien, że ma złamane żebra i ostre ich końce ranią go wewnątrz. Zrezygnowałby, ale wiedział, że niedługo już dopadnie szeryfa; zgiał się z bólu, ale Teasle wciąż biegł, więc i on wyprostował się, zmusił do biegu.

Pogoń ciągnęła się po leśnym stoku pod górę, przez grań skalną i w dół po łupkowym zboczu do potoku, jego brzegiem, przez potok znów do lasu, w poprzek rozpadliny. Kiedy ją przeskakiwał, nagle przejął go taki ból w piersi, że potknął się i o mało nie wpadł, ale podciągnął się, posłuchał, gdzie biegnie Teasle i znów rzucił się w pościg. Za każdym razem, kiedy prawą stopą uderzał w ziemię, wstrząs przelatujący po prawym boku aż do góry, zgrzytał w żebrach. Dwa razy go skreśliło i zwymiotował.

Pod górę i w dół, krajobraz powtarzał się. Potykając się na zakrzewionym skalistym zboczu Teasle czuł się jak gdyby znów na tamtej krawędzi, usiłując pokonać zbrocze w stronę lasu. Po ciemku nie widział szczytu; chciałby wiedzieć, czy to daleko; już długo nie da rady się wspinać. Tracił równowagę na skałach śliskich od deszczu, ciężko się przewracał. Więc zaczął wchodzić pod górę na czworakach, kamienie mu rozdzierały spodnie i raniły kolana, a za sobą, w drzewach u podnóża, słyszał, jak chłopak przedziera się przez zarośla.

Pogramolił się szybciej. Żeby tylko mógł dojrzeć szczyt i czy jeszcze daleko. Chłopak musiał już wydostać się z lasu i pnie się po zboczu. Teasle pomyślał, że ostrzela go na oślep i może powstrzyma. Ale nic z tego; błysk posłużyłby chłopakowi za cel; jednak, o Boże, coś musi zrobić.

Rozpaczliwym zrywem osiągnął szczyt i nie wiedział, że to już, potknął się i ledwie zdążył chwycić za jakiś gałąz, aby nie stoczyć się na drugą stronę. Teraz. Teraz już może strzelać. Wyciągnął się i posłuchał, którądy chłopak wdziera się po zboczu, i sześcioma strzałami przejechał po tym miejscu. I zaraz przypadł do ziemi, na wypadek, jeśliby chybił i z dołu wystrzał jęknął tuż nad nim. Usłyszał, jak chłopak wdrapuje się bardziej na lewo, strzelił jeszcze raz w te odgłosy i rzucił się po zboczu w dół na drugą stronę. Znów się potknął i tym razem tak ciężko huknął ramieniem o skałę, że chwyciwszy się za nie już nie mógł się zatrzymać i stoczył się aż na dół. Leżał tam ogłuszony.

Dech mu zaparło i starał się go odzyskać, ale nie mógł. Dusząc się właczał mięśnie brzucha, a one się wypychały, aż wreszcie udało mu się wciągnąć odrobinę powietrza i jeszcze trochę, i już prawie oddychał normalnie, kiedy usłyszał, jak chłopak osuwa się w górze po kamieniach. Dźwignął się omackiem na kolana - później na nogi i stwierdził, że w upadku zgubił pistolet. Brak czasu, żeby po niego wracać. I brak światła, żeby go znaleźć.

Potykając się brnął przez las, chyba krążąc już w kółko, donikąd, w kółko i w kółko, aż znajdzie się bez wyjścia. Już kolana się pod nim uginały. Mylił mu się kierunek. Wpadał na drzewa, a w głowie miał idiotyczną wizję

samego siebie w gabinecie, z bosymi stopami na biurku, jak odchyła głowę i popija gorącą zupę. Pomidorową. Nie... fasolową z boczkiem. Tę drogą i zawieszoną, z napisem, żeby nie dolewać wody.

Zaraz go dopadnie. Odgłosy przed nim były coraz powolniejsze, coraz to mniej określone, niezdadne. Tak blisko, że już słyszał, jak Teasle chrapliwie rzezi. Szeryf nieźle go przegonił, to fakt. Myślał, że dopadnie go już kilka mil wcześniej, a tu jeszcze się zabawiają! Ale już niedługo.

Parę minut. Nie więcej. Ból w żebrach kazał mu zwolnić, ale ciągle miał niezłe tempo, a że Teasle też zwolnił, więc niezbyt się tym przejmował. Dłonią na żebrach wspomagał ucisk od paska. Cały prawy bok miał spuchnięty. Pasek się rozluźnił na deszczu i Rambo wciąż musiał dociskać sobie to miejsce dłonią.

Wtem potknął się i upadł. To mu się jeszcze nie zdarzyło. Ach nie, prawda! Już na rozpadlinie się potknął. A potem znów, i powstając na nogi, prac dalej, doszedł do wniosku, że dopadnięcie szeryfa może mu zająć trochę więcej niż parę minut. W każdym razie niedługo. To pewne. Po prostu nieco dłużej niż parę minut. I koniec. Czy powiedział to na głos?

Wpakował się twarzą prosto w jeżyny, wpadłszy na nie po ciemku. Siekły go ich kolce, więc odskoczył, chwytając się za rozdrapane policzki. Wiedział, że to nie deszcz mu zwilża twarz i dłonie. Ale co z tego, skoro tam, w jeżynowym gąszczu, słychać czołgającego się szeryfa. No właśnie, już go ma. Ruszył na lewo brzegiem jeżynowych zarośli, czekając kiedy ich granica skreśli w dół i zaprowadzi go na niżej położony skraj tych zarośli gdzie sobie odpocznie i zaczeka, aż Teasle na niego wypełźnie. Po ciemku nie będzie mógł obejrzeć zaskoczenia na twarzy szeryfa, kiedy go zastrzeli.

Ale im dłużej pośpieszał wzdłuż jeżynowych zarośli, tym dalej się ciągnęły, aż zaczął się niepokoić, czy ich zwarty gąszcz nie porasta całkowicie tej części zbocza. Biegł dalej, a zarośla wciąż nie skręcały w dół i wreszcie nabral pewności, że ciągną się tu wzdłuż całego grzbietu. Chciał zatrzymać się i zawrócić, ale pomyślał, że jeszcze kawaleczek i a nuż skierują się w dół? Z pięciu minut zrobiło się może piętnaście, a potem dwadzieścia, i to było już marnowanie czasu, powinien się w nie zapaść od razu, tam gdzie Teasle, ale teraz już nie da rady. Po ciemku nie ma pojęcia, gdzie Teasle w nie wszedł.

Zawrócić. Może w drugą stronę nie ciągną się tak daleko, może tam skręca. Pognał, trzymając się za bok i stękając. Długo tak biegł, aż wydało mu się, że nigdy już się nie skończą, i gdy znów się potknął i upadł, nie podniósł się już i tak został twarzą w błotniście rozmięklej trawie.

Zgubił go. Tyle czasu i sił kosztowało go, aby zbliżyć się tuż do ściganego... i zgubił go. Twarz porozdrapywana w jeżynach okrutnie piekła. W żebrach czuł jakby ogień, dłonie miał pozbijane, odzież podarta, ciało do krwi pocięte. I zgubił go, a deszcz siąpił i łagodnie chłodził leżącego, gdy nabierał głęboko tchu, zatrzymywał go w płucach, z wolna wypuszczał i znów głęboko wdychał, rozluźniając przy każdym powolnym wydechu martwy ciężar swych ramion i nóg i pierwszy raz jak sięgnął pamięcią płacząc, cicho płacząc.

Tylko patrzeć, jak chłopak dopadnie go, przedarłszy się skroś tych jeżyn. Czołgał się jak nieprzytomny, w hysterii. Potem jeżyny stały się tak niskie i gęste, że musiał przyłgnąć na płask do ziemi, wijąc się w nich. Mimo to najniższe z łodyg drapały go po plecach i wczepiały się w tył spodni, a gdy się skręcał, aby je odzepić, inne łodygi orały go po ramionach i rękach. Już mnie dogania, myślał, i rozpaczliwie czołgał się naprzód, nie dbając w ogóle o wpijające się kolce. Klamra u paska ryła w ziemi, nabierając jej w spodnie.

Ale dokąd właściwie zmierza? Czy nie pełźnie w kółko, zamykając krąg i wprost na chłopaka? W przerażeniu zatrzymał się. Grunt opadał. Musi być na zboczu wzgórza. Jeśli popelźnie w dół, to będzie na wprost. Czy na pewno? Ciężko zebrać myśli, dusząc się w tym czarnym i gęstym kłębowisku, w nieustającym deszczu. Ty bękarcie, wydostanę się i zabiję cię za to wszystko. Zabiję cię za to.

Podźwignął głowę z błota. I przez chwilę nie pamiętał, czy się poruszał. Uświadomił sobie z wolna, że stracił przytomność. Aż zeszytywniał i rozejrzał się. W tym odrętwieniu chłopak mógł się do niego podczołgać i poderżnąć mu gardło, jak Mitchowi. Chryste, powiedział na głos, i tak zarzęziło to, aż sam się zdziwił. Chryste, powtórzył aby odzyskać głos, ale słowo pękło jak zlodowaciała skorupka.

Nie, pomyślał, przytomniejąc po trochu, tak by nie było. Chłopak nie zarznąłby mnie, podczołgawszy się, nieprzytomnego. Najpierw by mnie obudził. Żeby wiedział, co ze mną robi.

Więc gdzie on jest? Wypatruje? Szuka moich śladów, zbliża się?

Nasłuchiwał odgłosu w zaroślach, nic nie słysząc, trzeba się ruszać i utrzymać dystans.

Ale gdy spróbował szybko popelznąć, okazało się, że ledwo się wlecze w przód. Długo musiał leżeć nieprzytomny. Już nie było czarno, tylko szaro i gdzie nie spojrzeć, wszędzie jeżyny, grube i najeżone kolcami długości cała. Obmacał sobie plecy, jak u jeżozwierza, utkane tuzinami tych kolców. Przyjrząwszy się swej

pokrwawionej dłoni znów zaczął się czołgać, przeciskać. A może chłopak jest w pobliżu, tuż obok, przygląda się i cieszy z jego udręki.

Potem wszystko się pomieszało, a potem słońce, wysoko nad gęstwą jeżyn i widoczne w nich świetliste, jaskrawo błękitne niebo. Zaśmiał się. Z czego się śmiejesz?

Z czego śmiejesz. Nie pamiętam nawet, żeby deszcz przestał padać, a tu czyste niebo i jasny dzień, słowo daję. Znów się roześmiał i poczuł, że w głowie mu się kręci. To zabawne. Rozśmieszyło go. Wyczołgawszy się kilka metrów z jeżyn na pole, już po jesiennej orce, dopiero pojął, że się z nich wydostał. A to dowcip! Zmrużył oczy i usiłował dojrzeć, gdzie to pole się kończy i nie mógł, usiłował wstać i też nie mógł, a w głowie miał taki wir, że znów się roześmiał. Nagle przestał. Chłopak na pewno tu jest i celuje w niego. Będzie się napawał, widząc mnie w takiej rozsypance, i dopiero strzeli. Ten sukinsyn. Żołądek mu podszedł do gardła.

I to również był dowcip. Bo co ma w żołądku, żeby podeszło i wyrzygać? Nic. Ano właśnie, nic. Więc przed nim na ziemi co to jest? Dżem truskawkowy. Niby że taki dowcip. I od tego znów go zemdlilo. Więc przeczołgał się po tym i w poprzek paru bruzd, i padł, i jeszcze przez kilka. Między dwiema bruzdami czarna kałuża. W nocy ciągle wykręcał twarz ku niebu, żeby napić się deszczu, ale i teraz dławił go własny język, a w opuchłej krtani miał sucho, więc napił się błotnistego płynu, sięgając w dół twarzą, chlipiąc i mało nie zemdlawszy z twarzą w tej wodzie. Czuł w ustach słodycz i piasek. Jeszcze trochę się podciągnął. Spróbuj, może jeszcze kawałek. Wydostanę się i zabiję tego bękarta... rozerwę go. Ja przecież... i tu myśl rozbiegła mu się.

Bo ja, ale nie pamiętał, a potem znów musiał zatrzymać się i odpocząć z brodą zarytą w mierzwie, na bruzdzie, a słońce grzało go w plecy. Nie wolno mu się zatrzymać. Zemdleć. Umrzeć. Ruszaj się.

Ale nie mógł się ruszyć.

Nie był w stanie unieść się na tyle, aby leżeć na dłoniach i kolanach. Próbował wczepiać palce w ziemię przed sobą i podciągać się na nich, ale też się nie udawało. Musi. Nie wolno zemdleć. Umrzeć. Zaparł się butami o bruzdę i pchał, jeszcze mocniej pchał, aż tym razem się troszkę posunął. Serce w nim urosło i tym zajadlej się odpychał butami od tej bruzdy, jeden cal za drugim, w błocie, byle do przodu, nie śmiał zatrzymać się, bo wiedział, że już nie zdobędzie się na tyle siły, aby znów ruszyć z miejsca. Butami zaprzec się o bruzdę.

Pchać. Czołgać się. Ten chłopak. Właśnie. Teraz sobie przypomniał. On musi załatwić tego chłopaka.

Nie dorównuję mu w walce. O tak, w walce ten chłopak jest lepszy.

Tak, ale ja... i myśl znowu mu się rozpierzchła, gdy popadł w mechaniczny rytm butów zapierających się o bruzdę – pchać, jeszcze raz, i pchać, jeszcze raz. Nie wiedział, kiedy jego ręce znów zaczęły funkcjonować, wczepiając się jakby szponami w ziemię, podciągając go. Zorganizować. Tego słowa mu brakowało. A potem sięgnął i o coś zaczepił.

Nie od razu to sobie uświadomił.

Drut.

Podniósł oczy i zobaczył więcej tych drutów. Ogrodzenie. A za nim, dobry Boże, coś tak pięknego, że nie zaraz uwierzył swym oczom. Rów. Droga o żwirowanej nawierzchni. Serce tłukło mu jak szalone i zaśmiewał się, wysadziwszy głowę za druty, przewijając się przez nie, za druty kolczaste, jeszcze trochę szarpiąc sobie plecy, ale nie dbał o to, że śmiechem staczając się w rów. Był pełen wody, przewalił się w nią na wznak, a potem wciągał się na pochyłość po stronie drogi, osuwał się z powrotem, wyłaził po omacku, obsuwał, aż się wygramolił i legł z jedną ręką na żwirze nawierzchni. W dotyku nie odróżniłby, że to żwir. Ale widział go jak najdokładniej. Wpatrywał się w niego zmrużony. Tyle że nie wyczuwał.

Zorganizować. O to chodzi. Wszystko sobie przypomniał.

Ja to zorganizuję. Chłopak jest lepszy ode mnie w walce. Ale ja potrafię to... zorganizować. Za Orvala.

Za Shingletona i Warda, i Mitcha, i Lestera, za tego młodego i za nich wszystkich.

Za mnie samego.

Zetrę to jebane ściervo na miazgę.

Leżał tak na poboczu drogi, powtarzając to sobie w kółko i w kółko, zamykając oczy w rażącym słońcu, chichocząc, że spodnie ma całe w strzępach, że cały taki pokrwawiony, i krew sączyła się przez pokrywające go błoto, a on się szczerzył radośnie, powtarzając tę myśl, przekazując ją policjantowi stanowemu, który powiedział: - O mój Boże! - i rezygnując z prób wciągnięcia go do swego wozu rzucił się do radiotelefonu.

CZEŚĆ TRZECIA

Zapadła noc i w ciężarówce było czuć olej i smar. Naciągnięta u góry sztywna plandeka tworzyła dach i Teasle siedział pod nią na ławce, przyglądając się wielkiej mapie zawieszonej we wnętrzu. Tylko jedna nie osłonięta żarówka, huśtająca się nad mapą, rzucała światło. Na stoliku przy mapie umieszczono masywne radio, nadające w obie strony.

Radiowiec miał na uszach słuchawki.

- Wóz Gwardii Narodowej nr 28 na stanowisku - mówił do jednego z zastępców. Ten kiwnął głową i wbił w mapę kolejną czerwoną pineskę obok innych, powtykanych już u południowej krawędzi. Na wschodzie żółte pineski oznaczały rozmieszczenie policji stanowej. Czarne pineski na zachodzie to siły policyjne z sąsiednich miast i hrabstw, a białe na północy oznaczały policję z Louisville, Frankfort, Lexington, Bowling Green i Covington.

- Chyba nie zostaniesz tu przez całą noc? - odezwał się ktoś na zewnątrz, z tyłu ciężarówki.

Teasle popatrzył i stwierdził, że to kapitan Kern z policji stanowej. Trzymał się w takiej odległości, że blask żarówki oświetlał mu tylko dół twarzy, oczy i czoło pozostawiając w cieniu.

- Wracaj do domu i prześpij się trochę, co? - powiedział Kern. - Doktor kazał ci odpocząć, a tu przez jakiś czas nie wydarzy się jeszcze nic ważnego.

- Nie mogę.

- Co?

- Reporterzy polują na mnie w domu i na posterunku. Najlepszy sposób, jaki znam, żeby odpocząć, to nie obgadywać z nimi jeszcze raz tego wszystkiego.

- I tak wkrótce przyjdą cię szukać tutaj.

- Nie. Uprzedziłem waszych ludzi na blokadzie, żeby ich nie wpuszczali.

Kern wzruszył ramionami i postąpił ku ciężarówce, znalazł się w pełnym świetle. Ostry blask podkreślił mu bruzdy na czole i zmarszczki przy oczach, postarzając go. Lecz nie odbił mu się od rudych włosów, przez co wydawały się tym bardziej matowe i bez połysku.

Jest w moim wieku, pomyślał Teasle. Jeśli on tak wygląda, to jak muszę ja wyglądać po tych ostatnich kilku dniach?

- Ten doktor chyba nieźle się dorobił na opatrywaniu ci twarzy i rąk - zauważył Kern. - Co to za ciemna plama na koszuli? Tylko nie mów mi, że znowu krwawisz.

- Za grubo nałożył jakiejś maści. Pod ubraniem też mam opatrunki. Nogi i kolana mi obandażował tak ciasno, że ledwie chodzę. - Uśmiechnął się z wysiłkiem, jak gdyby te bandaże, to był taki dowcip ze strony doktora. Nie chciał, żeby Kern sobie uświadomił, jak bardzo źle się czuje, że go mdli i w głowie mu się kręci.

- Boli cię coś? - zapytał Kern.

- Mniej bolało przedtem, zanim obandażował mnie tak ciasno. Dał mi jakieś pigułki do zażywania co godzinę.

- Pomaga?

- Od biedy ujdzie. - To zabrzmiało w sam raz. Musiał uważać, co mówi do Kerna, bagatelizując swój ból, ale nie na tyle, żeby Kern przestał mu wierzyć i wyprawił go z powrotem do szpitala. Już przedtem, w szpitalu, Kern nie ukrywał, jak bardzo jest na niego wściekły, że tak pognał za chłopakiem w ten las, nie czekając na policję stanową. - To leży w mojej jurysdykcji, a ty wykorzystałeś sytuację i teraz już, do ciężkiego diabła, nie mieszaj się! - powiedział Kern. Teasle wszystko to przełknął, dając się Kernowi wyzłościć, a potem uczynił z wolna, co tylko mógł, aby go przekonać, że jedna osoba nie wystarczy, aby zorganizować przetrząsanie terenu na taką skalę. Był jeszcze jeden argument, którym się nie posłużył, ale i Kern niewątpliwie o tym pomyślał: tym razem zginąć może tyle samo ludzi, co na początku, i nie zawadzi, żeby ktoś podzielił z nim odpowiedzialność. Kern to właśnie ten rodzaj słabego przywódcy. Teasle aż za często bywał świadkiem, jak się zdaje na innych. Więc na razie Teasle mu pomaga, ale czy długo? Niekoniecznie. Mimo swoich wad Kern troszczył się o ludzi i dbał o to, ile mogą wytrzymać, więc jeśli mu się wyda, że Teasle zanadto cierpi, łatwo może go stąd wyprawić. Opodał łomotały w mroku przejeżdżające ciężarówki, potężne i wypełnione, jak wiedział, wojskiem. Zbliżyła się wyjąca przeraźliwie syrena i przeleciała w kierunku miasta. Teasle chwycił się sposobności, aby porozmawiać o czymś innym niż jego samopoczucie.

- Co tu robi ambulans?

- Znowu jakiś cywil wyszedł na strzał.

Teasle potrząsnął głową. - Ci to umierają z ochoty, żeby przyłożyć rękę.

- Umierają to właściwe słowo.

- Co się stało?

- Głupota. Jedna taka gromadka biwakowała w lesie, żeby się do nas przyłączyć skoro świt, jak tylko ruszymy. Usłyszeli w ciemnościach jakiś hałas i ubrdali sobie, że to chłopak próbuje się przemknąć w dół i przez drogę, więc złapali za strzelby i poszli sprawdzić. Zaraz się pogubili w mroku. Jeden facet usłyszał drugiego i myślał, że to chłopak. Więc ten zaczął strzelać, tamten ostrzeliwać się, wszyscy inni tak samo. Cud boski, że nie było zabitych i tylko jeden ciężko ranny. W życiu nie widziałem czegoś takiego.

- A ja widziałem. - Już przedtem, kiedy się przyglądał mapie, poczuł, jakby głowę miał wypchaną atlasem, i teraz nagle to samo. Uszy miał też jakby zapchane i słowa: - A ja widziałem - dobiegły go jak echo z zewnątrz. Z uczuciem zachwiania równowagi i lekkich mdłości, miał chęć przerwać i wyciągnąć się na ławce, ale nie mógł dopuścić, aby Kern się zorientował, co mu jest. - Kiedy pracowałem w Louisville - zaczął i prawie nie był w stanie powiedzieć nic więcej. - Jakies osiem lat temu. W miasteczku niedaleko nas porwano sześćoletnią dziewczynkę. Miejskowa policja uważała, że ktoś mógł ją napaść i gdzieś porzucić, więc urządzili poszukiwania i niektórzy z nas, mając wolny koniec tygodnia, pojechali, żeby ich wesprzeć. Niestety kierujący tą akcją dali znać przez radio i w gazetach, że proszą o pomoc i zwałił im się tłum, kto tylko miał chęć na awanturę i darmowy posiłek.

Postanowił się nie kłaść. Ale światło mu szarzało w oczach, ławka, na której siedział, zaczęła się jakby przechylać. Wreszcie musiał pójść na kompromis i oparł się do tyłu, w nadziei, że wygląda to, jakby się czuł swobodnie.

- Cztery tysiące ludzi - powiedział, siląc się na zwykłe brzmienie głosu. - Nie mieli gdzie spać, jeść i nie sposób ich było tylu zorganizować. Miasto z dnia na dzień urosło i pękało w szwach. Większość spędzała połowę czasu na upijaniu się i zgłaszali się potem, na kacu, do autokarów przewożących w rejon poszukiwań. Jeden facet omal się nie utopił w bagnie. Jedna z grup zablądziła i gdzieś zaginęła, i musieliśmy wstrzymać poszukiwania, żeby inni ją mogli odnaleźć. Pokąsania przez jadowite węże. Złamania nóg. Przypadki udaru słonecznego. W końcu wszystko się tak poplątało, że, musieliśmy przepędzić tych cywilów i dalej szukała już tylko policja.

Zapalił papierosa i głęboko się nim zaciągnął, aby oszukać zawrót głowy. Kiedy spojrzął, radiowiec i zastępca też byli ku niemu zwrócenii, przysłuchiwali się. Ile czasu przegadał? Wydawało mu się, że dziesięć minut, ale to niemożliwe. Umysł jego ślizgał się faliście, płynnie, w górę i w dół.

- Teraz już nie przerywaj - zaprotestował Kern. - A co z dziewczynką? Czy znaleźliście ją?

Teasle przytaknął z wolna ruchem głowy.

- Po sześciu miesiącach. W płytkim grobie przy bocznej drodze, jakąś milę od miejsca, gdzie za pierwszym razem przestano szukać. W barze w Louisville jakiś starszy facet, popijając, zażartował sobie raz i drugi na temat, jak to maca się małe dziewczynki. Wątpiła szansa, żeby to miało związek, ale na wszelki wypadek sprawdziliśmy. Ponieważ ja brałem udział w poszukiwaniach i znałem sprawę, powierzono mi przesłuchanie go i jak się do niego zabrałem, to po czterdziestu minutach sam wszystko wyśpiewał. Jak przejeżdżał koło tej farmy i zobaczył tę małą, pluskającą się w plastikowym basenie przed domem. Co go wzięło - wyjaśnił - to jej żółty kostium kąpielowy. Zgarnął ją zwyczajnie spod domu, do samochodu i nikt się nie spostrzegł. Zaprowadził nas do pierwszego jej grobu. A to był drugi. Pierwszy grób znajdował się w samym środku rejonu poszukiwań i w czasie, kiedy cywile roili się tam i wszystko bałaganili, on wrócił któreś nocy i przeniósł ją. - Zaciągnął się jeszcze raz głęboko papierosem, trzymając go w zabandażowanych grubo i niewrażliwych palcach, czując, jak dym wypełnia mu krtań. - Ci cywile i tu wszystko zabałaganiał. Niedobrze się stało, że wiadomość o tym wyszła na zewnątrz.

- To przeze mnie. Bywa u nas w biurze jeden taki reporter i usłyszał, jak moi ludzie o tym rozmawiają, zanim ich zdążyłem uciszyć. Właśnie postawiłem kilku, żeby odprawiali do miasta wszystkich postronnych.

- Pewnie. A ta banda w lesie znów może się przestraszyć i zacząć strzelać do twoich. I tak wszystkich nie zgarniesz. Jutro rano całe te wzgórza będą się roić od cywilów. Widziałeś, jak opanowali miasto. Jest ich po prostu za dużo, aby dali się jeszcze kontrolować. Najgorsze dopiero przed nami. Poczekaj, aż zjawią się zawodowcy.

- Jacy zawodowcy? O czym ty mówisz, u diabła? Co za jedni?

- Właściwie to amatorzy, ale nazywają się zawodowcami. Faceci nie mający nic lepszego do roboty, niż uganiać się po całym kraju, gdziekolwiek trafi się jakaś sensacja, poszukiwania, śledztwo. Spotkałem ich kilku, jak szukaliśmy tej dziewczynki. Jeden dopiero co wrócił z bagien Everglades, gdzie odbywało się tropienie zaginionych obozowiczów. Przedtem był w Kalifornii i pomagał szukać rodziny, która wpakowała się w pożar

zarośli. W zimie udał się do Wyoming po narciarzy, których zasypała lawina. W międzyczasie robił wypadki z okazji wylewów Missisipi albo zasypanych górników. Nieszczęście polega na tym, że tacy jak on nigdy nie współpracują z dowództwem akcji. Oni chcą mieć władzę organizowania swoich grup i działania na własną rękę, i ani się obejrzą, jak rozłożą ci plan poszukiwań. Mieszają się w akcje zatwierdzonych oficjalnie grup, pchają się pierwsi w miejsca, gdzie spodziewają się czegoś ekscytującego, na przykład stare farmy, całe połacie zostawiając nie sprawdzone...

Nagle serce w nim zatrzępotowało, zgubiło jeden puls, przyspieszyło. Chwyił się za nie, ustami łapiąc powietrze.

- Co się stało? - zapytał Kern. - Jesteś...

- Dobrze. Już dobrze. Muszę zażyć następną pigułkę. Doktor mnie uprzedził, że to może się zdarzyć. - Skłamał. Doktor wcale o czymś takim go nie uprzedził, a już drugi raz mu serce zrobiło ten kawał. Ponieważ za pierwszym razem pigułka przywróciła je do normalnego stanu, więc teraz czym prędzej połknął drugą. Nie może dopuścić, w żadnym wypadku, aby Kern się dowiedział, że coś jest nie w porządku z jego sercem.

Kern nie sprawiał wrażenia, jakby ta odpowiedź go zadowoliła. Ale radiowiec właśnie poprawił sobie słuchawki, jakby słuchał komunikatu, i odezwał się do zastępcy:

- Wóz Gwardii Narodowej nr 32 na stanowisku. - Przejechał w dół palcem po liście na jednej z kartek: - To jest na początku Branch Road. - Zastępca wetknął w mapę kolejną czerwoną pineskę.

Teasle miał w ustach kredowy smak pigułki. Odetchnął i ucisk w okolicach serca zaczął ustępować.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, po co ten stary przeniósł ciało dziewczynki do innego grobu - rzekł do Kerna, coraz to lżej czując się na sercu. - Pamiętam, jakżeśmy ją wykopali i jak wyglądała po sześciu miesiącach leżenia w ziemi, i po tym, co on jej zrobił. Pamiętam, jak myślałem: o Boże! to musiało być samotne umieranie.

- Co ci teraz było?

- Nic takiego. Zmęczenie, powiedział doktor.

- Miałeś twarz dokładnie tak szarą jak twoja koszula.

Przejechały obok dalsze ciężarówki. W tym hałasie Teasle nie musiał odpowiadać. Potem wóz patrolowy zatrzymał się za Kernem, oświetlwszy go reflektorami, i Teasle już wiedział, że może w ogóle nie odpowiadać.

- Chyba już muszę jechać - rzekł niechętnie Kern. - Muszę rozdać te krótkofalówki. - Postąpił w stronę wozu, zawahał się i odwrócił. - Połóż się przynajmniej na tej ławce i zdrzemnij, póki nie wrócę. Od patrzenia w mapę nie dowiesz się, gdzie jest chłopak, a musisz być wypoczęty, kiedy z rana wyruszymy.

- Jak się zmęczę. Chcę podwójnie upewnić się, że wszyscy są na swoim miejscu. Nie jestem w takiej formie, żeby z wami pójść w góry, więc przynajmniej tu mogę się przydać.

- Słuchaj. To, co powiedziałem ci w szpitalu, że kiepsko się do niego zabrałeś.

- Stało się. Mniejsza o to.

- Ale posłuchaj. Wiem, co usiłujesz zrobić: Myślisz o tym, jak wystrzelał ci wszystkich ludzi, i dajesz w kość swemu ciału, chcąc się ukarać. Może to i prawda, co powiedziałem, że Orval pewnie by jeszcze żył, gdybyś od początku chciał ze mną współpracować. Ale to chłopak pociągnął za spust, tak do niego, jak i do innych. Nie ty. Pamiętaj o tym.

Teasle nie potrzebował tego przypomnienia. Radiowiec mówił: Policja stanowa. Oddział 19 na stanowisku - a Teasle zaciągał się i patrzył w napięciu, jak zastępca wbija kolejną żółtą pineskę we wschodnią stronę mapy.

Na mapie w jej części wewnętrznej nie było prawie żadnych szczegółów.

- Nikt i nigdy jeszcze nie potrzebował dokładnego rozrysowania tych wzgórz - wyjaśnił naczelnny mierniczy hrabstwa, gdy ją dostarczył. - Może jak pewnego dnia tamtędy przejdzie droga, to będziemy je musieli nanieść na mapę. Ale wymierzanie terenu kosztuje mnóstwo pieniędzy, zwłaszcza w tak ciężkich warunkach, więc nikomu się to nie wydało praktyczne: zużywać nasz budżet na coś, czego nikt chyba nie będzie nigdy potrzebował.

Ale przynajmniej mapa otaczających dróg była dokładna. Na północy tworzyły one górną część kwadratu; lecz na południu droga wyginała się jak dolna część koła, powiązana z drogami biegnącymi prosto wzwyż po obu stronach. Wóz łączności, w którym zakwaterował się Teasle, zaparkowano w najniższej części łuku, jaki tworzyła droga południowa. Tu znalazł go policjant ze stanowego patrolu, a ponieważ chłopak ostatnio był gdzieś w tych okolicach, stąd miano prowadzić poszukiwania.

Radiowiec spojrział na szeryfa.

- Zbliża się jakiś helikopter. Coś mówią, ale niewyraźnie.

- Dwa nasze właśnie odleciały. Żaden nie powinien wracać tak szybko.

- Może defekt silnika.

- Albo to nie nasz. Może znów jacyś dziennikarze lecą fotografować. W takim razie nie życzę sobie, żeby tu lądowali.

Radiowiec wywołał ich, żądając identyfikacji. Bez odpowiedzi. Po czym Teasle usłyszał narastający ryk śmigłowca i podniósł się sztywno z ławki, z trudem przeszedł na tył ciężarówki, stojący otworem. Tuż obok zaczynało się zorane pole, przez które się czołgał dzisiaj rano. Było ciemno, a potem ujrzał bruzdy wycięte w ostrym, białym świetle, gdy reflektor na spodzie śmigłowca zniżył się i przesunął nad polem. Takie światło, przy jakim poprzednio ekipa fotograficzna robiła zdjęcia.

- Wiszą tu - powiedział do radiowca. - Wywołaj ich. Żeby mi nie wylądowali.

Ale helikopter już osiadł, silnik ucichł, śmigła chłostały powietrze rytmicznym świstem, coraz rzadziej się powtarzającym. Przy świetle z kabiny Teasle ujrzał mężczyznę, który z niej wysiadł, a gdy ruszył przez pole w stronę ciężarówki, z jego postawy elastycznej, pewnej i wyprostowanej Teasle poznał, nie widząc jeszcze stroju, że to ani reporter, ani ktoś z policji stanowej z defektem silnika.

Tylko człowiek, po którego posłał.

Powoli i z bólem wygramoliwszy się z ciężarówki pokuszył na skraj gościńca. Mężczyzna doszedł właśnie do otaczającego pole ogrodzenia z drutu kolczastego.

- Przepraszam, ale szukam tu kogoś - powiedział. - Sprawdzałem na kolejnych posterunkach i mówią, że gdzieś tutaj go znajdzie. Wilfred Teasle.

- Ja jestem Teasle.

- Aha. Nazywam się Sam Trautman - przedstawił się. - W sprawie mojego chłopca.

Przejechały jeszcze trzy ciężarówki. Żołnierze z Gwardii Narodowej stali w nich, trzymając karabiny, twarze ich blade majaczyły w mroku spod hełmów i kiedy omiotły ich reflektory, Teasle dojrzał mundur Sama Trautmana, jego kapitańskie dystynkcje i zielony beret, starannie wetknięty za pas.

- Twojego chłopca?

- No, może niezupełnie. Ja sam go nie szkoliłem. Tylko moi ludzie. Ale ja szkoliłem tych, co jego szkolili, więc w pewnym sensie to mój chłopak. Czy zrobił coś jeszcze? Ostatnim razem, jak mi mówiono, zabił trzynastu. - Powiedział to wprost, wyraźnie, bez nacisku, lecz Teasle i tak w jego głosie rozpoznał wszystko to, co stłumione: zbyt często już tego słuchał, za wielu tych ojców, nocą na posterunku, zaszokowanych, zawiedzionych i zakłopotanych tym, czego narobiły ich dzieci.

Ale to nie to samo, nie tak proste. W głosie Trautmana kryło się jeszcze coś innego, tak niezwykłego w podobnych okolicznościach, że Teasle nie od razu to rozpoznał, a gdy już rozpoznał, oszołomiło go.

- Tak to mówisz, jakbyś prawie był z niego dumny - rzekł Teasle.

- Czyżby? A to przepraszam. Nie chciałem. Po prostu był najlepszy ze wszystkich, których nam się udało wyszkolić, więc jasne, że byłoby coś nie w porządku z jego szkołą, gdyby nie umiał walczyć.

Wskazał na drut kolczasty i wspinał się na ogrodzenie, tak samo gładkim i oszczędnym ruchem, jak wysiadł z helikoptera i szedł przez pole. Schodząc w rów już po tej stronie płotu znalazł się dość blisko, aby szeryf mógł dostrzec, jak mundur leży na nim idealnie, bez jednej fałdy czy zmarszczki. Barwa jego skóry wydawała się po ciemku ołowiana. Czarne włosy, krótkie, zaczesane prosto do tyłu, wąska twarz i ostry podbródek. Nieco sterczący, a to przypominało szeryfowi, jak Orval czasami określał ludzi w kategoriach zwierzęcych. Trautman? Nie porównałby go do pstrąga, po nazwisku, brzmiącym jak trout. Raczej do zajadłego psiaka. Może fretka. Albo łasica. Jakiś rodzaj śmigłego drapieznika. Wspomniał też zawodowych oficerów, jakich spotykał w Korei, profesjonalnych zabójców, ludzi całkowicie obytych ze śmiercią, którym zawsze odruchowo by ustąpił z drogi. W końcu nie wiem, pomyślał, czy chce go tu widzieć.

Może to błąd, że go tu zaprosił.

Lecz Orval go nauczył oceniać ludzi również i po uścisku dłoni, a kiedy Trautman dał trzy kroki z rowu, podał mu dłoń wcale nie tak, jak się Teasle spodziewał. Nie szorstko i agresywnie. Uścisk jego dłoni był dziwnie łagodny i równocześnie mocny. Dobrze się w nim poczuł.

Może Trautman okaże się bez zarzutu.

- Przyjechałeś wcześniej, niż się spodziewałem - rzekł Teasle. - Dziękuję. Potrzebna jest nam każda pomoc, na jaką możemy liczyć.

A ponieważ dopiero co wspomniał Orwala, uderzyło go raptem, że powtarza to samo, co dwie noce temu, kiedy dziękował Orwalowi za przybycie, prawie w tych samych słowach, jakimi teraz dziękuje Trautmanowi.

Tylko że Orval nie żyje.

- Istotnie jest wam potrzebna każda pomoc - odpowiedział Trautman. - Szczerze mówiąc, miałem zamiar tu przybyć, jeszcze zanim się odezwaliście. On wprawdzie już nie jest w wojsku i sprawa jest wyłącznie cywilna, mimo wszystko ja czuję się za to po części odpowiedzialny. Ale jedno z góry oświadczam: nie przyłożę ręki do rozmyślnego zabójstwa. Pomagać wam będę tylko w wypadku, jeśli przekonam się, że to jest uczciwie załatwiane: żeby go schwytać, a nie zabić bez dania mu szansy. I tak może zginąć, ale ja nie chciałbym pomyśleć, że o to szło. Czy zgadzamy się co do tego?

- Zgadzamy się. - Teasle nie skłamał. Za nic sobie nie życzył, aby chłopaka rozniesiono kulami w strzepy, kiedy on tego nie widzi, tam w górach. Pragnął, aby go sprowadzono i żeby on, Teasle, mógł się cały czas przyglądać, co będą mu robić.

- To w porządku - rzekł Trautman. - Chociaż nie jestem pewien, czy dużo wam przyjdzie z mojej pomocy. Sądzę, że nikt z waszych ludzi nie potrafi nawet zbliżyć się na tyle, żeby go mógł zobaczyć, a co dopiero schwytać. Rambo jest o wiele sprytniejszy i twardszy, niż sobie możecie wyobrazić. Jak to się stało, że i ciebie nie zabił? Nie rozumiem, w jaki sposób udało ci się przed nim uciec.

Znów ten z lekka pomieszany odcień zarazem dumy i rozczarowania.

- Tak mówisz, jakbyś żałował, że uciekłem.

- Owszem, w pewnym sensie tak jest, ale nie bierz tego do siebie. Bo właściwie nie powinien się na tym potknąć. Przy jego wyszkoleniu i umiejętnościach. Przypuśćmy, że byłeś wrogiem i on dał ci się wymknąć: mogłoby to mieć bardzo poważne konsekwencje. I dlatego chciałbym wiedzieć, jak to się mogło stać? A nuż wyniknie stąd jakaś nauka, przydatna dla moich ludzi. Powiedz mi, co dotąd zaplanowałeś? Jak udało ci się tak szybko zmobilizować Gwardię Narodową?

- Bo na koniec tygodnia mieli przewidziane gry wojenne. Dlatego wyposażenie było gotowe i wystarczyło ściągnąć ludzi o kilka dni wcześniej.

- Ale to cywilny punkt dowodzenia. A gdzie jest główna kwatera wojska?

- Tam dalej po drodze, w innej ciężarówce. Ale ich oficerowie zgodzili się, że my tu rozkazujemy. Chcą sprawdzić, jak ich ludzie sobie poradzą sami, więc ograniczają się do obserwacji, całkiem jak w terenowych grach wojennych.

- Grach - powtórzył Trautman. - Boże, wszyscy kochają się w grach. A skąd pewność, że on jeszcze tu jest?

- Bo wszystkie drogi wokół tych gór były strzeżone od chwili, kiedy się w nie zapuścił. Nie mógłby się wydostać nie zauważony. A gdyby... ja bym to poczuł.

- Co takiego?

- Nie umiem tego wyjaśnić. Jakby pojawił mi się dodatkowy zmysł od czasu, jak mi to zrobił. Nieważne. W każdym razie na pewno tam jest. A ja od rana będę go tak obstawiał ludźmi, aż wypadnie po jednym na każde drzewo.

- Co jest, oczywiście, niemożliwe. Tak, że nadal będzie miał przewagę. Walka partyzancka to jego specjalność i umie przeżyć na tym, co znajdzie, więc nie ma takich problemów jak ty, żeby ludzi nakarmić i zaopatrzyć. Nauczył się cierpliwości, więc może się ukryć i przeczekać, w razie potrzeby, choćby i cały rok. Jest sam, więc niełatwo go wykryć. Działa na własną rękę i nie musi słuchać żadnych rozkazów, niczego uzgadniać z innymi jednostkami, więc może się szybko poruszać, strzelać i znikać, i kryć się gdzie indziej, i tak w kółko. Moi ludzie go tak nauczyli.

- W porządku - rzekł Teasle. - A teraz ty mnie naucz.

Rambo zbudził się w ciemnościach na zimnej, płaskiej skale. Ból w piersiach go zbudził. Opuchlizna stała się tak dotkliwa, że musiał poluzować obciskający ją pasek i przy każdym oddechu w żebrach kłuło go, aż się krzywił.

Nie wiedział, gdzie jest. Domyślał się, że to noc, ale nie rozumiał, dlaczego aż tak ciemno, dlaczego nie ma w tej czerni ani odrobiny szarości, ani prześwitujących gwiazd, ani cienia odbłasku chmur. Zamrugał i w ciemności nic się nie zmieniło, aż w obawie, czy nie stało mu się coś w oczy, przesunął czym prędzej dłońmi po skale, na której leżał, macając w pośpiechu, dotknął wilgotnej ściany skalnej. Jaskinia, pomyślał w zaskoczeniu. Jestem w jaskini. Ale skąd? I nadal półprzetymny, ruszył chwiejnym krokiem, aby się z niej wydostać.

Musiał przystanąć i wrócić tam, gdzie się obudził, bo nie miał w rękę strzelby, i dopiero się trochę otrząsnął z oszołomienia i stwierdził, że ma ją przy sobie, wetkniętą między pas i spodnie, więc znów ruszył do wyjścia. Ale dno jaskini opuszczało się z wolna, toteż wiedząc, że jej wylot powinien się znajdować raczej gdzieś pod górę

niż w dół, znowu musiał zawrócić. Lekki powiew, ciągnący z zewnątrz, też powinien mu wskazać kierunek, ale nie pomyślał o tym, aż potykając się okrążył zakręt i dotarł do wyjścia.

Na zewnątrz była krystaliczna noc, rozjarzone gwiazdy, kwadra księżycy, w dole wyraźne sylwetki drzew i skał. Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny i jak trafił do tej jaskini. Ostatnia rzecz, jaką pamiętał, to że brnął pod górę o wschodzie słońca, od miejsca, gdzie upadł przy jeżynowych zaroślach; że nie posuwał przez las i legł nad potokiem, aby się napić. Pamiętał, że się przeturlał umyślnie w potok i chłodna woda opływała go i rzeźwiła, a teraz jest noc i on wygląda z jaskini. Gdzieś zapodział mu się cały dzień i kawał przebitego terenu. A raczej przypuszcza, że jeden dzień. Pomyślał nagle: czy aby nie więcej?

Daleko w dole widział światełka, chyba setki jasnych punkcików, które pojawiały się i znikwały, przeważnie żółte i czerwone, ruch na drodze, pomyślał, może tamtędy idzie szosa. Tylko że jest ich za dużo. I jeszcze coś: chyba wcale się nie przemieszczają. Pozwalniały i wreszcie stanęły w miejscu, rozciągnięte na linii biegnącej z lewa na prawo, może ze trzy kilometry od niego. Co do odległości mógł się pomylić, ale już był pewien, że te światła wiążą się ze ściganiem go. Co za ruch! pomyślał. Widać, że szeryfowi tak zależy na złapaniu mnie, jak jeszcze na niczym w życiu.

Noc była bardzo zimna i nie słyszał ani owadów, ani zwierząt poruszających się w zaroślach, tylko słaby powiew szeleścił opadłymi liśćmi i potrącał o siebie nagie gałązki. Zadygotał i otulił się szczelniej zwierzchnią, wełnianą koszulą, kiedy usłyszał gdzieś po lewej pyrkot helikoptera, wzmagający się aż do ryku i znów cichnący, gdy przeleciał daleko za nim. Potem drugi, a na prawo trzeci i też z prawej dobiegło wątłe echo naszczekujących psów. Po czym wiatr się zmienił i powiał od rozciągniętych w dole świateł, przynosząc również ujadanie psów i odległy, zbiorowy pomruk wielu potężnych ciężarówek. Skoro nie pogaszono świateł, pomyślał, to znaczy, że ich silniki chodzą na zredukowanych obrotach. Usiłował policzyć te światła, choć dalsze już zlewały się w oczach, i pomnożyć ich ogromną liczbę przez ludzi mieszczących się w każdej z ciężarówek, dwudziestu pięciu, może trzydziestu. Nie ma co, ten Teasle go naprawdę chce złapać! I tym razem już nie będzie ryzykował niepowodzenia, ściągnie każdego człowieka i całe wyposażenie, na jakie go stać.

Ale Rambo nie miał już ochoty z nim walczyć. Chory i obolały, czuł, że gdzieś od chwili, kiedy zgubił szeryfa w jeżynach, do przebudzenia się w jaskini wściekłość jego się ulotniła. Zaczęła mijać już wówczas, gdy pościg za szeryfem się przeciągnął, a on, wyczerpany, rozpaczliwie pragnął go dopaść, już nie dla satysfakcji, aby dać mu nauczkę, tylko żeby to wreszcie załatwić, skończyć z tym i być wolny. Tyle ich pozabijał, tyle na to poświęcił czasu i wysiłku, potrzebnych mu do ucieczki, i nawet nie wygrał! Żeby je, pomyślał, tak głupio i bezużytecznie zmarnować! Czuł pustkę i niesmak.

Po co to wszystko? Trzeba było skorzystać z okazji, gdy się rozpetęła burza, i uciec.

Ale teraz już pryska stąd. Walka z Teaslem odbyła się, całkiem uczciwie, i Teasle uszedł z życiem.

Sprawa jest zakończona.

Co za głównym teraz się zasłaniasz? powiedział sobie. Kogo chcesz nabrać? Taki wygłodzony byłeś, tak okropnie chciało ci się znaleźć z powrotem w akcji, taki byłeś pewien, że go pokonasz i przegrałeś, a teraz pora płacić. Tak od razu nie zaczniesz cię szukać, nie po ciemku, ale o wschodzie słońca ruszy na ciebie z całą armią, przeciw której nie masz w ogóle szans. I uciekasz nie dlatego, że Teasle uczciwie wygrał i po sprawie. Po prostu chcesz się ulotnić, póki jeszcze się da. Choćby szedł na ich czele, jak byk widoczny, wystawiając się na strzał, ty lepiej stąd pryskaj, póki żyjesz.

Po czym uświadomił sobie, że to nie będzie łatwe. Bo kiedy tak stał, dygocząc i ocierając sobie pot z czoła, z brwi, raptem żar mu przebiegł po kręgosłupie od krzyża do podstawy czaszki, a potem gwałtowny dreszcz. I znów to samo. Zrozumiał, że nie z chłodu i nie od powiewu się trzęsie. To gorączka. I to bardzo wysoka, skoro aż tak się poci. Gdyby miał teraz wyruszyć na przykład, aby spróbować, czy zdoła się przemknąć przez tę zaporę świateł na dole, skończyłoby się na zemdleńcu. Nawet ustać było mu trudno. Ciepło! Tego mu potrzeba. I kryjówki, żeby mógł się wypocić i trochę podgoić żebra. I coś zjeść, bo nie jadł od czasu, gdy znalazł podsuszoną kiełbasę przy zwłokach starego, zmytych z urwiska.

Trzęsło go i chwiało się tak bardzo, że musiał oprzeć się dłonią przy wejściu do grotu. Więc nie da rady, ta jaskinia mu posłuży za schron, nie ma sił na poszukanie czegoś lepszego. Słabość ogarniała go tak szybko, że nie był pewien, czy zdobędzie się na urządzenie tej pieczary. No dobra, nie stój tak powtarzając sobie, jak słabo się czujesz. Rób to i koniec.

Zszedł, uważnie stąpając, po łupkowej, wąskiej łysinie do widzianych w zarysie drzew. Pierwsze z nich miały sterczące gałęzie, już bezlistne i do niczego nieprzydatne, więc pobrnął w opadłych liściach, szurając, aż wyczuł pod stopą igły jodłowe, miękkie i sprężyste. I na tych drzewach po omacku wyszukiwał bujne gałęzie, łatwe do

ułamania, pilnując się, aby nie brać więcej niż po jednej z każdego drzewa: inaczej od razu można by spostrzec, że stąd je wylamywał.

Gdy uzbierał ich pięć, podnoszenie rąk przy oblamywaniu gałęzi okazało się już za trudne dla jego żeber. Przydałoby się ich więcej, ale te pięć musi wystarczyć. Z bólem podźwignął je na ramię, na to dalsze od uszkodzonych żeber, i powlókł się z powrotem do jaskini, zataczając się pod ciężarem gałęzi jeszcze bardziej niż dotąd. Najgorsza była wspinaczka po łupkowym zboczu. Zamiast iść prosto, ciągle zarzucało go w jedną stronę. Raz nie utrzymał się i pojechał, krzywiąc się, twarzą w dół.

A kiedy już dotarł na górę i złożył gałęzie u wejścia do jaskini, musiał znowu zejść, tym razem po to, aby nazbierać opadłego listowia i patyków rozrzuconych po ziemi. Napchał, ile się dało, za wełnianą koszulę i zebrał całe naręczce dużych martwych gałęzi, aby je zanieść do jaskini. Tam jeszcze dwa razy obrócił, wnosząc do środka najpierw te suche gałęzie, które już miał w rękach, a potem świeżo ułamane jodłowe. Teraz już sprawniej myślał, robiąc to, co powinien był zrobić, kiedy pierwszy raz chodził po jaskini. Zapusiwszy się w głąb, dalej niż do miejsca, gdzie się obudził, zbadał stopami grunt, czy nie ma gdzieś nagłych uskoków. Im dalej się zapuszczał, tym niższy był strop, aż gdy musiał przykucnąć, objawwszy się za żebra, uznał, że to wystarczy. Ból stał się nie do zniesienia.

Ta część jaskini była już gliniasta i wilgotna, usypał więc kopczyk z liści, ułożył na nim kawałki patyków i wziął się do rozpalania ognia zapalkami, które dał mu parę nocy temu stary bimbrownik. Zamokły wprawdzie na deszczu i w potoku, ale upłynęło dość czasu, aby podeschły; dwie pierwsze nie chciały się zapalić; trzecia strzeliła i zgasła, czwarta jednak zapaliła się jak należy i liście zajęły się od niej. Płomień urósł, a Rambo cierpliwie dorzucał liści, patyków, pielęgnując każdy jęczyzek ognia, aż całość rozgorzała wystarczająco, żeby mógł już podokładać większych patyków i wreszcie grubych gałęzi.

Drewno było tak uschłe, że prawie nie dymiło, a tę odrobinę dymu porywał podmuch od wejścia i zabierał gdzieś w głąb. Zapatrzył się w ogień, wyciągając do niego ręce, aby je ogrzać, trzęsąc się, i zaraz oglądać zaczął cienie na ścianach jaskini. Zobaczył teraz, że się mylił. To nie jaskinia. Była to przed laty czyjaś kopalnia. Świadczy o tym symetria ścian i stropu, równość podłoża. Nie pozostawiono żadnych narzędzi, zardzewiałych tacek, połamanych kilofów czy dziurawych kubłów. Ktokolwiek porzucił to miejsce, szanował je i zostawił po sobie porządek. Tylko powinien był jeszcze zatarasować wejście. To zaskakujące niedbalstwo. Stemple i belki stropu zestarzały się przez ten czas i pouginały, gdyby dzieci tu zaczęły buszować, mogą potrafić jakąś belkę lub narobić za wiele hałasu i obruszyć na siebie kawał stropu. Ale skąd by się tutaj wzięły dzieci? Nikt nie mieszka na wiele mil wokół. Jednak on się tu dostał. Inni też mogą. No pewnie! I jutro znajdą to miejsce, więc musi liczyć się z czasem i w porę się stąd wynieść. Księżyc na zewnątrz pokazuje godzinę, jak osądził, około jedenastej. Ma więc kilka godzin na odpoczynek. Więcej mu nie trzeba, powiedział sobie.

Oczywiście. A potem już może ruszać.

Płomień był ciepły i kojący. Przywlókł do niego jodłowe gałęzie i spiętrzył je na kształt materaca, wyciągnął się na nich, uszkodzonym bokiem do ognia. Tu i ówdzie igły sterczały i kłuły go przez ubranie, ale trudno: gałęzie są konieczne, żeby odgrodzić się od wilgotnego podłoża. Był tak wyczerpany, że gałęzie pod nim stały się miękkie i wygodne, zamknąwszy oczy słuchał cichego trzasku palącego się drewna. Gdzieś w głębi rozlegało się echo kąpiącej wody.

W pierwszej chwili, gdy ujrzał ściany kopalni, spodziewał się niemal zobaczyć rysunki, malowidła, zwierzęta z rogami, tropiących je ludzi z włóczniami w ręku. Widział coś takiego na zdjęciach, ale gdzie? Nie pamiętał. Może w szkole średniej. Zawsze go fascynowały obrazy przedstawiające polowanie. Jako młody chłopiec, w rodzinnym Colorado, często zapuszczał się samotnie w góry i raz wchodząc ostrożnie do jaskini, gdy obszedł zakręt i błysnął latarką, zobaczył rysunek bawołu, tylko jeden, żółty, dokładnie pośrodku ściany. Wyglądał tak prawdziwie, jakby miał się zerwać na jego widok i uciec; przyglądał mu się całe popołudnie, aż światło latarki przygasło. Odtąd chodził do tej groty co najmniej raz na tydzień, siadał i przyglądał się. Był to jego sekret. Którejś nocy ojciec bił go raz za razem po twarzy, bo nie chciał powiedzieć, gdzie był. Przypomniawszy to sobie, Rambo kiwnął głową, że jednak się nie wygadał. Tyle czasu minęło, odkąd był ostatni raz w tej jaskini, a tu czuł się podobnie. Samotny bawół, potężnie zgarbiony, krótkorogi, wpatrzony w niego. Tak wysoko w górach, daleko od swych ojczystych równin, od jak dawna tam był i kto go narysował? A z tej kopalni kto wydobywał coś i jak dawno? Tamta jaskinia przypominała mu zawsze kościół, i tu również, ale tym razem skojarzenie go zakłopotало. No tak, jako dziecko nie przejmował się. Pierwsza komunია. Spowiedź. Przypomniał sobie, jak odgarnął ciężką, czarną zasłonę i wsunął się w ciemność konfesjonału; wyścielany miękko stopień pod kolanami; stłumiony głos księdza, udzielający rozgrzeszenia penitentowi z drugiej strony. Jak potem odsunięto

drewnianą przegródkę i zaczął się spowiadać. Z czego spowiadać? Że dopiero co pozabijał ludzi. To było w samoobronie, ojciec duchowny.

Ale czy sprawiało ci to przyjemność, synu? Czy to była sposobność do grzechu?

Poczuł tym większe zakłopotanie. W grzech nie wierzył i nie lubił się nad tym zastanawiać. Lecz pytanie powtórzyło się: czy to była sposobność do grzechu? I umysł jego, rozkoszując się drzemką przy ognisku, zastanawiał się, co by odpowiedział jako dziecko. Chyba tak. Sekwencja tego zabijania była nader skomplikowana. Mógłby się usprawiedliwić przed księdzem, że samoobroną było zabicie psów i tego starszego w zielonym. Ale później, kiedy mógł uciec i zamiast tego ruszył na szeryfa i wystrzelał jego zastępców, już uciekających w popłochu, to był grzech. A teraz Teasle weźmie się za niego na dobre, znów to pomyślał, i przyjdzie mu odpokutować.

W głębi korytarza głucho kapąła woda.

Gdzieś w głębi. Należało to wcześniej sprawdzić. Opuszczona kopalnia to naturalne siedlisko dla niedźwiedzia. Albo dla węzów. Jak mógł dotąd nie sprawdzić? Wyjął z ognia płonąca gałąź i ruszył z tą pochodnią w głąb korytarza. Strop opuszczał się coraz niżej, a jemu nie chciało się schylać, udreńczając swój bok, jednak trzeba to zrobić. Obszedł zakręt, za którym ta woda kapąła ze stropu, tworząc kałużę z odpływem do szczeliny w gruncie, i to był koniec. Jego pochodnia dogasała, pełgając, kiedy podszedł do ślepej ściany, gdzie już tylko półmetrowy otwór ciągnął się w dół, i uznał, że stąd nic mu nie grozi. Zanim pochodnia zgasła, był już niemalże z powrotem przy ogniu, tak blisko, że widział jego migotliwe odbłaski.

Ale teraz przypomniał sobie, że ma jeszcze inne rzeczy do zrobienia. Sprawdzić na zewnątrz, czy na pewno stamtąd nie widać ognia. Zdobyć coś do jedzenia. I co jeszcze? Odpoczynek w tej kopalni z początku wydawał się czymś tak prostym. Tylko że po trochu przybywa mu kłopotów, aż pomyślał, czy nie lepiej dać sobie spokój? Może jednak spróbuje przemknąć się tam, w dół, przez linię światła.

Zdołał dotrzeć do wyjścia, zanim tak mu się zakręciło w głowie, że musiał usiąść. Trudno. Nie ma wyboru. Będzie musiał tu na krótko pozostać.

Ale na krótko.

Pierwszy wystrzał rozległ się gdzieś z dołu po prawej. I zaraz po nim trzy następne. Za ciemno i za daleko stąd, żeby do niego strzelali. Rozległy się jeszcze trzy wystrzały, a potem słabe wycie syreny. Co u diabła? Co się tam dzieje?

Zjeść. Na razie myśl o tym. Żeby coś zjeść. Nawet już wiedział co. Kiedy pierwszy raz wyszedł z jaskini, widział, jak tam na dole z drzewa podrywa się wielka sowa. Odleciała i po kilku minutach, szybując miękko, wróciła z okrążenia i znów usiadła. Już dwa razy widział jej sylwetkę, jak robi to samo. Teraz ptak znów odleciał, a on czekał, kiedy wróci tu z kolejnego okrążenia.

Daleko z prawej znów rozległa się strzelanina. Dlaczego? Stał dygocząc i czekał, zastanawiając się. Przynajmniej ta korzyść, że jego wystrzał pomiesza się z tymi, które słychać tam z dołu, nie zdradzi go. Celować w nocy nigdy nie jest łatwo, ale świecąca farba, którą stary bimbrownik umieścił na muszce, daje mu szansę. Czekał tak i czekał, aż wreszcie, kiedy już ledwie wytrzymywał pot ciekący po twarzy i dygot w plecach, usłyszał to jedno trzepnięcie skrzydła i dostrzegł sylwetkę, cicho lądującą na drzewie. Raz, dwa i strzelba przy ramieniu, trzy, cztery i zatrząsł się, napinając mięśnie, aby je opanować. Trach! odrzut poczuł w żebrach i zatoczył się ku wyjściu z jaskini, tak ból nim targnął. Zdawało mu się, że chybił, lękając się, czy sowa nie odleci bezpowrotnie, gdy ujrzał, jak poruszyła się z lekka. A potem opadła wdzięcznie z drzewa na gałąź, odbiła się, znikła w ciemności. Posłyszał, jak uderzyła z szelestem w opadłe liście, i zsunął się czym prędzej po łupkowym zboczu do drzewa, nie ważąc się oderwać oczu od miejsca, gdzie wydało mu się, że upadła. Po drodze zgubił namiar i nie mógł jej znaleźć; natknął się na nią dopiero po długim poszukiwaniu.

W końcu wrócił do swej pieczary i tam, przy ogniu, osunął się z zawrotem głowy na posłanie z gałęzi, cały trzęsąc się w gwałtownych dreszczach. Aby wyprzeć ból ze świadomości, skupił się na zwiniętych pazurach sowy, przyglądał jej zmierzwione pióra. Stwierdził, że ta sowa musi być stara, i podobała mu się jej zasuszona twarz, nie mógł jednak uspokoić swych rąk na tyle, aby dobrze wygładzić jej pióra.

I wciąż nie rozumiał, co to za strzelanina.

Ambulans przeleciał z wyciem koło wozu łączności, przyspieszając w kierunku miasta, a za nim przełomotały trzy odkryte ciężarówki, pełne cywilów, niektórzy z nich głośno protestowali, niewyraźnie coś wykrzykując po drodze do żołnierzy z Gwardii Narodowej. Tuż za ciężarówkami przemknęły policyjne radiowozy, najwyraźniej

pilnując ich. Teasle stał na poboczu, gdy w mroku zapalały się przelatujące reflektory. Potrząsnął głową i wrócił powolnym krokiem do swej ciężarówki.

- Czy nie było wiadomości - spytał radiowca - ilu jeszcze zostało postrzelonych?

Radiowiec siedział w głębi, cały w aureoli od jarzącej się za nim żarówki. - Niestety, właśnie mówili - rzekł cicho i powoli. - Z nich jeden. I jeden z naszych. Cywil dostał w kolano. A nasz w głowę.

- Och - Teasle przymknął na moment oczy.

- Sanitariusz z ambulansu mówił, że wątpliwe, czy dowiozą go żywego do szpitala.

Jakie tam wątpliwe, pomyślał. Sądząc po tym, jak sprawy się toczą już od trzech dni, wiadomo, że nie dożyje. Na co tu jeszcze liczyć. Po prostu nie dożyje.

- Znałem go? Nie. Poczekaj. Lepiej mi nie mów. Dość już mam tych zabitych, których znałem. Czy przynajmniej zgarnięto wreszcie tych pijaków co do jednego, żeby nam nikogo więcej nie zastrzelili? Czy w tych ciężarówkach to już wszyscy?

- Kern mówi, że chyba tak, ale pewności nie ma.

- Czyli że równie dobrze jeszcze setka ich może tam gdzieś biwakować.

Boże, jak ja bym chciał, żeby to się dało załatwić inaczej, żebyśmy znów byli jeden na jednego, ten chłopak i ja. Ilu jeszcze umrze, nim się to skończy?

Za dużo chodził. Znów zakreśliło mu się w głowie, oparł się o tył ciężarówki, żeby nie upaść, nogi się pod nim uginały. Miał takie uczucie, jakby oczy mu się chciały przekreślić w oczodołach. Jak u lalki, pomyślał.

- Może byś tu wlaź i położył się - powiedział radiowiec. - Nawet i stąd widzę, chociaż światło prawie nie sięga, jak się pocisz na twarzy pod opatrunkiem.

Teasle mu słabo przytaknął.

- Tylko nie mów tego przy Kernie. Podaj mi swoją kawę, dobrze? - Wziął ją trzęsącymi się dłońmi i wypił, połykając jeszcze dwie pigułki, chociaż język i krtań aż wzdrygnęły się od ich gorzkiego smaku, i na to akurat wrócił Trautman, który dotąd rozmawiał z majaczącymi w mroku żołnierzami z Gwardii Narodowej, porozstawianymi wzdłuż drogi. Tylko spojrzał na szeryfa i rzekł:

- Powinieneś być w łóżku.

- Dopiero jak to się skończy.

- Och, przypuszczam, że to potrwa dłużej, niż sądzisz. To już nie Korea i nie zalew Choisin. Taktyka masowego natarcia byłaby niezła, gdybyś miał dwa ugrupowania naprzeciw siebie: w razie zamieszania na jednym skrzydle widziałbyś, co się tam dzieje, bo siły wroga byłyby dość znaczne, i zdążyłbyś wesprzeć to skrzydło. Ale tu nie możesz tego zrobić, kiedy przeciw sobie masz jednego człowieka, zwłaszcza takiego. Wystarczy najdrobniejsze zamieszanie gdzieś na linii, a jego tak trudno wykryć, że przemknie się przez twoich ludzi, w ogóle nie zauważony.

- Dość już nawytykałeś błędów. A czy coś pozytywnego możesz zaproponować?

Powiedział to ostrzej, niż zamierzał, więc kiedy Trautman odrzekł mu:

- Tak! - w jego spokojnym głosie pojawiło się coś nowego, jakby skryta uraza. - Mam jeszcze parę szczegółów do wyjaśnienia. Nie wiem, jak to jest u was w policji, ale ja lubię mieć pewność, zanim coś zacznę.

Teasle potrzebował jego współpracy i natychmiast postarał się załagodzić.

- Przepraszam. Chyba niewłaściwie się odezwałem. Nie zwracaj na to uwagi. Ja po prostu czułbym się nieszczęśliwy, jakbym czasem kogoś nie ugryzł w łydkę.

Znów to dziwne, dotkliwe nałożenie się przeszłości na teraźniejszość: dwie noce temu, kiedy Orval powiedział: - Za godzinę będzie już ciemno, a on warknął: Chyba wiem o tym! - i zaraz przeprosił Orvala, używając niemal tych samych słów, co teraz do Trautmana.

Może to od pigułek. Nie wiedział, co w nich jest, ale skutkują niezawodnie, zawrót głowy już mija, w mózgu przestaje kołować. Wprawdzie zaniepokoiło go, że te zawroty powtarzają się coraz częściej i trzymają go coraz dłużej. Ale przynajmniej serce nie przyśpiesza już i nie ustaje.

Uchwycił się z tyłu ciężarówki, aby się wspiąć, lecz sił mu zabrakło.

- Daj rękę - rzekł radiowiec.

Przy jego pomocy zdołał się podciągnąć, ale z wolna i musiał chwilę odczekać, zanim poczuł się dość pewnie, aby podejść i usiąść na ławce, wreszcie opierając się ramionami o ścianę. Już. Gotowe. Tylko siedzieć i odpoczywać. Przyjemne zmęczenie i ulga, jakie miewał czasem, gdy zwymiotował.

Trautman wspiął się jakby z nieświadomą lekkością i stojąc przyglądał mu się z tyłu ciężarówki, a w tym, co przed chwilą mówił, coś uderzyło szeryfa. Ale co? nie potrafił sobie przypominieć. Coś na temat...

Ach tak.

- Skąd wiesz, że byłem pod Choisin?

Trautman popatrzył pytająco.

- Przed chwilą - rzekł Teasle. - Powiedziałeś...

- No tak. Zanim wyjechałem z Fort Bragg, zadzwoniłem do Waszyngtonu i kazałem sobie przeczytać twoje akta. Szeryfowi się to nie spodobało. Ani trochę.

- To było konieczne - powiedział Trautman. - Też nie musisz tego brać do siebie, jakbym pchał się w twoje prywatne sprawy. Musiałem wiedzieć, co z ciebie za człowiek, w razie gdyby okazało się, że ta cała afera z Rambem to twoja wina i że zapachniała ci jego krew. Aby przewidzieć, jakie mogę z tobą mieć kłopoty. Właśnie to był jeden z błędów, które ty w stosunku do niego popełniłeś. Bo ruszyłeś na człowieka nic o nim nie wiedząc, nawet jak się nazywa. To jedna z podstawowych zasad, których uczymy: nigdy się nie porywaj na wroga, póki nie znasz go, jak samego siebie.

- Dobrze. Co ci o mnie powiedział zalew Choisin?

- Między innymi, kiedy trochę już od ciebie samego wiem, co się tam działo, to po części wyjaśnia, dlaczego ci się udało przed nim uciec.

- To proste. Szybciej biegłem.

Przypomniawszy sobie, jak umykał w popłochu, zostawiając Shingletona, poczuł gorycz i niesmak.

- Otóż to - rzekł Trautman. - A nie powinienes biec szybciej. To niemożliwe. On jest młodszy od ciebie, w lepszej kondycji, lepiej wyszkolony.

Radiowiec siedział przy stoliku i przysłuchiwał się. Teraz się obrócił kolejno do nich obu i odezwał się:

- Żebym ja wiedział, ludzie, o czym wy rozmawiacie. Jaki zalew?

- A nie byłeś w wojsku? - spytał go Trautman.

- Byłem. Przez dwa lata. We flocie.

- To dlatego nie słyszałeś o nim. W piechocie morskiej znalazłbyś to na pamięć i ze szczegółami, którymi byś się chełpił. Zalew Choisin to jedna z najsławniejszych bitw całej wojny koreańskiej. Był to odwrót, ale zajadły jak najcięższe natarcie i wróg stracił w nim 37 tysięcy ludzi. Teasle tkwił w samym środku. I zarobił na Wojskowy Krzyż Zasługi.

Teasle dziwnie się poczuł, że Trautman tak mówi o nim po nazwisku, jakby nie było go tu przy nich, jakby stał na zewnątrz ciężarówki i słuchał, jak Trautman mówi o nim, nie wiedząc, że on to słyszy.

- Chciałbym się zorientować - spytał go Trautman - czy Rambo wiedział, że walczyłeś pod Choisin?

Teasle wzruszył ramionami.

- Dyplom i order wiszą w moim gabinecie na ścianie. Widział je. A czy to dla niego coś znaczyło?

- Jeszcze jak. Właśnie to ci uratowało życie.

- Nie widzę związku. Po prostu straciłem głowę, kiedy on zastrzelił Shingletona, i pogałem jak wystraszony szczur. - Powiedziawszy to lepiej się poczuł, że wyznał to przy ludziach, otwarcie, a nie żeby wytykali mu za plecami.

- Oczywiście - przytaknął Trautman - że straciłeś głowę i uciekłeś. Nie byłeś już w takiej akcji od lat. Kto na twoim miejscu by nie uciekł? Ale widzisz, on się tego po tobie nie spodziewał. To zawodowiec, i oczywiście myślał, że skoro masz ten order musisz być także zawodowcem; że trochę wyszedłeś z praktyki, owszem, i z pewnością jemu nie dorównujesz, ale mimo wszystko zawodowiec. I domyślam się, że ścigając opierał się na tym założeniu. Czy widziałeś kiedy, jak w szachy grają amator i zawodowy szachista? Amator więcej bierze. Bo zawodowiec jest przyzwyczajony grać z partnerami, którzy coś przewidują i mają głębsze powody, aby wykonać jakiś ruch, a tu amator miota się po całej szachownicy, nie wie, co robi, tylko stara się bić, co mu podejdzie, przy użyciu swych znikomych umiejętności. Więc szachista się gubi, próbując dojrzeć w tym jakiś nie istniejący plan rozgrywki, uwzględniać przewidywane pociągnięcia i traci. Ty uciekałeś na oślep i tyle, a Rambo gonił cię, starając się przewidzieć, co taki jak ty może przedsięwziąć dla swej obrony. Na pewno spodziewał się, że ty się zaczaiesz, spróbujesz go wciągnąć w zasadzkę, i przez to tracił na szybkości, dopóki się nie zorientował, ale wtedy już widać było za późno.

Radiowiec znów nałożył słuchawki, aby odebrać komunikat. Po chwili Teasle zauważył jego wzrok wbity w ziemię.

- Co się stało? - zapytał.

- Nasz człowiek trafiony w głowę. Właśnie umarł.

Oczywiście, pomyślał Teasle. Oczywiście, do diabła, a jak by inaczej. Czego ty się jeszcze przejmujesz. Czy nie tego właśnie się spodziewałeś? Z góry miałeś pewność, że umrze.

Na tym polega kłopot. Miałem pewność. On i ilu jeszcze, nim się to skończy?

- Niech mu Bóg będzie miłosierny - rzekł Teasle. - Nie znam innego sposobu, ażeby dopaść tego chłopaka, niż z pomocą tych wszystkich ludzi. Ale gdybym tak mógł dostać jedną rzecz na świecie, jaką zechcę, to chciałbym, żebyśmy się znów spotkali z nim tylko we dwóch.

Radiowiec zdjął słuchawki i trzeźwo podniósł się od stołu.

- Byliśmy każdy na innej zmianie, ale czasem się z nim pogawędziło. Jak nie macie nic przeciwko temu, to się przejdę. - Zlął na drogę przez tył ciężarówki, jak nieobecny, i stał jeszcze chwilę, nim się odezwał. - Może gdzieś tu zaparkowali ciężarówkę z zaopatrzeniem. Wziąłbym jeszcze kawy i kilka donatów. Albo co będzie. - Postął tak przez chwilę i odszedł w ciemność.

- Jakbyście się znów spotkali z nim tylko we dwóch - podjął Trautman - on tym razem już by wiedział, jak się do ciebie zabrać. Bez podchodów. Zabiłby cię na pewno.

- Nie. Bo teraz ja bym nie uciekał. Tam w górach bałem się go. Już się nie boję.

- A powinienesz.

- Nie. Bo uczę się od ciebie. Nie porywaj się na człowieka, póki go nie zrozumiesz. Tak powiedziałaś. Więc teraz już wiem o nim tyle, że dałbym mu radę.

- To głupota, co mówisz. Powiedziałem ci o nim tyle co nic. Może jakiś psychiatra od gier i zabaw towarzyskich skleciłby teorię na jego temat z faktu, że matka umarła na raka, jak był mały, że miał ojca pijaka, który próbował go zabić nożem i chłopak tej samej nocy uciekł z domu, biorąc ze sobą łuk i strzały, przy których pomocy mało nie ukatrupił starego. Coś na temat frustracji, represji i tak dalej. Że nie było co jeść, więc musiał przerwać naukę w szkole średniej i nająć się do pracy w garażu. Brzmiałoby to nawet logicznie, tylko że nie znaczyłoby nic. Bo my nie bierzemy stukniętych. Zrobiono mu wszystkie możliwe testy i jest równie normalny i zrównoważony jak ty czy ja.

- Ja nie utrzymuję się z zabijania.

- Oczywiście. Natomiast godzisz się na system, w którym inni to robią za ciebie. A kiedy wracają z wojny, ty nie możesz znieść więcej od nich zapachu śmierci.

- Z początku nie wiedziałem, że był na wojnie.

- Ale widziałeś, że nie zachowuje się całkiem zwyczajnie, i nie starałeś się zbyt wykrzyć, dlaczego. Stwierdziłeś, że to włóczęga i koniec. A czym, u diabła, miał być? Poświęcił trzy lata życia dla wojny, z której miał odnieść pożytek jego kraj, i nauczył się tylko jednego: zabijać. Gdzie miał szukać pracy, wymagającej tych umiejętności?

- Mógł się nie zaciągać do wojska. I mógł wrócić do pracy w garażu.

- Zaciągnął się dlatego, że i tak dostałby powołanie, a wiedział, że do najlepiej wyszkolonej kadry, gdzie szansę przeżycia są największe, nie bierze się z poboru, a tylko ochotników. Mógł wrócić do garażu, powiadasz. Wielka pociecha, co? Trzy lata życia i dostaje Medal Honoru za męstwo, potem szpital po złamaniu nerwowym - i do smarowania samochodów? Teraz ty bredzisz o pojedynkowaniu się z nim, dając równocześnie do zrozumienia, że taki, co się utrzymuje z zabijania, to coś chorobliwego. Nie nabierzesz mnie, jak Boga kocham! Jesteś tak samo wojskowym jak i on i stąd właśnie cała rozróżba. Mam nadzieję, że doczekasz się tego pojedynku. I to będzie ostatnia niespodzianka w twoim życiu. Ponieważ on jest na te czasy czymś wyjątkowym. To ekspert w swojej dziedzinie. Myśmy go tam, za morzem, wpakowali w to, a teraz on wrócił i wszystko to nam z powrotem wręcza. Żeby chociaż raz wyprzedzić jego myślenie, musiałbyś studiować go przez całe lata. Przechodząc każdy kurs, jaki on przeszedł, i przerabiając każdą walkę, w jakiej brał udział.

- Jak na kapitana, to mówisz tak, jakbyś nie za bardzo kochał to wojsko.

- Oczywiście. A kto, będący przy zdrowych zmysłach, mógłby je kochać?

- Więc po co w nim jeszcze siedzisz, zwłaszcza przy tej robocie, ucząc jak zabijać?

- Tego nie robię. Ja ich uczę, jak pozostać przy życiu. Dopóki wysyłamy gdziekolwiek ludzi do walki, najważniejsze, co mogę zrobić, to zapewnić im, żeby przynajmniej niektórzy wrócili żywi. Moja specjalność to jak ochraniać życie, a nie jak go pozbawiać.

- Powiedziałaś, że cię nie nabiorę; że jestem tak samo wojskowym jak on. Chyba się mylisz. Wykonuję swoją robotę najuczciwiej, jak mogę. Ale na razie mniejsza o to. Bo ty mnie także nie nabierzesz. Gadasz, jak przybyłeś tu niby na pomoc, ale jak dotąd właśnie tyle zrobiłeś: gadasz. Jak to niby chcesz ludziom ratować życie, ale nie zrobiłeś jeszcze nic, aby zapobiec temu, że on zabije następnych.

- Więc przypuścimy... - rzekł Trautman. Zapalił z wolna papierosa, biorąc go z paczki leżącej przy radiu. - Racja. Trzymałem się z boku. Więc przypuścimy, że ci pomogę. Teraz pomyśl. Czy na pewno chcesz mojej pomocy? Rambo jest najlepszy ze wszystkich, jacy kiedykolwiek wyszli z mojej szkoły. Dla mnie walczyć z nim to jakbym walczył sam ze sobą, bo podejrzewam jednak, że został do tego zmuszony.

- Nikt go nie zmuszał do zabicia brzytwą policjanta. Żeby to było jasne.

- Ujmę to inaczej: dla mnie zachodzi tu osobista sprzeczność interesów.

- Co zachodzi? Cholera! On...

- Daj mi skończyć. Rambo ma dużo wspólnego ze mną i muszę uczciwie przyznać, że współczuję mu w tej sytuacji, do tego stopnia, że ucieszyłoby mnie, gdyby się wymknął. Z drugiej strony zaś to fakt, że go poniosło. Nie musiał za wami gonić, jak zaczęliście zmykać. Większość tych ludzi nie musiała umrzeć, skoro już miał szansę ucieczki. To nie do wybaczenia. Ale cokolwiek o tym sędzę, moja sympatia jest po jego stronie. Co będzie, jeśli podświadomie zaplanuję akcję przeciwko niemu w taki sposób, żeby mógł się wymknąć?

- Nie zrobisz tego. Choćby stąd się wymknął, i tak musimy go ścigać i z pewnością znów kogoś zastrzeli. Sam przyznałeś, że ponosisz za to nie mniejszą odpowiedzialność niż ja. Więc jeżeli z twoich on jest najlepszy, udowodnij to, do cholery! Stawiaj mu wszelkie przeszkody, jakie tylko zdołasz wymyślić. Jeśli wtedy się wymknie, to będzie znaczyć, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś i masz podwójny powód, aby z niego być dumny. Tak czy owak musisz nam pomagać.

Trautman spojrział na papierosa, głęboko się nim zaciągnął i wyrzucił go z ciężarówki, aż sypnął iskrami w ciemność.

- Nie wiem, po co w ogóle zapaliłem. Przestałem palić trzy miesiące temu.

- Nie zagaduj - powiedział Teasle. - Więc będziesz nam pomagał czy nie?

Trautman spojrział na mapę.

- Chyba nie ma znaczenia, cokolwiek powiem. Za parę lat takie poszukiwania w ogóle nie będą potrzebne. Już dziś mamy przyrządy, które można zainstalować pod kadłubem samolotu. Żeby go znaleźć, wystarczyłoby przelecieć nad miejscem, gdzie mógłby się znajdować, i aparat zareaguje na temperaturę jego ciała. Po prostu nie ma jeszcze dość takich urządzeń, żeby posługiwać się nimi na okrągło. Przeważnie używa się ich na froncie. Ale kiedy wojna się skończy i wszystko to wróci do kraju, no cóż, zbieg nie będzie już miał żadnej szansy. Tacy jak ja też nie będą potrzebni. Mamy tu z czymś do czynienia po raz ostatni. A szkoda. Jakkolwiek bym nienawidził wojny, boję się dnia, kiedy maszyny zastąpią człowieka. Teraz przynajmniej człowiek jeszcze może radzić sobie dzięki własnym umiejętnościom.

- Wciąż nie odpowiedziałeś.

- Owszem. Pomogę. Trzeba go powstrzymać i wołałbym, ażeby ten, kto to robi, rozumiał go jak ja i towarzyszył mu w tej udręce.

Rambo ujął sowę za giętki i miękki grzbiet, uchwycił garść pierza na brzuchu i pociągnął. Wyszło ze stłumionym odgłosem darcia. Było przyjemne w dotyku. Oskubał ptaka do gołej skóry i oddarwszy mu głowę, skrzydła i szpony wbił nóż u spodu klatki piersiowej i przeciągnął ostrze w dół aż do łap. Rozchylił otwór, sięgnął w ciepłe, wilgotne wnętrzości i gładko je wyciągnął, usuwając od jednego razu prawie cały ich kłęb. Resztę wyskrobał nożem. Poszedłby oprawioną tuszę opłukać w kapiącej ze stropu wodzie, ale nie miał pewności, czy nie jest ona trująca, poza tym byłby to dodatkowy kłopot, a on chciał tylko skończyć z tym, zjeść i wynieść się stąd. Już i tak za wiele zużył energii. Podniósł długą gałąź, jeszcze nie nadpaloną, zaostriżył ją i wbił sowę jak na rożen, aby mógł ją trzymać nad ogniem. Pozostałe na skórze resztki piór i włosków spłonęły w iskierkach. Żeby tak sól i pieprz! pomyślał. Ponieważ to stara sowa, będzie twarda i łykowata. Woń palącej się krwi była cierpka i taki sam pewnie się okaże smak mięsa. Gdyby miał przynajmniej sól i pieprz!

Do tego doszedł, kurwa mać, pomyślał. Od śpiwora w lesie i żywienia się hamburgerami, popijanymi colą, w zakurzonej trawie przydrożnej, do posłania z jodłowych gałęzi w porzuconej kopalni i ścierwa sowy, nawet bez soli i pieprzu. Tak bardzo się to znów nie różni od biwakowania w lesie, ale tam życie na minimalnym poziomie stanowiło rodzaj luksusu, bo tak chciał. A teraz może będzie musiał tak żyć przez dłuższy czas i faktycznie wygląda to na pieprzone minimum! Kto wie, może wkrótce nawet tego nie będzie miał i wspomni tę noc, kiedy przespał się parę godzin w kopalni i zjadł starą sowę, jako coś rozkosznego. Nie myślał już o Meksyku. Tylko o następnym posiłku i na jakim drzewie się prześpi.

Dzień po dniu. Noc po nocy.

W piersi mu pulsowało. Zadarł obie koszule i przyjrzał się swym zębom, zdumiewając się, jakie spuchnięte i zaognione. Jak nowotwór! Albo jakby w nim coś rosło, pomyślał. Jeszcze kilka godzin snu tego nie wyleczy. Przynajmniej w głowie mu się już nie kręci. Czas ruszać. Dorzucił do ognia, żeby sowa prędzej się upiekła. Bliskość płomieni paliła go w czoło i grzbiet nosa. A może gorączka? pomyślał. Wyciągnął się na wznak na jodłowych gałęziach, spoconą twarzą ku ognisku. W ustach śluz mu lepił się i zasychał, napiłby się z manierki, ale już za dużo z niej upił i trzeba trochę zachować na potem. Ilekroć jednak zdarzyło mu się rozchylić wargi, ciągnęło się między nimi coś lepkiego. Wreszcie upił troszeczkę i poruszał w ustach odrobiną ciepłej wody o metalicznym posmaku, splukując ten śluz i zastanawiając się, czy stać go na to, aby wypluć, aż rozważył to sobie i z trudem połknął.

Głos rozległ się i zaskoczył go. Dobiegł niewyraźnie wzdłuż korytarza, jakby ktoś na zewnątrz mówił do niego przez megafon. Skąd wiedzieliby, że on tu jest? Z pośpiechem upewnił się, czy ma pistolet, nóż i manierkę u pasa, chwycił strzelbę i patyk z nadzianą sową, rzucił się do wyjścia. Powiew ciągnął korytarzem świeży i chłodny. Tuż przed wyjściem zwolnił i sprawdził, czy tamci nie czekają go w ciemnościach na zewnątrz. Lecz nie zauważył nikogo, i znów usłyszał ten głos. Na pewno z megafonu. Z helikoptera. Silnik warczał po ciemku ponad szczytem wzgórza i rozlegał się wciąż męski głos: Grupy dwunasta do trzydziestej pierwszej. Koncentrować się ku wschodniej pochyłości. Grupy trzydziesta druga do czterdziestej włącznie. Rozwinąć się na północ. A daleko w dole czekała wciąż nieruchoma, linia światełek.

Teasle rzeczywiście się na niego zawziął. Zebrał tam chyba coś w rodzaju niedużej armii.

Ale po co megafon? Czy mało im radiostacji polowych, żeby akcje tych grup skoordynować? Czy chodzi po prostu o to, pomyślał, żeby hałas mi podziałał na nerwy? Albo żeby nastraszyć mnie, że tyłu ich będzie. Może to fortel i w ogóle północ i wschód nie są obstawione. Może wystarczyło mu ludzi tylko na południe i zachód. Rambo słyszał, jak Siły Specjalne tak właśnie posługiwały się megafonami na froncie. Zbija to przeciwnika z tropu i skłania go do zastanawiania się, co Siły Specjalne chcą zrobić i jak je przechytrzyć. Jest przeciwna zasada: jeśli chcą, żebyś ich przechytrzał, nie robić tego! Najlepsza odpowiedź na to jest robić swoje tak, jakbyś w ogóle nic nie usłyszał.

Teraz głos powtarzał się i przycichał z warkotem śmigłowca za grzbietem wzgórza.

Ale jego już nie obchodziło, co mówi. Dla niego Teasle niech zaleje te wzgórza swymi ludźmi, choćby ze wszystkich stron. To nieistotne. Gdzie on będzie szedł, i tak przejdą obok i nie zauważą.

Popatrzył na wschód. Niebo już tam poszarzało. Wkrótce ukaże się słońce. Osunąwszy się po zimnej skale przysiadł u wejścia do kopalni i palcem spróbował ptaka, czy nie za gorący, żeby go zjeść. Ukroił pasek mięsa i zaczął żuć. Okazało się wprost ohydne, gorsze, niż się spodziewał. Suche, łykowate i cierpkie. Trzeba się było zmuszać do następnego kęsa, a potem żuć i żuć, zanim się dało przełknąć.

Teasle w ogóle nie zasnął. Na godzinę przed świtem Trautman położył się na podłodze i zamknął oczy, lecz Teasle dalej siedział na ławce, oparty o ścianę, kazał przełączyć dźwięk ze słuchawek na głośniki i słuchał komunikatów o rozmieszczeniu jednostek, oczu prawie nie odrywając od mapy. Nadchodziły one coraz rzadziej, w końcu radiowiec ułożył się głową na ramionach, opartych na stole, i znów Teasle pozostał sam.

Wszystkie grupy są już na swoich miejscach. Widział w myśli policjantów i żołnierzy z Gwardii Narodowej, porozstawianych na skraju pól i lasów, jak przydeptują papierosy, ładują broń. Podzielono ich na grupy po pięćdziesięciu, w każdej grupie znalazł się jeden z krótkofalówką i o szóstej przekazany zostanie wszystkim przez radio rozkaz, aby ruszać. Będą tak szli ku sobie szeroką na razie tyralierą z czterech stron świata, przez tereny polne i leśne. Dni upłyną, zanim przeczesawszy tak wielki obszar spotkają się pośrodku, ale w końcu go złapią. Jeżeli któraś grupa wkroczy na teren szczególnie trudny, zmuszający do powolnego posuwania się, jej radiowiec nada wiadomość do innych grup, aby też zwolniły i zaczekały. W ten sposób żadna grupa się nie opóźni na tyle, aby wypadła z linii, pozostała za nią i niepostrzeżenie zboczyła ze swego kierunku, przemieszczając się znacznie w bok i badając teren już sprawdzony przez innych. Nie powstaną też w posuwającej się linii żadne przerwy oprócz tych, które zaplanowano z góry jako pułapki, gdzie specjalna grupa ludzi zaczai się, aby schwytać chłopaka w razie, gdyby próbował wykorzystać takie otwarte miejsce.

Chłopaka. Nawet i teraz, już znając jego nazwisko, Teasle nie mógł się do niego przyzwyczaić.

Przed wschodem powietrze jakby zwilgotniało, więc przykrył leżącego na podłodze Trautmana wojskowym kocem i sam owinął się w drugi. Zawsze coś pozostaje do zrobienia, jakaś luka w najdokładniejszym planie. Zapamiętał to z ćwiczeń w Korei, to samo powiedział mu Trautman, więc sprawdzał plan obławy na wszelkie sposoby, czy jeszcze o czymś nie zapomniał. Trautman zażyczył sobie, aby z helikopterów opuścić patrole na co

wyższe szczyty, skąd się da wypatrzeć chłopaka, gdyby uciekał przed postępującą tyralierą. Spuszczanie tych patroli na blokach i linach po ciemku było niebezpieczne, ale obeszło się szczęśliwie bez wypadku. Trautman zażądał również, aby helikoptery latały tam i z powrotem, nadając fikcyjne instrukcje dla zmylenia chłopaka, i to też wykonano. Trautman podejrzewał, że chłopak spróbuje się wymknąć na południe, gdyż taki był kierunek jego ucieczki na wojnie i szansa przemawiała za tym, że znów go spróbuje, wzmocniono więc linię południową z wyjątkiem słabych miejsc, umyślnie pozostawionych jako pułapki. Teasle czuł, jak oczy go pieką z braku snu, ale nie mógł zasnąć, a potem, kiedy już nie potrafił wykryć w planie żadnego szczegółu, o którym by zapomniał, naszły go myśli o innych sprawach, takich, o których wolałby zapomnieć. Wyrzucał je z pamięci, lecz teraz, kiedy głowa go rozboleła, te widma same wydostały się na wierzch. Orval i Shingleton.

Co tydzień piątkowe obiady u Orwalów. Dobry sposób na początek weekendu - mówiła pani Kellerman, zawsze wydzwanając go na posterunku we czwartek, aby dowiedzieć się, co chciałby zjeść nazajutrz. Tak to niegdyś było: dzisiaj dzwoniła, a jutro się u nich jadło - co się jadło? - nie, myśl o jedzeniu wypełniającym usta jest nieznośna. Nigdy po imieniu: Beatrice. Tylko pani Kellerman. Tak postanowili, kiedy ojciec został zabity i on z nimi zamieszkał. Nie potrafiłby do niej mówić Mamo, a ciciu Beatrice nie brzmiało należycie, więc została już panią Kellerman i Orwalowi się to podobało, bo sam wychowany był w czasach i zwyczajach, gdy mówiło się do własnych rodziców Panie Ojczy i Pani Matko. Z imieniem Orwala to co innego. Bywał on tak ciągle obecny w domu ojcowskim, że Teasle przyzwyczaił się mówić po prostu Orval i tego już nie mógł się pozbyć. Te piątkowe obiady. Ona przy kuchni gotowała coś, a oni dwaj z Orwalem na dworze z psami, potem jeszcze wchodzili przed obiadem na drinka, lecz Orval tymczasem w ogóle przestał pić, więc tego drinka wypijali we dwoje, on z panią Kellerman, a Orval pił sok pomidorowy z solą i sosem Tabasco. Kiedy o tym pomyślał, gorzka ślina mu napłynęła do ust i próbował nie myśleć o jedzeniu: już lepiej o tym, jak się zaczynały kłótnie i wreszcie zaprzestano piątkowych obiadów. Dlaczego nie ustąpił Orwalowi? Czy to było aż takie ważne, jak nosić pistolet albo tresować psy, że musieli się oto kłócić? Czyżby Orval bał się zestarzeć i musiał pokazywać, że wciąż tyle samo potrafi?

A może byli sobie tak bliscy, że każda różnica zdań równała się jakby zdradzie i musieli się kłócić. A może to moja duma kazała pokazywać Orwalowi, że już nie jestem dzieckiem - pomyślał Teasle - a Orval nie mógł znieść, ażeby przybrany syn tak z nim rozmawiał, jak on sam nigdy by się nie ośmielił odezwać do swego ojca? Pani Kellerman ma 68 lat. Była żoną Orwala przez lat czterdzieści. Co teraz bez niego pocnie? Z nim wiązało się całej jej życie. Dla kogo będzie gotować? Komu teraz będzie prać odzież i sprzątać? Chyba że dla mnie! pomyślał Teasle.

A co z Shingletonem? Te ich turnieje strzeleckie, w których obaj reprezentowali swój wydział. Shingleton też miał żonę i troje małych dzieci. Co ona teraz ma robić? Pójść do pracy, sprzedać dom, płacić za opiekę nad dziećmi w godzinach pracy? I jakże ja wytłumaczę im, pomyślał, jak to się stało, że ich mężowie zginęli? Wypadało do nich zadzwonić już wiele godzin temu, ale nie mógł się na to zdobyć.

Jego papierowy kubek zawierał kawę z rozmiękłymi niedopalkami. Zapalił ostatniego papierosa, zmiął paczkę, w gardle mu zaschło i wspomniawszy swe dzikie przerażenie na górze i krzyk Shingletona: Uważaj, Will, dostał mnie! - a potem strzał i jego ucieczka. Może gdyby tam został, udałoby mu się strzelić do chłopaka i gdyby dotarł w jakiś sposób do Shingletona, może znalazłby go jeszcze żywego i mógł uratować? Przeżywając na nowo swoją histeryczną ucieczkę ze wzgórze, zadygotał ze wstrętu. Och, jaki z ciebie twardziel! powiedział sobie. Tak jest, w gębie! Jakby ci się zdarzyło przejść to po raz drugi, zrobiłbyś dokładnie to samo.

Nie, pomyślał. Nie, prędzej bym zdechł, niż uciekał. Teraz ich zwłoki na tej górze. Policja stanowa wysłała na ich poszukiwanie helikopter, ale z powietrza wzgórze wyglądają wszystkie tak samo i policji nie udało się znaleźć tego, o które chodzi, wreszcie odwołano ich do udziału w obławie. Czy ulewa na wpół zagrzebała ich trupy w błocie i liściach? Czy zwierzęta ich obwąchują, czy owady im łążą po twarzach? Jak może wyglądać Orval po tym upadku w przepaść? Pogrzeb Galta odbył się wczoraj rano, kiedy on się czołgał przez pole. Całe szczęście, że go to ominęło. Jakże by pragnął nie uczestniczyć w pogrzebie wszystkich pozostałych, kiedy wreszcie ich znajdą i przywiozą to, co z nich zostanie po kilku dniach w lesie! Pogrzeb zbiorowy. Trumny przed ołtarzem w szereg, wieka zamknięte, całe miasto będzie patrzeć na niego, potem na trumny i znów na niego. Jak ma tym ludziom wytłumaczyć, dlaczego to się musiało stać, dlaczego uważał, że chłopaka trzeba ciągle wyganiać z miasta i dlaczego chłopak poczuł się tak dotknięty, że musiał mu zrobić na przekór i że obaj, kiedy się to zaczęło, parli jeden na drugiego i już nie mogli przestać?

Spojrzał na śpiącego pod wojskowym kocem Trautmana i uświadomił sobie, że zaczyna patrzeć na chłopaka z tego punktu widzenia, co Trautman. Nie zupełnie, ale dość, żeby zrozumieć, dlaczego chłopak to wszystko zrobił, i nawet mu odrobinę współczuć.

No dobrze, ale ty nikogo nie zabiłeś, wróciwszy z Korei, a przeszedłeś tam prawie tyle samo.

Jednakże rozmyślanie o tym, że chłopak powinien był nad sobą panować, nie przywróci życia Orwalowi i Shingletonowi, i całej reszcie, a jego wściekłość na chłopaka, że zastrzelił Orvala, była zbyt wielka, żeby się utrzymać. Przez kilka ostatnich godzin zmęczenie brało nad nią górę. Jego uczuciom już zabrakło tej siły, aby go wciąż pobudzać do wielkich, okrutnych wizji, co pragnąłby zrobić z tym chłopakiem.

Zastanowił się nad tym i w lekkim oszołomieniu, spowodowanym przez brak snu, wydało mu się jakoś po wariacku, że wszystko to się wymknęło spod kontroli jeszcze wcześniej, zanim on i chłopak spotkali się: on i Anna, chłopak i wojna. Anna. Zdziwił się, że nie pomyślał o niej przez dwa dni, ani razu, odkąd się zaczęło to zabijanie. Teraz wydawała mu się dalsza od Kalifornii, a ból, że ją stracił, doszczętnie zmałał wobec wszystkiego, co wydarzyło się od poniedziałku. Jednak, choć tak niewielki, był to jakiś ból i więcej nie chciało mu się już znosić.

Ścisnęło go w żołądku. Musiał zażyć jeszcze dwie pigułki, a ich kredowy smak był tym gorszy, że już z góry go przewidywał. Z otwartej w tył ciężarówki dostrzegł tuż nad horyzontem słońce, blade i chłodne, ludzi czekających w pogotowiu wzdłuż drogi z obłoczkami ścinającej się pary przy ustach. Radiowiec wywoływał kolejno wszystkie grupy, aby się upewnić, czy są gotowe do akcji.

Teasle nachylił się i szturchnięciem zbudził śpiącego na podłodze Trautmana.

- Zaczyna się. - Ale Trautman już nie spał.

- Wiem.

Podjechał Kern i wdrapał się z pośpiechem do ciężarówki.

- Sprawdzalem po drodze. Wszystko chyba w porządku. Co tam na punkcie dowodzenia Gwardii Narodowej?

- Gotowi do prowadzenia kontroli. Czekają na nas - przekazał radiowiec.

- W takim razie już czas.

- Czego się na mnie patrzysz? - zapytał Teasle.

- Ponieważ ty sprawę rozpętałeś, chyba należy ci się, żebyś wydał rozkaz.

Rozciągnięty na wysokiej grani Rambo popatrzył w dół i dojrzał nadchodzących, najpierw małe grupki ukazujące się z daleka tu i ówdzie między drzewami, a potem już metodyczne, dobrze zorganizowane przeczesywanie terenu przez takie mnóstwo ludzi, że nie mógł ich policzyć. Byli ze trzy kilometry od niego, drobne, ruchome punkciki, szybko rosnące. W górze przelatowały helikoptery, nadając rozkazy, które puszczał mimo uszu, nie mogąc się rozeznąć, czy są albo nie są prawdziwe.

Domyślał się, że Teasle liczy na jego cofnięcie się przed idącą obławą i odwrót w góry.

Tymczasem on pomknął, kuląc się i wykorzystując każde ukrycie w dół, naprzeciw idącym. Znalazłszy się na dole pobiegł w lewo, trzymając się jedną ręką za bok. Wkrótce będzie mógł sobie pozwolić na to, żeby już nie biec, ale nie może zwalniać dlatego, że coś go boli. Szukający są może o pięćdziesiąt minut, może i bliżej, a jeżeli zdąży wcześniej od nich dotrzeć tam, dokąd zmierza, będzie miał okazję tyle odpocząć, ile mu potrzeba. Wbiegł z wysiłkiem na zalesione zbocze, mimo woli zwalniając, zadyszany osiągnął szczyt. Otóż i potok. Szukał go przez cały czas, odkąd wyszedł z kopalni. W tym właśnie potoku leżał po tym, jak Teasle wymknął mu się w jeżyny. Oceniał, że musi to być w pobliżu kopalni, i gdy tylko wyruszył, zaraz się wspinał jak najwyżej, aby go wypatrzeć. Bez powodzenia. Potok płynął za nisko i zbyt ukryty w drzewach, a żeby dojrzeć przeblysk wody lub zygzakujące wgłębienie. Już miał zrezygnować, gdy uświadomił sobie, że cały czas patrzy na to, czego szuka. Mgła. Poranny opar nad wodą. Ruszył więc czym prędzej w tę stronę i oto, przewyciężając ból, chwiejnym krokiem zbliża się skroś drzew do potoku.

Dobrnął do niego w miejscu, gdzie ledwie ciurkał po kamieniach, ujęty między łagodne, trawiaste zbocza. Pośpieszył wzdłuż potoku i dotarł do głębokiego zakola, gdzie brzegi stały się nareszcie strome, ale wciąż utkane z gęstej trawy, jak przedtem. Ruszył dalej, gdzie następna głębia miała brzegi tak samo strome, ale już błotniste. Drzewo rosnące po jego stronie ukazywało nagie korzenie, z których prąd wymył glebę. Nie mógł stąpnąć w błoto, bo zostawiłby ślady. Musiał wymacać grunt w szerokim rozkroku, sięgającym od listowia i trawy na górze aż do korzeni drzewa, po czym opuścił się ostrożnie do wody, bacząc, aby nie wzburzyć na dnie mułu, który mógłby się w niej rozejść i zdradzić jego obecność. Wcisnął się pomiędzy korzenie drzewa a brzeg, w którym potok wydrążył jamę w podmokłej ziemi tuż nad nim, i powolutku, starannie jął się zakopywać,

pokrywając sobie błotem nogi, począwszy od stóp, nagarniając błota na pierś i przyginając korzenie, aby go lepiej ukryły, wijąc się, zagrzebując w szlamie na kształt kraba, nurzając się w nim twarzą i ściągając na siebie to błoto, aż poczuł na całym ciele jego zimny i mokry ciężar, z trudem oddychając, gdyż powietrza mu zostało tyle co wąta gałązka. Tym razem doszedł do granic swych możliwości. Więcej już nie mógł zrobić. Przypomniało mu się, jak dowcip, stare porzekadło: jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Zrobił to. A teraz już tylko czekać.

Obława mozolnie się posuwała. Według niego byli oddaleni o jakieś dwa wzgórza, kiedy on dotarł do potoku, i oceniał, że dojście tu zajmie im piętnaście minut, a może trochę więcej. Ale chyba kwadrans już minął, a ich wciąż ani śladu. Uznał, że zawodzi go poczucie czasu i że leżąc tak, zagrzebany w błocie, mogąc jedynie czekać, myli się i odbiera kilka minut jako czas o wiele dłuższy. Przywalonemu błotem coraz trudniej się oddychało. Jego przestrzeń powietrzna była za skąpa, lecz nie mógł jej teraz powiększać: a nuż ktoś dostrzeże to zagłębienie i zainteresuje się? Wilgoć zaczęła mu się gromadzić w nosie, zatykając go podobnie jak śluz. Oczy miał zamknięte i błoto mu się osadzało ciężko na powiekach.

Wciąż ani szmeru nadchodzącej obławy. Musiał się czymś zająć, co pomogłoby mu zachować bezruch i ciszę, bo ciśnienie błota drażniło go, więc zaczął liczyć sekundy, z każdą minutą spodziewając się ich usłyszeć, osuwając się w następne sześćdziesiąt sekund, kiedy nic nie usłyszał, przekonany, że w końcu tej minuty usłyszy ich, a tu ciągle nic. Kiedy tak policzył do sześćdziesięciu po raz piętnasty, był już pewien, że coś nie w porządku. Przez to błoto. Może dlatego. Może właśnie błoto stłumiło odgłosy i pościg już dawno go minął.

A oczywiście możliwe, że wcale nie. Skoro ich nie słyszał, to może właśnie idą. Nie wolno mu ryzykować wynurzenia się, żeby popatrzeć: mogą właśnie zbliżać się do potoku, opóźnieni przez gęste zarośla na którymś zboczu. Więc dalej czekał, a wilgoć pchała mu się do nosa, jakby go miała utopić, walczącego już o każdy oddech. Błoto coraz mocniej przywalało mu twarz i piersi, rozpaczliwie pragnął się z niego wydobyć. Przypomniał sobie, jak w dzieciństwie bawiąc się na piaszczystym zboczu wykopał sobie w nim pieczarę, wlał do niej i raptem poczuł, że się natychmiast musi stąd wydostać, i w tej chwili zbocze obsunęło się, przywalając mu głowę, i oszalały z trwogi, orząc pazurami w tym piasku, wyczołgał się w momencie, gdy obsunęło się go jeszcze więcej. Ledwie się zdążył wydostać, i tej nocy, próbując usnąć, doszedł do przekonania, że to było przecucie śmierci, że ono go pchnęło, aby się w ostatniej chwili wydostał. Tak i teraz, zagrzebany w błocie i szlamie, pomyślał, że gdyby ktoś wszedł i stanął nad jego twarzą, kawał brzegu mógłby się zawalić, spaść i pozbawić go powietrza. Naszło go to samo przecucie, co wtedy: zostanie pogrzebany żywcem i tutaj umrze. Wilgoć już całkiem uniemożliwiła mu oddychanie przez nos. Musi wydostać się stąd, o Boże! nie wytrzyma tego duszenia się.

Zaczął się wydobywać z błota.

I wtem skamieniał, usłyszawszy ich. Tępy, zgłuszony tupot kroków. Mnóstwo tych nóg. Wchodzą na niego wszystkie naraz. I przytłumione głosy, tu i tam chlupot w potoku, brodzą pod prąd. Kroki zbliżały się i jedne z nich przystanąły, po chwili załomotały tuż, nad nim, kładąc się ciężko na błocie, na jego piersi, na pękniętych żebrach, do bólu. Nie mógł się poruszyć, nie oddychał. Jak długo można bez powietrza? Trzy minuty. Jeśliby przedtem kilka razy głęboko zaczerpnął tchu. A tak dwie minuty. Spróbuj wytrzymać dwie minuty. Ale czas się tak spletał, jakby w minucie były dwie. A jeśli będzie musiał odetchnąć i przepchać się, wywinąć, wyleźć, nim to nastąpi? Cztery pięć sześć siedem, liczył, i do dwudziestu, do czterdziestu, przedłużało się to i liczby powięzły mu się w myśli z uderzeniami serca, walącego coraz głośniejsze i szybciej w piersi, co się kurczy i zgniata. Nareszcie. Błoto ponad nim ustąpiło, nacisk osłabł, stojący na nim człowiek ruszył dalej. Ale prędzej, za wolno! Głosy i chlupotanie brnących miłosierne przycichły. Ale jakże długo jeszcze się nie może wygrzebać - mogą się trafić maruderzy. Albo ktoś przypadkiem się tu obejrzy - o Jezu - prędzej! To już pół drugiej minuty, trzydzieści pięć, trzydzieści sześć, trzydzieści siedem, odczuwa skurcz w gardle, czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć. Nie wytrzymał do sześćdziesięciu, nie mógł już tego znieść, nagle pomyślał, że w głowie mu się tak mąci z braku powietrza, osłabł, już nie da rady się wygrzebać. Pchaj. Pchaj, do cholery! Ale błoto się nie chciało rozstąpić, szamotał się z nim, aby się podźwignąć, odgarnąć błoto i nagle zryw i - o Jezu! - runęło na niego rześkie powietrze i światło, i zatchnął się, na wpół wychylony z potoku. W głowie szarość mu się rozjarzyła w białosc; płuca wzdęły się w porywie oddechu; a potem dotkliwie zakłuło w żebrach, gdy wchłaniał ogromnymi haustami oddech i wydychał, i znów gwałtownie wdychał. Za głośno. Usłyszają.

Czym prędzej za nimi spojrzął.

Nikogo. Szmer i głosy w zaroślach. Ale już znikli z oczu, przeszli, wreszcie ma to za sobą, już tylko jedna trudność: przeskoczyć otaczające drogi. Wsparł się bezwładnie o wysoki brzeg. Już od nikogo niezależny.

Sam sobie. Wolny.

Nic podobnego. Jeszcze masz cholernie dużo do zrobienia, zanim posmakujesz tych dróg.

Myślałeś, cholera, że o tym nie wiem? przywołał się do porządku. Zawsze zostanie coś do zrobienia. Zawsze. Ta pieprzona zabawa nigdy się nie kończy. Więc ruszaj się.

Za momencik.

Nie. Już. Natychmiast. Jak cię złapią, to sobie odpoczniesz za wszystkie czasy.

Odsapnął i pokiwał głową, i niechętnie wstał, oparłszy się rękoma o brzeg, brnąc po wodzie podszedł do obnażonych korzeni. Zgarnął błota do jamy, w której się za tymi korzeniami ukrywał. Gdyby przyszła tu inna grupa, lepiej, żeby nie dostrzegli kryjówki, którą pierwsza grupa mogła przeoczyć. Niech myślą, że on jest daleko w górach, a nie przy drodze.

Następnie, strzelbę położywszy na wysokim brzegu, zanurzył się w najgłębszej części zakola i splukał z siebie błoto. Teraz już nie ma znaczenia, że wzburzył mu i męty z dna: ci, którzy przeszli, doszczętnie zmacili wodę i czy oni wrócą, czy przejdą inni, jego nie będą o to podejrzewać. Zanurzył też głowę, aby sobie wypłukać ziemię z włosów i obmyć twarz; nabrał w usta zbełtanej wody i wypluł ją z piachem; wydmuchał pod wodą nos, aby się pozbyć szlamu, którego mu się napchało. Żyje wprawdzie jak zwierzę, pomyślał, ale to nie powód, aby czuł się jak zwierzę. To również nawyk ze szkolenia. Bądź czysty, jak tylko możesz. Zwiększysz dzięki temu swą wytrzymałość i będziesz lepiej walczył.

Wylazł ociekający z potoku, znalazł na ziemi cienki badył i posłużył się nim, aby oczyścić z błota swą strzelbę, wewnątrz lufy i zamek z iglicą. Następnie kilka razy odciągnął dźwignię, by się upewnić, że gładko chodzi, załadował z powrotem naboje, które wyrepetował, i wreszcie ruszył, posuwając się ostrożnie przez drzewa i krzaki w kierunku szosy. Dobrze mu było, że zmył z siebie błoto. Zaraz poczuł się lepiej, energiczniej, zdolny do skutecznej ucieczki.

Uczucie to zgąsło, kiedy usłyszał psy, dwie sfory, jedna ujadła wprost przed nim, zbliżając się, a druga w lewo, szybko się przemieszczając. Te z przodu najwidoczniej szły po tropie od miejsca, gdzie Teasle mu się zapodział na zboczu porośniętym jeżynami, z którego idąc Rambo natknął się na ten potok, powędrował na wpół przytomny w góry i trafił wreszcie do kopalni. Te z lewej posuwały się szlakiem jego pogoni za Teaslem do jeżynowych zarośli. Ślady były z poprzedniego dnia i jeżeli któryś przewodnik nie jest doświadczonym tropicielem, nie odróżni, który trop wiedzie w stronę jeżyn, a który od nich. Dla pewności puścili psy po jednym i drugim.

Z orientacji w tym niewiele mu przyszło. Tak czy owak musi wymknąć się sforze psów, biegnących nad potok, a na pewno ich nie przegoni, zwłaszcza z bólem tak doskwierającym w boku. Mógł się zasadzić i wszystkich powystrzelać, psy i ludzi, jak uczynił z grupą szeryfa, tylko że strzelanina wskazałaby miejsce, gdzie się znajduje, a przy takiej liczbie ścigających łatwo byłoby go w lesie otoczyć.

A więc trzeba zmylić psy.

Przynajmniej ma na to trochę czasu. Nie od razu dotrą do tej części potoku. Najpierw pójdą jego tropem od wody w góry, do kopalni, a dopiero stamtąd zawrócą tutaj. Można by próbować już przekroczyć drogę, ale i psy się tam skierują, po czym nada się przez radio, żeby uprzedzić go i zastawić pułapkę.

Miał pomysł. Nie najlepszy, ale niczym lepszym w tej chwili nie rozporządzał. Zawrócił i po własnych śladach pognął w miejsce, gdzie krył się pod korzeniami drzewa. Tu zsunął się do wody i po pas brodząc ruszył z biegiem potoku w stronę szosy, wyobrażając sobie, co zrobią psy. Wytropią go z kopalni aż tu i od miejsca ukrycia ruszą w gąszcz, po czym zaczną węszyć, zbite z tropu, gdy ten urwie się raptem w zaroślach. Nie od razu się ktoś domyśli, że wrócił po własnych śladach do potoku i pobrnął z jego prądem: a gdy się wreszcie domyślą, on już będzie daleko. Może w jakimś samochodzie lub ciężarówce, jeśli zdoła je ukraść.

Ale wtedy policja da znać przez radio i zaczną szukać ukradzionego samochodu.

Więc on po kilku milach go porzuci.

I co dalej? Ukraść następny samochód i znów porzucić? Ruszyć pieszo, aby znów psy go zaczęły tropić?

Brodząc tak w dół potoku, rozpaczliwie zastanawiając się, jak uciec, po trochu zdał sobie sprawę, że to nadzwyczaj trudne, prawie niemożliwe. Teasle go nie odstąpi. Nie da mu się wymknąć, nie da nawet odpocząć. Zaprzętnięty niedalekim naszczekiwaniem psów, z oczyma zwróconymi przeważnie w dół, aby omijać zanurzone głazy i kłody, na których mógłby się potknąć, trzymając się za żebra, nie spostrzegł tego człowieka, aż się na niego natknął. Obszedł zakręt i nagle on, siedzący na brzegu, bez butów i skarpetek, z nogami w wodzie. Miał niebieskie oczy. Trzymał strzelbę i patrzył podejrzliwie. Widać usłyszał, jak Rambo nadchodzi i był gotów, na wszelki wypadek, ale najwyraźniej nie wierzył, aby to mógł być naprawdę on, bo gdy już do niego dotarło, że to Rambo, rozdziawił się tylko i siedział, jak sparaliżowany, gdy Rambo na niego skoczył. Bez

hałasu. Byle po cichu. Bez wystrzału. Nóż w rękę - wyrwał mu strzelbę - facet próbował się wdrapać na brzeg - Rambo wbił mu nóż w brzuch i targnął nim w górę aż po żebra.

- O Jezu - rzekł tamten, zaskoczony, ostatnia sylaba przeszła mu w cienki jęk i już nie żył.

- Co? - zapytał ktoś.

Rambo się mimo woli wzdrygnął. Już nie zdąży się ukryć.

- Nie mówiłem ci, żebyś przestał jęczeć nad swoimi nogami? - ciągnął ów głos. Nie. Nie. - No już, wkładaj te buty, zanim - drugi mężczyzna wyłaził z kotlinki, zapinając pasek u spodni, a gdy się spostrzegł, okazał się szybszy od kolegi. Skoczył po strzelbę, opartą o drzewo, i Rambo próbował jej dopaść pierwszy, ale nie zdążył, tamten chwycił za strzelbę - nie, nie! - złapał garścią za spust, rozległ się strzał na oślep i rozwiały się z nim nadzieje Ramba. Facet już miał palec na spuście, próbując oddać drugi strzał, gdy Rambo mu rozniósł czaszkę. Musiałeś, ty skurwysynu, wystrzelić i ostrzec ich? Byle mnie załatwić.

Mój Boże, i co ja teraz mam robić?

Tamci już się nawołują po lesie. W krzakach aż trzeszczy od łamanych gałązek, biegnących na przełaj ludzi. Pobliska sfera psów rozszczękała się. Ani dokąd uciekać, ani co robić. Są wszędzie. Wpadłem.

Niemalże się ucieszył. Koniec biegania, koniec z bólem w piersi, sprowadzą mu lekarza, dadzą mu jeść i łóżko. Jakies czyste ubranie. Wreszcie się wyśpi.

Jeśli go nie zastrzelą na miejscu, w przekonaniu, że on ciągle rwie się do walki.

Więc rzuci strzelbę i podniesie ręce do góry, będzie krzyczał, że się poddaje.

Odrzuciło go na tę myśl. Nie może tak stać i czekać aż po niego przyjdą. W życiu tego nie zrobił. To wstrętne. Musi być jakieś inne wyjście! Nagle pomyślał o kopalni i przypomniała mu się ostatnia z reguł: jeśli ma przegrać, jeśli mają go schwytać, to przynajmniej może sam wybrać miejsce, gdzie to nastąpi. A najkorzystniejszym dla niego miejscem jest kopalnia. Kto wie, jak sprawy się obrócą? Może po drodze uda mu się znaleźć jakieś wyjście.

Ludzie przedzierali się coraz bliżej w zaroślach. Jeszcze niewidoczni. Lada chwila. Dobrze, więc do kopalni. Nie ma czasu dłużej się zastanawiać i nagle znów przeniknął go całego zryw akcji, zmęczenie odeszło, rzucił się od potoku w głąb lasu. Przed sobą słyszał ich pędzących przez gęste zarośla. Uskoczył w lewo, pomknął, schyliwszy się nisko. Już dojrzał ich daleko z prawej, biegnących z łomotem w stronę potoku. Dojrzał ich mundury. Hełmy. Gwardia Narodowa. Tej nocy, gdy patrzył na szereg odległych o kilometry świateł, zażartowało mu się nieszczególnie, że Teasle sprowadził na niego całą armię, tymczasem, Jezu Chryste, przecież to rzeczywiście armia.

Ci z Gwardii Narodowej, posuwając się w głąb terenu, przekazywali jego topografię, opisując skały, bagna i kotliny, a zastępca nanosił je na pustą mapę. Teasle opadł na ławkę, wyczerpany, patrząc, jak tamten stawia krzyżyk w miejscu, gdzie nad potokiem znaleziono zwłoki dwóch cywilów. Jakby się przyglądał temu z daleka, otepiał wreszcie od połykanych wciąż pigułek. Pilnował się, aby nie spostrzegli tego Trautman i Kern, ale wkrótce po tym, jak nadeszła wiadomość o dwóch zabitych, rozprutym i zastrzelonym, poczuł ostry skurcz w okolicach serca, tak dotkliwy, aż się przestraszył. Jeszcze dwóch. To razem ilu zabitych? piętnastu? osiemnastu? Obracał w mózgu liczby, nie chcąc ich podsumować.

- Widać zmierzał do szosy, kiedy ci dwaj go dostrzegli - rzekł Trautman. - Wie, że spodziewamy się go w pobliżu drogi, więc teraz musi zawrócić w góry. Kiedy uzna, że to bezpieczne, spróbuje dotrzeć inną drogą do szosy w innym miejscu. Może tym razem na wschód.

- No to mamy go - stwierdził Kern. - Już wpadł. Linia oblawy przebiega między nim a wzgórzami, więc tam się nie przedostanie. Może iść tylko w stronę szosy, a tam czeka na niego druga linia naszej oblawy.

Teasle wciąż patrzył na mapę. Teraz odwrócił się.

- Nie. Chyba nie usłyszałeś? - rzekł do Kerna. - Chłopak prawdopodobnie już znajduje się w górach. Wszystko to widać na mapie.

- Ależ to nie ma sensu. Jak przedostałby się w góry przez linię oblawy?

- To łatwe - powiedział Trautman. - Kiedy ci z Gwardii usłyszeli za sobą strzały, jakaś grupa wyrwała się z linii, aby zawrócić i sprawdzić, co się tam dzieje. Robiąc to zostawili dziurę aż nadto wystarczającą, żeby się tamtędy przemknął z powrotem w góry. Oni wszyscy, jak ty, spodziewają się, że Rambo w każdym wypadku będzie uciekał jak najdalej od oblawy, więc niezbyt uważają, czy on się nie zbliża, aby się przez nich przemknąć. Lepiej powiedz im, żeby szli dalej w góry, zanim on się jeszcze bardziej odbije od nich.

Teasle już dawno się spodziewał tej reakcji ze strony Kerna. I oto nastąpiła.

- Czy ja wiem - odpowiedział Kern. - To się robi zbyt skomplikowane. Sam nie wiem, co lepsze. Bo przypuścimy, że on tak nie myślał. Przypuścimy, że nie zauważył tej przerwy i został tam, gdzie był, między obławą a szosą. W takim razie, gdybym kazał im się posuwać dalej, mógłbym zepsuć całą pułapkę.

Trautman uniósł ręce do góry.

- Przypuszczaj sobie, co ci się podoba. Nie moja sprawa. W ogóle nie mam ochoty wam pomagać. Jednak robię to. Ale nie zamierzam w kółko i w kółko tłumaczyć, co według mnie należałoby zrobić, a potem jeszcze, a niech szlag trafi, błagać, żebyście raczyli to zrobić.

- Chwileczkę, źle mnie zrozumiałeś. Ja nie kwestionuję wcale twojej opinii. Po prostu on w tej sytuacji może postąpić nielogicznie. A nuż się poczuje zaszczuty i zacznie biegać w kółko jak wypłoszony królik.

- Nie zacznie. - W głosie Trautmana pierwszy raz pojawiła się nieskrywana duma. - Ale gdyby, jeśli przypadkiem tak zrobi, to nie ty odpowiadasz za skierowanie obławy w niewłaściwym kierunku. Tylko ja. Muszę brać wszystko pod uwagę. W końcu my tu sobie teoretyzujemy. Nie mamy żadnego dowodu, aby się na nim oprzeć.

- Więc pozwól, że ja wydam rozkaz - rzekł Teasle i w tej chwili samochód jakby wzdrygnął się i zapadł pod nim o metr w dół, gdy nowy i jeszcze gorszy skurcz złapał go za pierś. Mówił dalej z wysiłkiem, podpartszy się. - Jeśli ten rozkaz okaże się błędny, chętnie sam poniosę odpowiedzialność. - Zesztywniał i wstrzymał oddech.

- Słuchaj, co ci jest? - odezwał się Trautman. - Połóż się natychmiast.

Teasle gestem opędził się od niego. Wtem rozległ się głos radiowca:

- Podają raport! - i Teasle sprężył się, aby przemóc boleśnie utykający rytm serca i słuchać.

- Kładź się - rzekł Trautman. - Albo ja cię położę.

- Zostaw mnie. Słuchaj!

- Tu dowódca Gwardii Narodowej nr 35. Nie wiem, co o tym sądzić. Chyba jest nas tylu, że psy tracą węch. Wyrwyją się i ciągną w góry zamiast ku drodze.

- Nie, wcale nie tracą węchu - wykrztusił Teasle, chwytając się za serce, głosem zdławionym z bólu, do Kerna. - Tylko zostaliśmy za nim daleko w tyle, kiedy ty się nie mogłeś zdecydować. Czy wreszcie potrafisz wydać ten rozkaz?

Gdy Rambo ruszył po łupkowym zboczach pod górę, do kopalni, kula łupnęła w skałę z lewej, kilka metrów od niego, i w lesie rozległ się wystrzał. Wpatrzony w otwór nad sobą, wspinał się ku niemu jak najprędzej, twarz osłaniając przed kamiennymi odłamkami, którymi bryzgały jeszcze dwie kule, trafiając na prawo od wejścia. W głębi tunelu, już bezpieczny od pocisków, przystanął wyczerpany i wsparł - się bezwładnie o ścianę, dysząc. Nie dał rady utrzymać dystansu między sobą a goniącymi. Przez te zebra. Teraz już ci z Gwardii Narodowej byli za nim o niecały kilometr, szybko przybliżając się i tak rozgorączkowani tym polowaniem, że strzelali, nie mając przed sobą jasnego celu. Wojacy od święta. Nawet szkoleni w tym, ale tak niedoświadczeni, że nie umiający się opanować i w podnieceniu gotowi nie wiadomo co zrobić. Wedrzeć się głupio do środka. Ostrzelać wewnątrz na oślep. Słusznie zrobił, kryjąc się tutaj. Gdyby spróbował się poddać nad potokiem, z pewnością pośpieszyliby się, zastrzeliliby go. Potrzebny mu jakiś bufor między sobą a nimi, żeby nie zaczęli strzelać, nim cokolwiek wyjaśni.

Zawrócił mrocznym korytarzem ku wyjściu, do światła, przyglądając się sklepieniu. Znalazł miejsce niebezpiecznie spękane, wytrącił podtrzymujące je stemple i uskokzył, nim walący się strop zdąży go przygnieść. Ryzykiem się nie przejmował. Jeśli zawal okaże się tak rozległy, że całkiem odetnie wyjście i zatamuje dostęp powietrza, i tak wykopią go, zanim się udusi. Ale choć wypchnął te podpory, nic się nie stało i musiał wziąć się za następne, o trzy metry dalej i tym razem, kiedy je wypchnął, strop runął, mijając go o włos z hurgotem walących się skał, aż w uszach mu zadzwoniło. Pył wypełnił korytarz, więc odstąpił krztusząc się, kaszląc i czekając, kiedy pył osiadzie, aby zobaczyć, ile tych skał się zważyło. Wątku smuga światła majaczyła skroś pyłu, a później kurz osiadł i okazało się, że jest ze trzydzieścimetrowy prześwit między zaporą skalną a potrzaskanym stropem. Jeszcze trochę kamieni spadło i prześwit zmniejszył się o połowę. Słabszy niż dotąd przeciąg znosił trochę pyłu w głąb korytarza. Zrobiło się chłodniej. Osunął się po ścianie na wilgotny grunt, nasłuchując, jak strop trzeszczy i osiada. Po niedługiej chwili usłyszał też niewyraźne głosy na zewnątrz.

- Zabiło go? Jak uważasz?

- A nie chciałbyś wczolgać się i sprawdzić?

- Ja?

Kilku się na to roześmiało. Rambo też się uśmiechnął.

- Jaskinia albo kopalnia - rzekł inny, głośno i wyraźnie, Rambo domyślił się, że mówi do krótkofalówki. - Widzieliśmy, jak wbiegł do środka i potem zawaliło się. Ale był kurz! Mamy go na pewniaka. Chwileczkę, nie rozłączaj się. - A potem jakby do kogoś obok: - Weź tę swoją głupią dupę z wejścia. Jeśli żyje, może cię zobaczyć i strzelić.

Rambo wpełzł ostrożnie na osypisko, zapierając się kolanami o tępe kamienie, aby wyrzeć u góry przez szparę. Dojrzał wylot chodnika i obramowane nim łupkowe zbocze, nagie drzewa i niebo na zewnątrz, a potem z lewa na prawo przebiegł żołnierz z manierką podskakującą na biodrze.

- Ty, nie słyszałeś, jak kazałem ci nie pokazywać się w otworze? - zawołał ten pierwszy, niewidoczny, gdzieś na prawo od wejścia.

- Stamtąd nie słychać, co mówisz do radia.

- O Jezusie. Nie ma co przedłużać. - Chcę mówić z Teaslem - zawołał przez szparę. - Chcę się poddać.

- Co takiego?

- Niech przyjdzie Teasle. Chcę się poddać. - Słowa jego rozległy się echem w korytarzu. Nasłuchiwał bacznie, czy strop nie trzaśnie, aby się na niego zwalić.

- To ze środka. To on.

- Poczekaj, on tam żyje - nadał żołnierz przez radio. - Mówi coś do nas. - Chwila przerwy i głos jego zabrzmiał bliżej wejścia, choć nadal się nie pokazał. - Ty w środku, czego chcesz?

- Nie będę powtarzał w kółko. Niech przyjdzie Teasle. Chcę się poddać.

Poszeptali coś między sobą i tamten znów odezwał się do radia, przekazał jego słowa. Żeby to się prędzej skończyło, myślał Rambo. Nie spodziewał się, że poczuje w sobie taką pustkę, gdy się podda. Teraz, już po walce, był pewien, że przesadził co do swego zmęczenia i bólu w żebrach. Na pewno wytrzymałby dłużej. Na wojnie wytrzymał. Później poruszył się i dźgnęło go w żebrach, więc nie przesadzał.

- Hej, ty w środku - zawołał mężczyzna, wciąż niewidoczny. - Słyszysz mnie? Teasle mówi, że nie może tu przyjść.

- Cholera, przecież na to czekał, nie? Powiedz mu, do diabła, niech tu wlezie na górę.

- Ja nic nie wiem. Oni tam mówią, że nie może.

- Dopiero co mi powiedziałaś, że Teasle mówi. A teraz oni. Więc gadałeś z Teaslem czy nie? Domagam się, żeby on sam tu przyszedł. On ma zagwarantować, że ktoś nie zastrzeli mnie przez pomyłkę.

- Nic się nie martw. Jeśli któryś z nas cię zastrzeli, to nie przez pomyłkę. Jak ostrożnie stamtąd wyleziesz, to pomyłki żadnej nie będzie.

Zastanowił się.

- Dobrze, ale musicie mi pomóc w odwalaniu tych skał. Sam nie poradzę.

Znów coś poszeptali, a później mężczyzna rzekł:

- Twoja strzelba i nóż. Wyrzuć je tutaj.

- Wyrzucę też rewolwer. Nawet o nim nie wiecie. Załatwiam to z wami uczciwie. Nie jestem taki głupi, żebym próbował się przez tyłu was przedrzeć, więc powiedz swoim ludziom, żeby trzymali ręce z daleka od spustu.

- Powiem, jak usłyszę, żeś to wyrzucił.

- Już wyrzucam.

Strasznie mu się nie chciało pozbywać tych rzeczy. Bez nich się poczuje tak ohydnie bezbronny. Wyglądał przez szparę nad osypiskiem, widział bezlistny las i niebo, przyjemnie mu było czuć na twarzy chłodny powiew, ciągnący z tej szczeliny w głąb korytarza.

- Nie słyszę, żeby coś wypadło - powiedział skryty mężczyzna. - Mamy tu gaz łzawiący.

Aha. Ten sukinsyn nie pofatyguje się nawet wyleźć z ukrycia.

Przepychał strzelbę. Już był gotów ją puścić, gdy nagle zrozumiał. Ten powiew. Ten podmuch idący w głąb korytarza. Z taką siłą? Musi gdzieś uchodzić. Więc do tej szczeliny na końcu i tamtędy go ssie, ciągnie w jakieś inne przejście podziemne. Drugie wyjście! Nie ma innego wytłumaczenia. Inaczej powiew nie miałby gdzie uchodzić. Adrenalina go spiekła w żołądek. Jeszcze nie przegrał.

- Gdzie ta broń, pytam! - odezwał się żołnierz.

W dupie, pomyślał Rambo, tam jej sobie poszukaj. Wyciągnął z powrotem strzelbę i serce mu waliło z podniecenia, gdy pobiegł w głąb chodnika. Żar ogniska już wygasł i niebawem przyszło mu po omacku szukać miejsca, gdzie je rozpalili. Zgarnął jodłowe gałęzie i nie spalony chrust, poniósł je głębiej, aż pochylając głowę pod zniżającym się stropem usłyszał kapiącą wodę i natknął się na ścianę zagrażdżającą przejście. Nowe ognisko,

ile się da, wskazujące mi drogę. Później dym z jodłowych gałęzi pomoże mu rozpoznawać, w którym kierunku ciągnie.

A nuż. O Jezu.

Znów ten ból i Teasle aż zgiął się w przód na ławce, zmrużył powieki, patrząc na ciemną plamę oleju na deskach. Długo już nie poradzi. Potrzeba mu snu. Och, jak by zasnął. Niech mu doktor coś da. Nie wiadomo, ile się już z uszczerbkiem dla siebie nadszarpał. Dzięki Bogu, że to się kończy.

Jeszcze trochę, pomyślał. I koniec. Jeszcze tylko trochę wytrzymaj i już go złapią.

Zaczął, aż Trautman i Kern nie będą patrzeć, i niezgrabnie wygrzebawszy je połknął jeszcze dwie pigułki.

- W nocy to pudełko było pełne - odezwał się ku jego zaskoczeniu Trautman. - Za dużo ich łykasz.

- Nie. Trochę mi się przypadkiem rozsypało.

- Kiedy? Nie zauważyłem.

- Jak spałeś. Przed świtem.

- Aż tyle nie mogło ci zginać. Nie powinienes ich nadużywać. Zwłaszcza jak pijesz tyle kawy.

- Nic mi nie jest. Po prostu skurcz.

- Pójdiesz do lekarza?

- Nie teraz.

- W takim razie ja go tu wzywam.

- Dopiero jak go złapią.

Podszedł Kern. Dlaczego mu nie dadzą spokoju.

- Przecież go już złapali - powiedział Kern.

- Nie. Dopiero osaczyli go. To nie to samo.

- Tak jakby złapali. Teraz to już tylko kwestia czasu. Co ci zależy na tym, żeby tu sterczeć i męczyć się niepotrzebnie, aż dostaną go fizycznie w ręce?

- Nie umiem tego wytłumaczyć. Nie zrozumielibyście.

- W takim razie wzywaj lekarza - powiedział Trautman do radiowca. - i samochód, żeby go odwiózł do miasta.

- Nie ruszę się stąd, powiedziałem. Przyrzekłem.

- Komu? O co ci chodzi?

- Przyrzekłem, że dopilnuję aż do końca.

- Komu?

- Im.

- Tym ze swojej obławy? to chcesz powiedzieć? Orvalowi Kellermanowi i tym pozostałym, co zginęli?

Nie chciało mu się o tym gadać.

- Tak.

Trautman spojrzął na Kerna i potrząsnął głową.

- Powiedziałem, że nie zrozumiecie - rzekł Teasle.

Odwrócił się ku tyłowi ciężarówki i słońce poraziło go w oczy. Przestraszony, w ciemności, leżał na plecach. Przypomniał mu się łoskot desek w podłodze ciężarówki, gdy upadł.

- Uprzedzam was, nie wzywajcie doktora - powiedział z wolna, nie mogąc się ruszyć. - Ja po prostu leżę i odpoczywam.

Płomień oświetlił szczelinę, w którą podmuch unosił dym. Rambo zawahał się chwilę, a potem wsunął strzelbę między pas i spodnie, ujął pochodnię i wcisnął się między dwie ściany skalne. Wąskie dno szczeliny było mokre i śliskie pod butami, nachylało się w dół. Z plecami przyciśniętymi do jednej ze ścian, aby mniej ocierać się żebrami o drugą, przepychał się coraz dalej i niżej, a nad głową szczelina też robiła się coraz niższa, aż w pomarańczowych refleksach od pochodni, migotliwych na mokrej skale, zobaczył, że strop i ściany zwężają się w dziurę wiodącą pionowo w dół. Potrzymał nad nią pochodnię, ale jej blask nie sięgał zbyt głęboko i wszystko, co mógł wypatrzeć, to rozszerzający się w dół komin skalny. Wyjął nabój do strzelby i upuścił go, licząc do trzech, nim uderzył o dno z wątlym, metalicznym podźwiękiem. Trzy sekundy to niezbyt głęboko, więc opuścił tam jedną nogę, a potem drugą i z wolna cały się wcisnął. Ale gdy się już wsunął po pierś, zebra mu się zaklinowały w dziurze i nie mógł się dalej opuścić, chyba że z wielkim bólem. Wpatrzony w ogień u wejścia do szczeliny, które przesłaniał dym, drażniący go w nosie, usłyszał w kopalni jakieś odgłosy. Znów się zaważyło, pomyślał. Nie, to głosy ludzkie, okrzyki, których zmacony bełkot aż tu dochodzi. To znów oni. Wciągnął klatkę

piersiową, ile mógł, oblewając się potem wtłoczył swe żebra w dziurę, zamykając oczy, pchnął i precyzyjnie się. Targnął nim taki spazm bólu w piersiach, że o mało nie spadł. Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Bo nie miał pojęcia, co znajduje się pod nim.

Z głową ciągle sterczącą z dziury trzymał się uparcie krawędzi rękoma i łokciami, gdy jego zwieszony stopy błądziły po omacku, szukając uskoku albo szczeliny. Komin był gładki i śliski, jeszcze trochę się opuścił w głąb, ale wciąż nie miał gdzie oprzeć stóp. Ciężar własnego ciała naprężył mu klatkę piersiową i rżnęło w żebrach. Słyszał, jak tamci coś niezrozumiale wykrzykują w kopalni, dym z własnego ogniska lży mu wyciskał z oczu, już miał puścić się i spaść na oślep, jakkolwiek się uda, w nadziei, że się tam nie pogruchoce o skały, gdy stopa jego dotknęła czegoś cienkiego i okrągłego, w dotyku jak drewno.

Górny szczebel drabiny.

Z kopalni, pomyślał. Cóż by innego. Facet, który coś stąd wydobywał, widać badał to miejsce. Skwapliwie opuścił się na wymaczany szczebel, który ugiął się, lecz wytrzymał. Zszedł ostrożnie na drugi szczebel i ten pod nim pękł, przeleciał jeszcze dwa, łamiąc je, nim się zatrzymał. Odgłos jego upadku rozległ się w zamknięciu takim echem, aż go zaskoczył. Gdy ucichło, posłuchał, czy go nie dobiegną ich okrzyki, ale już nie słyszał ich, głowę mając poniżej otworu. Jednak rozluźniwszy się poczuł, że kolejny szczebel się pod nim ugina i bojąc się, czy nie spadnie aż na dół, czym prędzej poruszał pochodnią, aby się przekonać, co tam jest. Cztery szczeble i już okrągło zakłęśte dno. Kiedy deszcz pada, pomyślał, woda tu spływa. Dlatego skała jest tak wygładzona.

Sięgnął tego dna, wstrząsany dreszczem. Rozejrzał się. Wyjście było jedno, zagłębił się w nie. Szczelina szersza od poprzedniej, też wiodąca w dół.

O skałę był oparty stary kilof. Zardzewiałe żelazo na drzewcu brudnym i spaczonym od wilgoci. W migotliwym świetle pochodni rękojeść rzucała cień na skałę. Dlaczego ten górnik zostawił narzędzia tu a nie w górnym chodniku?

Nie mógł tego zrozumieć. Obszedł zakręt, słysząc gdzieś plusk wody, i znalazł go. Jego resztki. W pomarańczowym blasku szkielet był równie ohydny jak pierwszy okaleczony żołnierz, jakiego ujrzał. W ustach poczuł smak jakby miedzianych monet, gdy najpierw cofnął się widząc kościotrupa, a potem dał ku niemu parę kroków. Kości miały pomarańczowy odcień od jego pochodni, ale nie wątpił, że naprawdę są szare jak ten ił, który się wokół nich nagromadził, a zachowały się doskonale. Ani jedna kosteczka nie ruszona z miejsca, nie uszkodzona. Nic nie wskazuje, co spowodowało zgon. Po prostu jakby się ułożył do snu i już się nie zbudził.

Może umarł na serce?

Albo gaz trujący. Pociągnął badawczo nosem, ale nic nie wyczuł oprócz stęchłej wilgoci. Ani zawrotu głowy, ani mdłości w żołądku, w ogóle żadnego z objawów zatrucia gazem.

Cóż więc mogło go, u diabła, zabić?

Znów zadygotał i zbrzydził go widok tych świetnie zachowanych kości, więc przestąpił je, byle szybciej się stąd wydostać. Zszedł jeszcze niżej: wtem szczelina się rozdzieliła. Którędy? Niewiele mu przyjdzie z dymu. Tak się już rozproszył, że nie widać, gdzie ciągnie, za to węż tak mu stępił, że i woń już nie wskazuje drogi. Pochodnia przygasła w wilgotnym powietrzu, pełgając od czasu do czasu, ale w żadnym określonym kierunku. Pozostało tylko wrócić do chłopiących zabaw: palec w usta, poślinić go i wystawić: w jeden otwór, a potem w drugi. Poczł lekki chłodek od powiewu na mokrym palcu, gdy wytknął go w prawo, i tamtędy niepewnie ruszył w dół, czasem się przeciskając, to znów kuląc i garbiąc. Pochodnia coraz wątłej paliła się w tej wilgoci. Dotarł do kolejnej grupy kilku otworów i pomyślał, że przydałaby się lina czy sznurek, aby je rozwijać za sobą i nie zabłądzić, gdyby mu się zdarzyło wracać.

Pewnie, a latarka by ci się nie przydała? i może kompas? No to skocz do sklepu i kup sobie! Dość tych żartów.

Powiew jakby szedł znów na prawo, a przejście, im dalej, tym się robiło zawilsze. Coraz bardziej kręte i zawracające. Pełne odgałęzień. Wkrótce już nie będzie pamiętał, jak tu doszedł. Szkielet pozostał za nim w odległości równie wielkiej, co i mylącej. Dziwne mu się wydało i zabawne, że gdy tylko pomyślał: może zawrócić i cofnąć się po własnych śladach? uświadomił sobie, że już nie mógłby tego zrobić, bo zabłądził. Wcale nie miał jeszcze zamiaru wracać, tylko się nad tym zastanowił: jednak wolałby mieć ten wybór i możliwość zawrócenia, gdyby nagle przeciąg się skończył. I tak był już nadzwyczaj słaby, aż pomyślał: czy nie przeoczył po drodze jakiejś szczeliny skalnej, przez którą ten prąd powietrza się wydobył na zewnątrz? Boże! wtedy mógłby się tu błąkać do śmierci, aż skończy jak ten szkielet.

Od paniki uratował go bełkotliwy odgłos; pomyślał, że to już oni, ale jakżeby go mogli znaleźć w tym labiryncie? i po chwili rozpoznał odległy hałas pędzącej wody. Ani się obejrzał, jak przyspieszył, zmierzając

wreszcie do uchwytne go celu, potrącając o skały, wypatrując w ciemności dalej, niż zdoła sięgnąć blask jego pochodni.

Wszystko ucichło i znów był sam. Zwolnił i zatrzymał się, oparł o ścianę, czując odpływ nadziei. Nie było żadnego szumu pędzącej wody. Wyobraził go sobie.

Ale zdawał się tak rzeczywisty. Trudno uwierzyć, aby wyobraźnia mogła go aż tak oszukać.

Więc gdzie się podział ten odgłos? Jeżeli tak rzeczywisty: co się z nim stało?

Wreszcie uświadomił sobie: ukryty zakręt! W pośpiechu, by dotrzeć do źródła tych odgłosów, przestał zważać na inne wyjścia. W takim razie wróć! Szukaj! i czyniąc to znów usłyszał ten szum. Znalazł otwór po wewnętrznej stronie zakrętu. Wsunął się tam i w miarę, jak szedł, hałas począł narastać.

Stał się ogłuszający.

Płomień jego pochodni całkiem zmalął i przygasł, kiedy szczelina go wyprowadziła na występ skalny, a pod nim, głęboko w dole, kotłująca się rzeka wypływała z otworu w skale, z rykiem wpadając w kanał i ginąc pod skalnym nawisem. Tutaj! Więc to tu musi na zewnątrz uchodzić podmuch.

A jednak nie. Skotłowana woda wzbija się aż nad półkę skalną i nie ma pod nią miejsca, któreby mogłoby ujść powietrze. Mimo to podmuch czuło się tu mocno i wyraźnie: musi gdzieś w pobliżu być inne wyjście. Pochodnia zasyczała i rozejrzał się gorączkowo, by utrwalić w pamięci kształt skalnego nawisu, na którym się znalazł i już ciemność, tak doszczętna i jednolita, w jakiej nigdy się jeszcze nie znalazł, w dodatku przygniatająca grzmotem tej kaskady pod nim, w którą tak łatwo można wpaść, jeśli by nie szukał drogi po omacku nader ostrożnie. Sprężył się i próbował oswoić z ciemnością. Ale na próżno. Zaczął tracić równowagę, chwiał się, wreszcie przypadł do ziemi na czworakach, na dłoniach i kolanach pełzając ku niskiemu przejściu na końcu tej półki, które dojrzał w ostatniej chwili, zanim światło prychnęło i zgasło. Aby się przedostać, musiał czołgać się płasko na brzuchu. Tu skała się okazała wyszczerbiona. Odzież się na nim rwała, drapała po skórze i wyłamywała mu zębra, tak że raz po raz jęczał.

Aż wrzasnął. Już nie z powodu zębów.

Bo gdy się tak wczołgał na oślep do pieczary, gdzie było dość miejsca na podniesienie głowy, sięgnął przed siebie, aby wczepić się w grunt i podciągnąć, i dłoń zapadła mu się w jakąś papkę. Wilgotne świństwo plasnęło go znieczeka w kark, coś ugryzło w kciuk i coś drobnego wbiegło po ramieniu. Leżał w gęstym plugastwie, które przesiąkało mu przez dwie podarte koszule i rozlażyło się po brzuchu. Nad sobą usłyszał pisk i szelest jakby kartonowych skrzydeł. O Jezu, nietoperze! Oto leży w ich łajnie, a te drobne i łaskotliwe, których już z pół tuzina biega mu, poszczypując, po rękach, to jakieś żuczki - gnojarze i padlinożercy - karmiący się tym gównem i chorymi nietoperzami, które tu spadną. Każde ścierwo oskubią do kości, a teraz jemu się wgryzają w żywe ciało na rękach. O Jezu! Szamotał się jak wariat. Chryste, byle z tej dziury w tył. Strzepując je sobie z ramion i dłoni, objając się na oślep głową i wykręcając boleśnie zębra. Wściekliczna - o Boże - w każdej kolonii ma ją co trzeci nietoperz. Jeśli zbudzą się i wyczują go, mogą się na wrzeszczącego rzucić i pokryć go całego, kłując. Dość! powiedział sobie. Przestań, bo je na siebie ściągniesz. Milcz! Już dolatywał go trzepot ich skrzydeł. Ale nie mógł przestać krzyczeć. Związał się, byle stąd uciec, i już był z powrotem na skalnej półce, zgarniając to sobie z rąk i rozcierając. Czy na pewno już ich nie ma na sobie? Wciąż czuł na skórze łaskotanie mnóstwa owadzych nóżek. Mogą tu za mną wyfrunąć, pomyślał nagle, i znów zaczął się wic i odpelzać wstecz, aby dalej od niskiego wejścia do tej dziury, gubiąc się po ciemku. Jedna noga się obsunęła za krawędź i zawisała w próżni. Poderwał go strach przed upadkiem. Szarpnął się w przeciwnym kierunku i huknął o skałę, roztrzęsiony, gorączkowo zgarniał z siebie to maziste łajno, dłonie wycierając o kamień, macając się po lepkiej koszuli. Co tam go pod nią drapie? Sięgnął i złapał coś, zgniótł w palcach kruchy grzbiet i poczuł wilgotną, miękką zawartość. Wzdrygnął się i odrzucił to coś ku ryczącej wodzie.

Nietoperze. Siedlisko zarazy. Choroba. Smród ich gnijącego łajna gryzł go w nosie i w gardle. Na to umarł ten górnik. Wściekliczna. Nie wiedział, kiedy go któryś ukąsił, a po jakimś czasie choroba mu odebrała zmysły; powłókł się w obłądnie przez las, do kopalni, wyszedł z niej i wrócił; potem wlaź do szczeliny i błędził, aż osunął się gdzieś i tak umarł. Biedak na pewno myślał, że dostaje świra od tej samotności. Przynajmniej z początku. A jak mu się w głowie zaczęło mieszać, to już było za późno. A może pod koniec wiedział, że nic mu nie pomoże i spuścił się do tej rozpadliny, aby tam umrzeć, nie stanowiąc zagrożenia dla innych.

Może? Co za może! A co ty, u diabła, wiesz o tym? Jeśli zapadł na wścieklicznę, to czułby wstręt do wody, odrzucałby go sam jej zapach, myśl o niej. Więc na pewno by się nie wpakował do tej mokrej dziury. Po prostu wyobrazasz sobie, jakbyś to ty w niej umierał.

Jeśli nie objedzą cię żywcem.

O czym ty gadasz? Nietoperze nie mogą cię zjeść. Przynajmniej nie takie jak tutejsze.

Nie. Ale robactwo.

Jeszcze się trząsał i starał się uspokoić. W tej pieczarze wiało dość mocno. Tylko że nie można tamtędy przejść. A jak wrócić na górę? Nie wiedział. Trudno. Nie ma się co ludzi. Tutaj utknął.

Ale wciąż nie mógł w to uwierzyć. Utknął? Trzeba się przeciwstawić panice i udawać przed sobą, że jest jakieś wyjście. Usiąść pod skałą i rozluźnić się, i jak dłużej pomyśli, może się naprawdę znajdzie jakieś wyjście. Ale wiedział, że naprawdę jest tylko jedno: z przepływem powietrza i przez grootę nietoperzy. Oblizał usta i pociągnął z manierki ciepłej wody o smaku żelaznych rur. Wiadomo, że musisz wleźć między te nietoperze, powiedział sobie. Jak nie, to będziesz tu siedział, aż się zagłodzisz, pochorujesz się z wilgoci i zdechniesz.

Albo zabijesz się. Tego również cię nauczono. Gdybyś już nie mógł znieść.

Wiesz, że tego nie zrobisz. Nawet jakbyś stracił przytomność i był pewien, że umrzesz i tak pozostałaby jakaś szansa, że oni, szukając po tych szczelinach, trafią tu i znajdą cię nieprzytomnego.

Ale tak nie będzie. Wiadomo, że trzeba wejść za tym podmuchem do groty z nietoperzami. Czyżbyś o tym nie wiedział? Nie udawaj. Bo wiesz. Więc ruszaj się, nie ma na co czekać! pomyślał. Lepiej mieć to za sobą.

Tymczasem siedział po ciemku na skalnej półce, przysłuchując się, jak woda pod nim huczy. Wiedział, co z nim czyni ten odgłos. Że jednostajny szum stępa mu słuch i że go z wolna usypia. Potrząsnął głową, aby nie dać się usnąć, i postanowił od razu wejść między nietoperze, póki jeszcze ma dość energii, ale jakoś nie mógł się ruszyć; szum i łoskot wody go wciąż ogarniał.

Kiedy się zbudził, znów leżał na krawędzi, jedno ramię zwisało w głąb. Ale był tak rozespany, iż tym razem nie przejął się zbyt świadomością, jak niewiele brakowało mu do spadnięcia. Tak zmęczony, że właściwie już niczym się nie przejmował. Tak rozkosznie mu było wyciągnąć się z ręką zwieszoną w pustkę. Jego uspięte ciało nic nie czuło, nawet żebra, teraz odrętwiałe, już mu nie sprawiały kłopotu.

Umrzesz tutaj, pomyślał. Jeżeli zaraz się nie ruszysz, ciemność i głośny szum tak cię nadwątlą i ogłupią, że już do niczego się nie będziesz nadawał.

Nie mogę się ruszyć. Zbyt wielki kawał drogi mam poza sobą. Muszę odpocząć.

Na wojnie przedzierałeś się dalej i dłużej.

Owszem. I dlatego tu jestem wykończony.

No to umieraj sobie.

Nie chcę umrzeć. Po prostu sił mi zabrakło.

- Rusz się, do cholery! - powiedział na głos i w szumie wody słowa te zabrzmiały płasko i bez echa. - Prędejsz!

Po prostu włącz czym prędzej i jazda naprzód, nie patyczkuj się i zaraz będziesz miał za sobą, co najgorsze.

- Cholera, jakie to słuszne - powiedział i odczekał, i powtórzył to samo.

Ale gdyby później spotkało mnie, pomyślał, coś jeszcze gorszego, to nie wytrzymam.

A skądże. Najgorsze jest właśnie to. Nic gorszego już nie może cię spotkać.

Mam nadzieję.

Z ociąganiem się popełnił w ciemności ku wejściu do groty. Zatrzymał się, zebrał w sobie i wczuł do środka. Umówmy się, że dotykasz budyniu z tapioki, powiedział sobie, zmuszając się do uśmiechu. Ale gdy wyciągnięta dłoń utonęła w tym łajnie i poczuł w nim coś strupowatego, ręka cofnęła się odruchowo. Wetchnął siarkowy smród gnoju i zgnilizny. Te gazy na pewno są trujące; kiedy już się w tym pogrąży, trzeba się śpieszyć. No, jednak wcisnęli ci to gówno, powiedział sobie, w dodatku nietoperzowe - niby że znów taki żarcik - jeszcze zwlekał przez moment i dał nura w łajno, starając się czym prędzej wygramolić i stanąć na nogach. Już go zemdlilo i w głowie zakręciło się od wyziewów. Gnój wezbrał mu po kolana i coś go trącało w nogawki, gdy w nim brodził. A powiew szedł na wprost.

Nie. Znów pomyłka. Ciągnęło nie tam, ale stamtąd. Inny prąd powietrza. A ten, z którym się posuwał, widocznie uszedł stąd przez jakiś inny otwór.

I jeszcze jedna pomyłka. Jakkolwiek by się pragnął śpieszyć, przypomniał sobie, że nie wolno. Grunt może się urwać pod nogami. Każdy krok, nim go uczyni, trzeba sprawdzać wysuniętą stopą: i tak szurając do przodu spodziewał się z każdym krokiem, że teraz już stąpnie w pustkę, a nie w łajno i maź.

Odgłos w grocie się zmienił. Przedtem były popiskiwanie i trzepot skrzydeł, a teraz nie słyszał nic oprócz chlupotania swych nóg w płynnym, głębokim bloku i stłumionego ryku wody po tamtej stronie otworu. Widać nietoperze odleciały. Czyli że dłużej spał, niż mu się zdawało, aż zrobiła się noc i nietoperze wyleciały na łów i żer. Człapał dalej na podmuch, od smrodu aż go mdliło, ale przynajmniej one gdzieś przepadły i już nie był tak spięty.

W nos pacnęła go gęsta kropla zgnilizny.

Stracił ją z obrzydzeniem i włoski na karku zjeżyły mu się, kiedy grota cała wybuchła tysiącami skrzydeł i podmuchów. Tyle przeleżał na skalnej półce, że ryk wody chyba go trochę ogłuszył. Nietoperze były tu cały czas, piszcząc i kokosząc się, jak przedtem, tylko jego stępiony słuch ich nie rejestrował, aż raptem powietrze okazało się pełne nietoperzy, szeleszczących tuż obok niego, kiedy wrzasnął i zakrył uszy rękoma.

Wpadały na niego, ich błoniaste skrzydła chlastały go po twarzy, ich wysoki skrzek rozlegał się u samych uszu. Odrzącał je, młóćąc ramionami w powietrzu, potem osłaniał sobie głowę i znów młócił. Brnął naprzód, rozpaczliwie próbując się wydostać, potykał się, padał na kolana, chłodna maź już mu sięgała do pasa, przesiąkając aż do genitaliów. A nietoperze leciały na niego i leciały, nie kończące się rojowisko, kłębiąc się i kotłując. Dźwignął się i zatoczył, z podniesionymi rękoma, tłukąc na oślep. W powietrzu było ich pełno. Nie mógł oddychać. Przykucnął i bił po ciemku, osłaniając się. Zawirowały ku niemu z prawej, trącąc go, śmigając przez włosy. Obrócił się i nadstawił im plecy, skulił się jeszcze bardziej, ciarki go przeszły. Boże! Boże! Uchylił się w lewo, pośliznął i upadł, łupnąwszy kością policzkową o skalną ścianę. Od bólu tego uderzenia zrobiło mu się aż biało w mózgu i ledwie się zdołał wyprostować, chwając się i trzymając za spuchnięty policzek, a nietoperze wciąż zalewały go, przelatowały, niemal pchały go po tej ścianie. Zdesperowany, pobity i na wpół nieprzytomny, poczuł, jak coś w nim nagle wzbiera, prze i nareszcie pęka. Nie żeby coś w jego ciele, tylko w samym ośrodku tego, co dotychczas go napędzało. Ale na tym właśnie wszystko polega. Przestał z nimi walczyć, poddał się im, dał się pchać i nieść, i potykał się razem z nimi, opuszczając po trochu ręce, i w tym przedziwnym wyzwoleniu się z trwogi i desperacji, całkiem już zrezygnowany i bierny, jak nigdy przedtem obojętny na wszystko, co ma się z nim stać, pojął nagle, o co im chodzi. Wcale go nie atakują. Lecą do wyjścia. Nie zdołał powstrzymać śmiechu, dygocząc z ulgi. Na dworze musi być noc. Wyczuły ją, przywódca dał im sygnał i zmiotło je, wszystkie naraz, ze stropu jaskini ku wyjściu, kiedy on tu akurat był wśród nich, przerażony, że go atakują. Chciałeś mieć sznurek, żeby po nim znaleźć wyjście? pomyślał. No i masz go, ty głupi, ślepy kutasie! Staczasz tu z nimi heroiczne walki, a tymczasem one bez przerwy ci pokazują drogę.

Od tej chwili tylko podążał za nimi, przestępował ostre krawędzie szukał zapadlisk i wymacywał przed sobą drogę. Niebawem ich pisk i muśnięcia skrzydeł stały się tak zwykłe i znajome, jak gdyby on i one zdani byli na swe towarzystwo, dopóki go nie przegoniły; jeszcze garstka zapóźnionych przefrunęła obok i został sam, a jedyny, echem rozlegający się odgłos wydawały jego macające na oślep dłonie i buty na skalnym podłożu. Rozkoszny, chłodny i mocny podmuch ogarniał mu twarz i nadstawiając ją myślał o tym, jak nietoperze mu wskazały drogę do wyjścia, i poczuł do nich dziwną sympatię, aż brakowało mu ich teraz, gdy odleciały, jakby pomiędzy nim a nietoperzami zadzierzgnęła się jakaś więź i pękła. Znowu cieszył się, że oddycha, czyszcząc sobie nozdrza, gardło i płuca, zacierając w ustach posmak łąjna. Doznawał elementarnej satysfakcji, dotykając rękoma szorstkiej skały, po raz pierwszy świadomie namacalnej, i serce mu zaczęło szybciej bić, gdy pnąc się pod górę wyczuł palcami ziemię, cudownie gruzełkową i piaszczyście sypką. Jeszcze się nie wydostał. Po prostu deszcze naniósł tej ziemi przez pęknięcia w skale, czuł jednak, że już niedaleko i wytrwale piał się do góry, bez pośpiechu, rozkoszując się ziarnistym dotykiem tych osadów, jakby się wdrapywał na piękne zbocze.

Położył się wreszcie u jego szczytu, wchłonał zapach już otwartej przestrzeni, smakując go: uschłe liście, wiatr idący po wysokiej trawie, dym palonego drewna. Już tylko parę kroków. Sięgnął ostrożnie i dłoń jego trafiła na skałę. Pomacał wokół i okazało się, że skała zastępuje mu drogę ze wszystkich trzech stron. Tak blisko do wolności, ale w pułapce. Jakkolwiek spokojny już i zadowolony z siebie, nie sądził, aby teraz wystarczyło mu sił na wysoką wspinaczkę.

Więc nie myśl o wspinaczce, powiedział sobie. Nie przejmuj się. Albo uda ci się, albo nie uda. Jeżeli głęboko, to nie poradzisz. Więc nie przejmuj się.

Dobrze, pomyślał, sadowiąc się wygodnie na miękkiej ziemi, odpoczywając, przywykając do zmian w samym sobie. Nigdy jeszcze nie był tak świadom wszystkiego, tak pogodzony. Co prawda zdarzało mu się trochę podobne uczucie już i dawniej, w niektórych momentach akcji. Wykonywał wtedy precyzyjnie i gładko każdy ruch. Bieg - obrót i złożenie się do strzału - lekkie ściągnięcie cyngla odrzut wyczuwalny dokładnie w całym ciele - od ich gracji zależało przecież jego życie - i w takiej chwili bywał pogrążony w sobie, bez żadnej myśli, tylko ciało, idealnie zestrojone z działaniem. Sprzymierzeni krajowcy w tej wojnie mówili, że na tym polega ścieżka zen, którą dochodzi się do czystego i zastygłego w sobie momentu, jaki osiągnąć można tylko po długich, wytężonych ćwiczeniach, przez koncentrację i postanowienie dojścia do pełnej doskonałości. Ta część ruchu, gdy sam ruch ustaje. Słowa ich nie dały się dokładnie przełożyć na angielski i twierdzili, że choćby to było możliwe, i tak chwili tej nie sposób opisać. To uczucie pozaczasowe, nie do wytłumaczenia w czasie,

trochę dające się porównać do orgazmu, lecz mniej określone, gdyż nie umiejscowione w ciele, fizycznie wszechobecne.

Ale to, co teraz odczuwa, jest inne. Żadnego ruchu i uczucie nie zawarte w jednej, wiecznej sekundzie. To każda sekunda. Siedząc na miękkiej ziemi, plecami wygodnie dopasowany do skały, dobierał w myśli słowa i wreszcie zdecydował się na wyraz dobrze. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze. Czy aby nie zwariował?

Te wyziewy mogły na niego wpłynąć bardziej, niż sobie uświadamiał, i może to być po prostu lekkie odurzenie. A może, pogodziwszy się już ze śmiercią, jest po prostu przytłoczony radością życia. Może, gdy przeszedł piekło, teraz już we wszystkim znajdzie samą rozkosz. Ale nie za długo się nią nacieszysz, powiedział sobie, jeśli dasz się tu znaleźć. Wstał po ciemku, badając nad sobą pustkę, aby głową nie uderzyć o jakiś występ. Mimo to nadział się nią na coś, uchylił się gwałtownie i stwierdził, że to czubek gałęzi. Tam w górze rośnie krzak, i kiedy wyciągnął ku niemu ręce, dotknął krawędzi zagłębienia na wysokości pasa.

Już się wydostał! Cały czas był na zewnątrz, pod zachmurzonym niebem nocy tak ciemnej, że czuł się jak pod ziemią.

Uważając na swoje żebra wylaź na wierzch, pod krzak, aby chłonąć powietrze, napawać się jego świeżością, wachać zdrewniałą korę. Poniżej i dość daleko stąd, między drzewami, paliło się małe ognisko. Po zupełnej ciemności jaskiń, płomień rozjarzył mu się w oczach żywo i obficie.

Zesztywniał. Tam przy ogniu rozległ się czyjś przytłumiony głos. Ktoś poruszył się nie opodal w skałach i coś przenikliwie skrobnęło teraz już widać - zapalka, potarta o draskę na kartoniku. Płomyk buchnął i zgasł. Rambo dojrzał w mroku słabo jarzący się czubek papierosa.

Więc są tam i czekają na niego.

Teasle domyślił się, dlaczego zszedł w głąb szczelin i jaskiń. Obstawiał to wzgórze ludźmi na wypadek, jeśliby Rambo znalazł wyjście. No, po ciemku wiele nie wypatrzą, a on, spędziwszy tyle czasu pod ziemią, czuł się w tych ciemnościach jak w domu. Jeszcze tylko trochę odpocznie i przemknie się koło nich w dół. Teraz to już łatwe. Im się będzie zdawało, że on kryje się tam w jaskiniach, a on będzie już o wiele mil stąd i w drodze. I nikomu nie radzi wejść mu w drogę. Oj, nie. Teraz już jest gotów na wszystko. Wreszcie poczuł, że może zrobić wszystko i każdemu.

Znów było ciemno i Teasle nie mógł zrozumieć, jak się dostał w ten półmrok lasu. Trautman, Kern, ciężarówka. Gdzie się to podziało? I co się stało z dniem? Dlaczego i co go tak pędzi, potykającego się, przez masywne cienie drzew?

Oparł się bez tchu o czarny pień drzewa. Ból w piersiach wynurzał się z otępienia. Był tak zagubiony, aż go lęk ogarnął. Wiedział, że musi podążyć na wprost, że musi iść gdzieś przed siebie, ale jak i dlaczego?

Trautman. To pamiętał. Trautman chciał go zaprowadzić do lekarza. Pamiętał, jak leży na wznak, na drewnianej podłodze ciężarówki. Szukał na oślep wyjaśnienia, jak stamtąd się tu dostał. Czy szamotał się z Trautmanem, nie chcąc iść do lekarza? Może wyrwał mu się i powłókł od ciężarówki przez pole do lasu. Byle nie opuścić swego posterunku przed czasem. I bliżej do chłopaka. Przyłożyć się do złapania go.

Ale coś tu nie tak.

Wiedział, że tak być nie mogło. W tej kondycji nie dałby rady Trautmanowi. Nie mógł zebrać myśli. Byle naprzód, pomimo bólu w piersiach i okropnego poczucia, że ktoś go ściga, albo zaraz będzie ścigał. Pewnie chłopak. Czy to chłopak stara się go dopaść? Pokrywa chmur przetarła się, wyjrzał sierp księżyca, oświetlił drzewa i wszędzie wokół siebie ujrzał wraki starych samochodów, zwalone jeden na drugi, przyparte do drzew, setki tych wraków, pogruchotane, niekompletne i rozpadające się. Jakby cmentarz, groteskowy w księżycowej poświacie, kładącej się na obłych sylwetkach, odbijającej się.

I ta cisza. Chociaż stapał po liściach i zgniecionych zderzakach, i potłuczonym szkłem, nie było go słychać. Jak gdyby się prześlizgiwał. I jednak wiedział nie wiadomo skąd, że to nie chłopak za nim idzie, ale ktoś inny. Dlaczego jednak boi się spojrzeć na szosę przez te upiorne wraki? Czemu lęka się szeregu ciężarówek Gwardii Narodowej, zaparkowanych przy drodze? Boże, co się z nim dzieje? Czyżby zwariował?

Nikogo tu nie ma. Przy ciężarówkach ani żywej duszy. Lęk odpłynął. Wóz policyjny ostatni w szeregu, najbliżej miasta. Więc przekrada się, jak wniebowzięty, od wraków z powyrywaniem drzwiami, tapicerką, z poroziawianymi kłapami silników, przez pole, jak najciszej i kuląc się przy ziemi, do wozu policyjnego.

Spłoszył go nagły hałas, szkło cienko rozbryznięło mu się w uszach, zamrugał. Znów leży na wznak. Czyżby go w polu ktoś postrzelił? Obmacał się szukając rany, poczuł koc, nie miał ziemi pod sobą. Miękkie poduszki. Trumna. Wzdrygnął się w popłochu i zrozumiał. To kozetka. Ale gdzie, na Boga? Co się dzieje? Zaczął szukać

po omacku światła, potracił lampę, zapalił ją i zamrugał, poznając swój gabinet. A gdzie ten las, wraki samochodów i szosa? Przecież one były rzeczywiste, jak Boga Kocham! Spojrzał na zegarek, ale go nie miał – aha, zegar na biurku - za piętnaście dwunasta. Za żaluzjami na dworze ciemno. Dwunasta? Znaczy, że północ, a pamięta, że ostatnio było południe. Co z chłopakiem?

Co się właściwie dzieje?

Podźwignął się chwiejnie i usiadł, łapiąc się za głowę, żeby mu jej nie rozłomotało w kawałki, ale coś uniosło podłogę, przechylając ją wzwyż. Zaklął i nie wydobył się z niego żaden dźwięk. Zatoczył się pod górę ku drzwiom, chwycił oburącz gałkę i targnął, ale drzwi się zacięły, musiał szarpać je z całej siły, nagle odskoczyły i rozwarły się, omal nie strącając go z pochyłości w dół, w stronę kozetki. Rozrzucił ramiona, łapiąc nimi równowagę jak linoskoczek, bosymi stopami przestąpiwszy z miękkiego dywanu w gabinecie na chłodne kafelki korytarza. Tu półmrok, ale świeci się w biurze od frontu. Więc skierował się tam i w pół drogi musiał podeprzeć się dłonią o ścianę.

- Już pan nie śpi, szefie? - rozległ się głos w końcu korytarza. - Jak tam samopoczucie?

Zbyt zawile musiałby na to odpowiadać. Ciągle jeszcze za sobą nie nadązał. Na jasno oświetlonej podłodze ciężarówka, leżąc na wznak, widział jak przez mgłę sufit z brudnej plandeki. A z radia głos: - Facet nie odpowiada, o Boże! Widocznie uciekł w głąb kopalni. - Szamocze się z Trautmanem, żeby go nie zanieśli do radiowozu. Ale ten las... i ta ciemność...

- Pytam, jak się pan czuje, szefie? - odezwano się głośniejszym głosem i kroki zaczęły się zbliżać. Wszystko jakby zatopione w echu.

- Chłopak - zdołał wykrztusić. - On jest w lesie.

- Co? - głos tuż obok. Popatrzył. - Szefie, nie powinien pan jeszcze wstawać. Spokojnie. Już nie jest pan w lesie z chłopakiem. On wcale już pana nie goni.

Któryś zastępca. Teasle powinien go znać, ale nie mógł sobie jakoś przypomnieć. Wysiłał się. Jakies słowo mu wypłynęło z pamięci. Harris? Tak, oczywiście. Harris.

- Harris! - powiedział z dumą.

- Proszę do biura. Niech pan siądzie i napije się kawy. Właśnie miałem zaparzyć świeżej. Niosłem wodę z łazienki i stłukłem dzbanek. Mam nadzieję, że nie obudziłem.

Łazienka. Tak. Od Harrisa też niósł się pogłos i smak wyobrazonej sobie kawy strzyknął mu kwaśno w usta, Teasle się zakrztusił. Łazienka. Zatoczył się przez wahadłowe drzwi, zwymiotował do pisuaru, a Harris go trzymał i mówił:

- Proszę usiąść na podłodze - ale Teasle już przychodził do siebie i echo przestało mu dzwonić w uszach.

- Nie. Tylko twarz. Polej mi wody. - I gdy oplukiwał sobie jej chłodem oczy i policzki, znów mignął mu ten obraz, już nie urojony, rzeczywisty. - Chłopak - powiedział. - Jest w lesie przy drodze. Na cmentarzystku samochodów.

- Spokojnie. Proszę sobie przypomnieć. Chłopak został odcięty w kopalni. Uciekł w jej głąb, w ten labirynt. Proszę się na mnie oprzeć.

Teasle opędził mu się gestem ręki, wsparł się o umywalkę, woda mu spływała po twarzy.

- Mówię ci, że jego już nie ma w kopalni.

- Skąd pan może to wiedzieć.

- Jak się tu dostałem? Gdzie Trautman?

- W ciężarówce. Kazał odwieźć pana do szpitala.

- A to sukinyś. Uprzedzałem go, żeby tego nie robił. Dlaczego jestem tu, a nie w szpitalu?

- Pan nie pamięta? Ale mieli z panem, o Jezu! W radiowozie nic, tylko pan wrzeszczał i szamotał się z nimi, łapał za kierownicę, żeby nie jechali do szpitala. Z krzykiem, że jeśli mają szefa gdzieś zawieźć, to na posterunek. Że nikt szefa nie przywiąże do łóżka. W końcu przestraszyli się, że zrobią krzywdę, jak będą się z panem dalej szamotać, no i posłuchali. A tak prawdę powiedziawszy, to myślę, że chcieli się pana wreszcie pozbyć: tyle pan robił szumu i w ogóle! Raz jak złapał szef za kierownicę, mało nie zderzyliście się z trakiem. Więc zapakowali tu pana do łóżka i ledwie odjechali, pan wyszedł i do wozu patrolowego, żeby jechać z powrotem! Próbowałem pana powstrzymać, ale nie było sprawy, bo za kierownicę szef od razu padł nieprzytomny, zanim dobrał się do zapłonu. Naprawdę szef nic z tego nie pamięta? Zaraz przyjechał doktor i zbadał pana, i powiedział, że forma od biedy ujdzie, tylko że jest pan wyczerpany i brał za dużo tych pigulek. One są jakieś pobudzające i zarazem uspokajające, a pan łyknął ich tyle, że był na tripie. Doktor dziwił się, że pan nie padł jeszcze silniej i wcześniej.

Teasle nalał już sobie pełną umywalkę zimnej wody i zanurzał w niej twarz, osuszając ją papierowym ręcznikiem.

- Gdzie są moje buty i skarpetki? Gdzie je masz?

- A po co?

- Gównu cię to obchodzi. Gdzie one są?

- Chyba szef nie zamierza pchać się tam z powrotem, co? Proszę sobie usiąść i odpocząć. Różni tam już przetrząsają te jaskinie na wylot. Nic więcej pan nie może zrobić. Powiedzieli, żeby się pan nie przejmował, że jak tylko trafią na jego ślad, zaraz tu zatelefonują.

- Przecież powiedziałem ci, że już go tam nie ma. Pytam: gdzie moje buty i skarpetki?

Gdzieś daleko, w biurze od frontu, ledwie dosłyszalnie zaczął dzwonić telefon. Z widoczną ulgą Harris go zostawił i poszedł odebrać. Pchnął drzwi od łazienki, zniknął i telefon znów zadzwonił, i jeszcze raz i nagle ucichł. Teasle przepłukał usta zimną wodą i wypluł ją w barwie mlecznej. Nie odważył się połknąć, nie będąc pewien, czy znów nie zwymiotuje. Zerknął na kafelki na podłodze w brudną szachownicę, pomyślał sobie nie w porę, że sprzątaczkę się zaniedbują, i wyszedł przez wahadłowe drzwi na korytarz. W końcu korytarza stał Harris, częściowo przesłaniając mu światło i niezdecydowany, czy mu powiedzieć.

- No? - spytał go Teasle.

- Nie wiem, czy mówić. To do pana.

- Chodzi o chłopaka? - rozjaśnił się Teasle. - Na tym cmentarzysku samochodowym?

- Nie.

- A co się stało? O co chodzi?

- Między miastowa. Dzwoni pańska żona.

Sam nie wiedział, czy to zmęczenie, czy szok, ale musiał oprzeć się o ścianę. Jakby odezwał się ktoś już pogrzebany. Tyle się w międzyczasie wydarzyło z powodu chłopaka, że po trochu wyparł ją ze świadomości i teraz już nie pamiętał nawet jej twarzy. Próbował sobie przypomnieć i nie mógł. Mój Boże, a po co sobie przypominać? Czyżby chciało mu się jeszcze pocierpieć?

- Jeżeli to ma być denerwujące - powiedział Harris - to może z nią lepiej nie rozmawiać? Powiem, że pana nie ma.

Anna.

- Nie. Przełącz do mojego gabinetu.

- Na pewno? Chce pan? Bo nic nie kosztuje powiedzieć, że pan wyszedł.

- No już, przełącz.

Usiadł na obrotowym krześle za swym biurkiem i zapalił papierosa. Albo rozjaśni mu w głowie, albo spowoduje zamroczenie i zawrót głowy, tak czy inaczej warto spróbować, bo nie mógłby z nią rozmawiać czując się tak niewyraźnie jak teraz. Odczekał chwilę, poczuł się lepiej i podniósł słuchawkę.

- Halo - odezwał się cicho. - Anna.

- Will?

- Tak.

Jej głos był niższy od tego, który pamiętał, gardłowy, łamiący się na niektórych słowach.

- Will, czy coś ci się stało? Tak się o ciebie martwię.

- Nie.

- Naprawdę. Może mi nie uwierzysz, ale martwię się.

Zaciągnął się z wolna. I znów się nie mogą porozumieć.

- Mówię, że nie, nic mi się nie stało.

- Dzięki Bogu. - Po chwili milczenia usłyszał przeciągły wydech, jakby ona też paliła papierosa. - Nie oglądałam telewizji ani gazet nie czytałam i w ogóle nic, nagle dziś wieczór dowiedziałam się, co ci się wydarzyło, i przeraziłam się. Na pewno nic ci nie jest?

- Tak. - Pomyślał, czyby jej wszystkiego nie opowiedzieć, ale zabrzmiałoby to, jakby się dopraszał współczucia.

- Naprawdę, zadzwoniłabym wcześniej, gdybym wiedziała. Nie chcę, żebyś pomyślał, że mnie w ogóle nie obchodzi, co się z tobą dzieje.

- Wiem. - Popatrzył na zmiętoszony koc na kozetce. Tyle ważnych rzeczy byłoby do powiedzenia, a on się nie może na to zdobyć. Wszystko to już go nie obchodzi. Milczenie przedłużało się ponad miarę. Trzeba coś powiedzieć. - Czy jesteś przeziębiona? Bo masz taki głos.

- Właśnie wychodzę z przeziębienia.

- Orval nie żyje.

Usłyszał, jak ją zamurowało.

- Och. Lubiałam go.

- Wiem. Okazuje się, że ja też go lubiłem bardziej, niż mi się zdawało. Shingleton też nie żyje, i ten nowy, Galt

- Proszę cię, już nie mów, bo więcej nie zniosę.

Zastanowił się nad tym dłuższą chwilę i rzeczywiście już niewiele było do powiedzenia. Jej głos nie sprawił, aby znów zapragnął jej tak, jak się obawiał, i wreszcie poczuł się wolny, u kresu.

- Czy jesteś jeszcze w Kalifornii?

Brak odpowiedzi.

- Zresztą nie moja sprawa - powiedział. - W porządku. Mniejsza o to.

- Tak, jestem w Kalifornii.

- Masz kłopoty? Może potrzebujesz pieniędzy?

- Will?

- Co?

- Nie rób tego. Nie po to zadzwoniłam.

- No tak, ale czy nie potrzebujesz pieniędzy?

- Nie mogłabym ich od ciebie przyjąć.

- Nie zrozumiałaś mnie. Ja myślę, że teraz wszystko się ułoży. To znaczy dużo lepiej to wszystko widzę.

- Cieszę się. To mnie też martwiło. Nie chciałam ci zrobić przykrości.

- Chciałem powiedzieć że lepiej się czuję i możesz wziąć ode mnie trochę pieniędzy, jeśli ci potrzeba, co nie znaczy, że będziesz mi dłużna i że ja cię zmuszam do powrotu.

- Nie.

- To przynajmniej pozwól mi zapłacić za tę rozmowę. Żeby opłata była na mnie.

- Nie mogę.

- Więc ją wpiszę na rachunek służbowy. Nie ja będę płacił, tylko miasto. Jak Boga kocham, daj mi zrobić dla siebie cokolwiek.

- Nie mogę. Przestań. Bo pożałuję, że do ciebie zadzwoniłam. Obawiałam się, że to nastąpi, i niewiele brakowało, abym zrezygnowała z tej rozmowy.

Aż słuchawka mu się spociła w dłoni.

- Więc nie wrócisz?

- Nie o to chodzi. Nie miałam ochoty wdawać się w to. Nie po to zadzwoniłam.

- W każdym razie nie wracasz.

- Nie. Bardzo mi przykro. Nie wrócę.

Chciało mu się tylko ją objąć i trzymać, nic więcej, tylko trzymać. Zgniół z wolna papierosa, zapalił nowego.

- Która tam jest godzina?

- Dziewiąta. Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tej różnicy czasu. Kiedy przyjechałam tu, sypiałam po czternaście godzin, przyzwyczajając się do innego czasu. Dla nich była dopiero jedenasta, a dla mnie już druga w nocy. Która tam jest u ciebie? Północ?

- Tak.

- Muszę już kończyć, Will.

- Tak prędko? Dlaczego? - pohamował się. - Nie. Mniejsza o to. Zresztą nie moja sprawa.

- Na pewno nic ci się nie stało?

- Jestem obandażowany, ale to przeważnie tylko draśnięcia. Mieszkasz nadal u siostry? To chyba możesz mi powiedzieć?

- Wynajęłam sobie mieszkanie.

- Po co?

- Naprawdę muszę już kończyć. Przepraszam.

- Będziesz mnie informowała, co porabiasz?

- Skoro ci na tym zależy. Nie wiedziałam, że będzie tak trudno. Nie wiem, jak to powiedzieć. - W jej głosie zabrzmiało jak gdyby łkanie. - Do widzenia.

- Do widzenia.

Zaczekał, starając się z nią być jak najdłużej. Potem rozłączyła się i zabuczał sygnał wolnej linii, a on siedział i słuchał. Sypiali ze sobą przez cztery lata. Jak ona się może stać kimś obcym? Nie tak łatwo. Ten szloch. Słusznie powiedziała, dla niej to również trudne. Zrobiło mu się jej żal.

Już po wszystkim. Zrób coś. Ruszaj się. Zajmij się wreszcie chłopakiem, to twoja sprawa. Chłopak. Za kierownicą.

Gdzieś pędzi.

Przy kartotekach zobaczył swoje buty i skarpetki. Włożył je czym prędzej. Ze swej szafy z bronią wyjął Browninga, wbił w rękojeść pełny magazynek i przypasał kaburę, obróciwszy ją w tył. Spozrzegł się - jak zyczyłby sobie Orval. Kiedy ruszył przez biuro do wyjścia, Harris na niego spojrział.

- Nie mów tego - rzekł do Harris. - Tylko nie mów, żebym już nie wychodził.

- W porządku - rzekł Harris. - Więc nie powiem.

Na dworze paliły się latarnie i odetchnął świeżym powietrzem nocy. Z boku stał zaparkowany wóz patrolowy. Już do niego wsiadał, kiedy obejrzał się w lewo i zobaczył, jak ta strona miasta się rozjaśniła.

Fale płomieni odbiły się w chmurach nocnych.

Harris na stopniach u wejścia krzyczał:

- Chłopak! Wydostał się z jaskiń! Właśnie dzwonił, że ukradł wóz policyjny!

- Wiem o tym.

- Skąd?

Siła eksplozji zatrzęsła oknami posterunku. BACH. BACH. BACH. Wybuch za wybuchem od strony, gdzie główna szosa wchodzi do miasta. BACH. BACH.

- Jezu, a cóż to takiego? - zapytał Harris. Ale Teasle już wiedział i wrzucił bieg, aby z parkingu, czym prędzej dostać się tam na czas.

Z rykiem pędząc w głąb miasta, skręcając, aby wyminąć motocyklistę, który przystanął i obejrzał się zdumiony, Rambo zobaczył w lusterku za sobą ulicę w ogniu, buchającym wysoko w korony drzew. Aż do wnętrza samochodu tchnął i ogarnął go żar od czerwonej pożogi. Wcisnął gaz do oporu i pomknął główną ulicą, a za nim noc rozjarzała się od eksplozji, rozplamienających się w ognisty wzór: Teraz zejdzie im dużo czasu na objazd. A na wszelki wypadek trzeba to powtórzyć. Im więcej zamieszania, tym bardziej będą się w tym gubić. Przyjdzie im odłożyć pościg i zając się opanowaniem pożarów.

Jedna z latarni przed nim była ciemna. Pod nią błysnęły światła hamulcowe i kierowca, zatrzymawszy wóz, otwierał drzwiczki i wysiadał, gapiąc się na pożogę. Rambo skręcił w lewo na przeciwny pas i ujrzał przed sobą niskie światła pędzącego z przeciwka wozu sportowego. Tamten, aby uniknąć zderzenia, odbił na lewo i zajechał mu, gdy Rambo wracał na swój pas. Dalej skręcając wpadł na chodnik, ściał zegar parkingowy i władował się z brzękiem w wystawę sklepu meblowego. Sofy i krzesła, pomyślał Rambo. Otóż i miękkie lądowanie.

Z gazem ciągle wciśniętym do oporu, zdziwił się, że na ulicy nie ma więcej samochodów. Co za miasto? Dopiero kilka minut po północy i wszystko śpi. Sklepy wygaszone. Nikt śpiąc nie wytacza się z barów. No, teraz się przynajmniej zbudziło w miasteczku co nieco życia. Jak cholera. Pęd jego wozu patrolowego, mocny głos silnika przypominały mu te sobotnie noce sprzed lat, kiedy urządzali wyścigi na bydłęcych ciężarówkach, i znów dobrze się poczuł. On i wóz, i droga. Wszystko będzie w porządku. Uda się. Nietrudno było się przemknąć w dół, ze wzgórz do szosy. I przez leśne cmentarzysko samochodów, przez pole i do wozu patrolowego przekraść się było też łatwo. Policjanci od tego wozu najwidoczniej ruszyli z innymi w góry, albo wzdłuż drogi, pogawędzić z kierowcami ciężarówek. W stacyjce nie było kluczyka, ale zwarcie przewodów do zapłonu to żaden problem. Przelatując teraz na czerwonych światłach przez skrzyżowanie, gdy moc silnika jakby w niego wstępowała przez akcelerator i wypełniała mu ciało, wiedział, że już tylko parę godzin dzieli go od wolności. Za dobrze się czuł, aby mogło mu się nie udać. Oczywiście policja da znać przez radio i będą się starali go przechwycić, ale większość ich ludzi jest już prawdopodobnie za nim, w obławie, tak że wiele oporu na swej drodze nie napotka. Tylko przeleci przez miasto, dalej pojedzie bocznymi drogami, a potem ukryje wóz i ruszy na przelaj pieszo. Może trafi się jakiś pociąg towarowy. Może uda mu się ucześcić jakiegoś transportu. Może nawet ukradnie samolot. Mój Boże, teraz możliwości już nie brakuje.

- Rambo.

Zaskoczył go ten głos, dobiegający przez radio.

- Rambo. Posłuchaj mnie. Wiem, że słyszysz.

Jakiś znajomy głos. Chyba sprzed lat. Nie potrafił go zidentyfikować.

- Posłuchaj mnie. - Każde słowo potoczyste i dźwięczne. - Nazywam się Sam Trautman. Byłem dowódcą szkoły wojskowej, w której zdobyłeś przeszkolenie.

Tak. Oczywiście. Nigdy nie widzianym na oczy. Tylko ten uparty głos z obozowego głośnia. O każdej godzinie. Dzień po dniu. Więcej biegania, mniej posiłków, mniej snu. Ten głos, co nigdy nie omieszkiał zapowiedzieć im kolejnej udręki do pokonania. Więc o to chodzi. Teasle ściągnął do pomocy Trautmana. To wyjaśnia niektóre z technik, jakie zastosowano. Skurwysyn. Zwraca się przeciwko swoim. Takim jak on.

- Rambo. Zatrzymaj się i poddaj, nim cię zabiją.

Akurat będą cię słuchać. Ty skurwysynu.

- Posłuchaj mnie. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale ja im pomagam, bo nie chcę, żeby cię zabili. Już zaczęli następne mobilizować siły przed tobą, a po nich będą następne, aż cię zagonią tak, że nic z ciebie nie zostanie. Gdybym uważał, że masz jakąkolwiek szansę im uciec, najchętniej bym ci powiedział, żebyś dalej tak uciekał, jak dotąd. Ale wiem, że nie zdołasz im uciec. Uwierz mi. Ja to wiem na pewno. Proszę cię. Dopóki możesz, poddaj się i zachowaj życie. Nic innego zrobić nie możesz.

To się okaże.

Usłyszawszy za sobą kolejny szereg eksplozji, skręcił z piskiem opon na podjazd do stacji benzynowej, pusty, ze światłami wygaszonymi na noc. Wyskoczył z samochodu, rozbił kopniakiem szklane drzwi, wszedł do środka i włączył elektryczność do pomp. Chwycił jakiś łom i wybiegł, aby wyłamać zabezpieczenia pomp. Było ich cztery, przy każdej po dwa węże, które zdjął i kolejno włączył, blokując przycisk tak, żeby chlustały benzyną na ulicę i nie wyłączyły się, kiedy puści. Gdy odjechał kawałek zatrzymał się, benzyna już lała się strumieniem po bruku. Wystarczyło pstryknąć zapałką i pu-uch-ch! noc zmieniła się w dzień, od chodnika do chodnika jezioro ognia, na kilka pięter w górę, trzask pękających witryn i brzęk okien, żar aż w niego buchnął, osmalił go. Ruszył z miejsca i pognał, a benzynowa pożoga za nim, szerząc się dotarła do zaparkowanych samochodów. BACH. BACH. Zaczęły wybuchać jak rakiety. BACH. Sami jesteście sobie winni. Na wysięgu do oświetlenia był znak zabraniający parkowania tu po północy. Wyobraził sobie, co będzie, gdy ciśnienie w podziemnych zbiornikach spadnie i płomień cofnie się wężami w głąb i do zbiorników. Pół kwartału wyleci w powietrze. To ich zatrzyma.

Nie pogonia za nim. Na pewno.

- Rambo - odezwał się Trautman przez radio. - Proszę cię. Zatrzymaj się. To nie ma sensu. Nie poradzisz.

Znów pomyślał: to się okaże! i wyłączył radio. Już prawie przejechał środek miasta. Jeszcze kilka minut i wyjedzie z niego na drugą stronę.

Teasle czekał. Swoją patrolową ustawił w poprzek głównej ulicy, przecinającej plac w środku miasta, i stał przegięty przez błotnik z pistoletem w rękę, wsparty o maskę. Od strony pożaru i eksplozji zbliżały się podwójne światełka reflektorów. Możliwe, że chłopak się okazał szybszy od niego, że już tędy przeleciał i uciekł z miasta, ale nie wydawało mu się. Widział to jakby w dwóch ujęciach naraz oczyma chłopaka, gdy skradziony wóz patrolowy gnał w stronę centralnego placu, i ze swojego stanowiska, gdy światełka urosły w jasne krążki. Widać było już nawet kopułkę na dachu. To syrena - wóz policyjny - zarepetował pistolet i wymierzył pewną ręką. Musi to zrobić precyzyjnie. Szansa się nie powtórzy. Musi mieć absolutną pewność, że to chłopak, a nie jakiś zabłąkany policjant. Ryk silnika narastał. Reflektory ogarnęły go snopami blasku. Zmrużył oczy, wypatrując sylwetki za kierownicą. Ostatni raz widział chłopaka trzy dni temu, ale nie ma wątpliwości: ten kształt głowy, kępkami powystrzygane włosy. To on. Wreszcie, jeden na jednego, nie w lesie, tylko w mieście, które najlepiej zna on, Teasle, i w sytuacji przez niego narzuconej.

Reflektory oślepiły go, wystrzelił jeden raz, potem drugi, automatycznie wyrzucane łuski brzęknęły o bruk. Jak ci się to podoba? Wycelował, i w momencie, gdy chłopak się uchylił pod deskę, strzelił i strzaskał przednią szybę, a potem natychmiast mu rozwalił przednie opony. Trzykrotny odrzut pistoletu zadudnił jego zaciśniętą dłońią o maskę. Rambo stracił panowanie nad wozem policyjnym, który zarzucił i Teasle ledwie uskoczył, gdy tamten uderzył bokiem w jego własny, w zgrzycie metalu i tłuczonego szkła, tak że jego samochód obrócił się w kółko, a wóz chłopaka odrzuciło aż na dalszy chodnik. Z brzękiem potoczył się dekiel, benzyna spryskała bruk i Teasle już biegł, skulony, do samochodu chłopaka, strzelając raz po raz w jego drzwi, dopadł go i nachylił się do wnętrza, wygarnął z pistoletu pod deskę rozdzielczą. Ale chłopaka tam nie było, tylko plama krwi ciemniejsza na fotelu kierowcy, więc Teasle rzucił się na jezdnię, orząc łokciami po beton, rozglądając się z ukrycia i widząc buty chłopaka, jak biegną przez chodnik na ukos i znikają w bocznej alejce.

Dobiegł za nim do ceglanego muru na rogu alejki i sprężył się, by wyskoczyć za róg, ostrzeliwując się. Nie rozumiał, skąd biorą się plamy krwi na betonie. Chyba żadna z jego kul nie trafiła. Może chłopak zranił się przy zderzeniu. Krwi było mnóstwo. To dobrze. Spowolni go. Z alejki usłyszał, że coś gruchnęło w drewno, jakby chłopak wywalał drzwi. Ile mu zostało naboji? Dwa w reflektory, jeden w szybę, dwa w opony, pięć w biegu na samochód. Więc zostały trzy.

To za mało.

Prędko wysunął magazynek i załadował pełny, wstrzymał oddech, dygocząc, a potem rzucił się w głąb alejki, waląc raz dwa trzy, puste łuski przyskały w powietrze, gdy Teasle padł, kryjąc się za szeregiem pojemników na śmieci i dostrzegł otwarte drzwi do sklepu z narzędziami Ogdena. Cienka blacha śmietników nie uchroniłaby go od kuli, ale przynajmniej zasłaniały go, kiedy rozważał, czy chłopak jest rzeczywiście w sklepie, czy otwarte drzwi to atrapa i naprawdę chłopak zaczął się na niego w głębi alejki. Rozejrzał się po niej z ukrycia i nic podejrzanego nie dostrzegł. Zmierzał do drzwi, kiedy coś wyleciało z nich iskrząc. Co jest u... Dynamit! Lont za krótki, żeby zdążyć go zgasić i za krótki, żeby złapać tę laskę dynamitu i odrzucić na dostateczną odległość. Jakby odskakiwał od węża, wypadł z alejki, kuląc się pod murem i zakrywając uszy, eksplozja i tak ogłuszyła go, płaty drewna, metalu i płonącej tektury wyfrunęły z alejki na ulicę. Powstrzymał się, żeby znów nie pobiec do wyłamanych drzwi. Myśleć. Myśleć. Chłopak musi uciec, zanim inni się zbiegą. Nie może tu zostać i walczyć. Dynamit był tylko dla zyskania na czasie. W alejce nie ma co szukać. Drzwi od frontu.

Skoczył za najbliższy róg ulicy i chłopak już dawno wypadł ze sklepu, przebiegł duży kawał do następnej przecznicy, pędząc na ukos przez ulicę w cień gmachu sądowego. Na tę odległość trudno wycelować z pistoletu. Jednak spróbował, przypadając na jedno kolano w przykłęku, z drugim w górze, by oprzeć na nim łokieć i unieruchomić oburącz broń, kiedy celował i strzelił. Chybił. Kula łupnęła głośno w kamienną ścianę sądu. Błysnęła iskierka i rozległ się stamtąd huk strzelby, kula brzęknęła tuż koło niego w skrzynkę pocztową. Wydało mu się, że dostrzegł, jak ciemna sylwetka chłopaka, kuląc się, znika na tyłach za budynkiem sądu i już biegł za nim, gdy trzy eksplozje kolejno rozplómiły ten budynek i z okien jego poleciały jarzące się szczątki. Boże, on chyba oszalał, pomyślał Teasle i przyśpieszył. To już nie tylko próba zatrzymania mnie.

On próbuje wysadzić w powietrze całe miasto. W sądzie drzewo było stare i wysuszone. Pożar wgryzał się natychmiast w górne piętro. Teasle w biegu chwycił się za skurcz w boku, zdecydowany nie dać się i nie zwalniać, na siłę wytrzymać, ile się da, nim wyczerpie się ta odrobina energii, na jaką się zdobył, i zwali go z nóg. Ogień w sądzie wyrwał się, kłapał, dym od niego wypełniał ulicę, tak że nie mógł w nim wypatrzeć chłopaka. Na prawo, po drugiej stronie ulicy naprzeciw sądu, ktoś poruszył się na stopniach posterunku i Teasle myślał, że to chłopak, a to Harris wyszedł spojrzeć na pożar.

- Harris! - wrzasnął, usiłując powiedzieć wszystko naraz. - Chłopak! Wracaj do środka! Kryj się!

Słowa jego pochłonięły grzmot największej z dotychczasowych eksplozji, która uniosła cały posterunek i rozsadziła go na zewnątrz, unicestwiając Harrisa w podmuchu ognia i gruzu. Fala uderzeniowa od wybuchu dopadła szeryfa zmartwiałego. Harris. Posterunek. To wszystko, co mu zostało, a teraz i to przepadło, biuro, jego kolekcja broni, trofea, Wojskowy Krzyż Zasługi. Pomyślał znów o Harrisie i wrzask mu się wydarł, przeklął tego chłopaka, w zrywie świeżej furii rzucił się chodnikiem naprzód, w stronę pożaru. Ty sukinsynie, myślał. Nie musiałeś tego robić.

Nie musiałeś.

Przed nim, z chodnika na prawo, były jeszcze dwa okna wystawowe, a potem trawnik należący do posterunku, zasypany płonącym drewnem. Kiedy podbiegł, zionąc przekleństwami, kula trzasnęła w beton u jego stóp i odbiła się rykoszetem. Teasle upadł w rynsztok. Na ulicy było jasno, ale na tyłach posterunku wciąż zalegał mrok. Odpowiedział na strzał, celując tam, gdzie dostrzegł błysk strzelby chłopaka. Jeszcze dwa razy wystrzelił i kiedy się zerwał, kolano się pod nim ugięło i padł na chodnik. Wreszcie zabrakło mu sił. W końcu go dopadło to wszystko, co zniósł przez te ostatnie kilka dni.

Leżał tak na chodniku i myślał o chłopaku. On też krwawi i na pewno już osłabł. Ale jakoś go to nie powstrzymuje. Skoro chłopak potrafi, to i on też.

Gdyby nie to zmęczenie. Trudno się ruszyć.

Więc wszystko, co wygadywałeś, że chcesz z nim walczyć jeden na jednego, żeby nikt inny się nie mieszał i nie odniósł szwanku, wszystko to łgarstwo, tak? A Orval i Shingleton, i pozostali, co im obiecywałeś, to także łgarstwo, co?

Zabitym nie można nic obiecać. Taka obietnica się nie liczy.

Być może, ale przyrzekłeś sobie, a to się liczy. Jeżeli nie dźwigniesz tej swojej dupy, nie będziesz wart tyle, co splunąć, dla samego siebie i dla nikogo.

Z krótkim jakby szlochnięciem poczołgał się, dźwignął i zatoczył. Chłopak był na prawo za posterunkiem. Ale nie mógł się tamtędy wymknąć, bo ich podwórze kończy się wysokim płotem z drutu kolczastego, za którym grunt się urywa pionowo do fundamentów nowego supermarketu. Chłopakowi nie starczyłoby sił ani czasu, żeby się tam bezpiecznie wspiąć i zejść na dół. Z pewnością pobiegł dalej wzdłuż ulicy, gdzie są jeszcze dwa domy, następnie plac do zabaw, a za nim pole miejskie, gęsto zarośnięte wysoką trawą i krzakami dzikich malin, i na nim wałaca się szopa, zbudowana przez jakieś dzieci.

Powlókł się więc naprzód, kryjąc się za pochyłością trawnika od frontu, wzdłuż ruin posterunku, wypatrując przez dym chłopaka i unikając ponownego spojrzenia na to, co zostało z Harrisa, rozrzucone w kawałkach po ulicy. Znalazł się między posterunkiem a sądem, oświetlony pożarem ich obu, w dymie piekącym w oczy, na twarzy i skórze czując dotkliwy żar. Nachylił się bardziej ku pochyłości trawnika, żeby lepiej ukryć się w tym blasku. Dym się na chwilę rozwiął i zobaczył, że mieszkańcy dwóch domów sąsiadujących z posterunkiem wylegli na ganki, w podnieceniu gadają i coś pokazują. O Jezu, przecież chłopak może ich domy też wysadzić. Pozabijać ich jak Harrisa.

Z wysiłkiem pośpieszył w ich stronę, wypatrując chłopaka.

- Zabierajcie się stąd! - krzyknął. - Kryjcie się!

- Co? - zawołał ktoś tam z góry.

- On jest w pobliżu! Kryjcie się, do diabła! Uciekajcie!

- Co takiego? Nie słyszę!

Skulił się pod gankiem z przeciwnej strony ostatniego domu i wycelował w szeryfa. Mężczyzna i dwie kobiety na ganku byli tak zajęci przekrzykiwaniem się z Teaslem, że nie dostrzegli go kryjącego się tuż koło nich. Ale gdy odciągnął kurek swej strzelby, chyba usłyszeli jego szcęknięcie, bo na górze posłyszał jakiś ruch i kobieta wychyliła się przez drewnianą poręcz, mówiąc: - O mój Boże. O Jezu Chryste.

Wystarczyło to za ostrzeżenie. Teasle umknął z chodnika, przez trawnik w górę, do pierwszego domu i skrył się za gankiem. Rambo i tak do niego strzelił, nie licząc na trafienie, ale przynajmniej na postrach. Stojąca nad nim kobieta wrzasnęła. Wyrepetował pustą łuskę i wymierzył w róg tamtego ganku, gdzie wystawał jeszcze but szeryfa, widoczny w blasku ognia. Pociągnął spust i nic. Wystrzelał magazynek, nie było już czasu naładować strzelby, rzucił ją i wyciągnął policyjny rewolwer, ale but się cofnął. Kobieta ciągle wrzeszczała.

- Och, zamknij się, paniusiu - powiedział do niej i przebiegłszy na tylny róg wpatrywał się w cienie za domem. Teasle nie zaryzykuje podejścia od frontu, gdzie stanowiłby wyraźny i łatwy cel, widoczny w płomieniach. Wymknie się po ciemku na tyły pierwszego domu i stamtąd będzie się podkraślał na tyły sąsiedniego. Rambo przesunął się prawie na sam róg i czekał, wypatrując przez oparty rower i składzik za domem. Czoło miał rozwalone przy zderzeniu z samochodem szeryfa, kiedy twarzą uderzył w radio policyjne, a rękaw lepki od ocierania krwi zalewającej mu oczy. Zderzenie obudziło także ból w żebrach i nie wiedział już, które miejsce mu bardziej doskwiera. Począł jeszcze trochę, przez moment jakby senny, i znów się przywołał do czujności.

Nie było nic słychać, ale jak gdyby coś czarnego przemykało się wzdłuż tylnego ogrodzenia w gąszcz całorocznych krzewów. Otarł sobie krew z oczu, wycelował, ale powstrzymał się i nie strzelił. Najpierw musi być pewien, że to Teasle. Gdyby ten przemykający się kształt był tylko złudzeniem optycznym, zdradziłby się, gdzie jest. W dodatku zmarnowałby nabój: miał ich tylko pięć w rewolwerze, komora pod iglicą była pusta. Browning szeryfa mieści ich trzynaście. Niech on marnuje naboje. Stać go na to.

Był jeszcze jeden powód, że od razu nie strzelił: gdy ostatnim razem otarł sobie krew z oczu, stwierdził, że obraz mu się rozjeżdża, widział podwójnie, jak gdyby ciągle przez krew. Nie mógł już odróżnić ciemniejszego kształtu od krzaków, wszystko mu się zlewało i głowa pękała z bólu.

Dlaczego ten cień się nie porusza? A może się rusza i on nie widzi? Teasle powinien jednak zdradzić się jakimś odgłosem. No już, daj się słyszeć, co jest? Robi się późno. Wycie syren już się przybliży. Może to straż pożarna. Ale może być i policja. No prędzej, Teasle. A teraz słychać tych z ganku, już w domu, jak tam gadają, wystraszeni. Coś wyczuł i obejrzał się, czy nie ma kogoś na ganku z bronią albo z czymś niebezpiecznym i - o Jezu - Teasle skrada się trawnikiem od frontu. W zaskoczeniu Rambo strzelił, zanim pomyślał, i Teasle krzyknął i poleciał z trawnika w dół, zakreślając w powietrzu łuk, aż wylądował na chodniku, podczas gdy Rambo nie mógł zrozumieć, co z nim jest, że tak rzucił się jakby nieważki w tył, na bok i twarzą uderzył w trawę. Jego dłonie na piersi okazały się ciepłe i mokre, a potem już lepkie. Jezusie. Trafił mnie. Teasle jednak zdążył

wystrzelić i trafił go. W piersiach nic nie czuje, nerwy ma sparaliżowane. Ruszaj się. Trzeba stąd uciekać. Wycie syren.

Nie mógł wstać. Wił się po ziemi. Druciane ogrodzenie w bok od domu. Za nim jakieś duże, nieokreślone formy. Płomienie z posterunku i sądu buchnęły wyżej, oświetlając je pomarańczowym blaskiem, ale wciąż nie mógł ich wyraźnie dojrzeć. Wyteżył oczy. Wzrok mu się przejaśnił i dojrzał. Huśtawki. Słowo odezwowało mu się pustym dźwiękiem w czaszce. Wiszące. Podparte w środku. Zjeżdżalnie. Dziecięcy plac zabaw. Poczował się ku nim na brzuchu, a huk płomieni rozlegał się za nim jakby szum wichury miotający się w drzewach.

- Wezmę strzelbę! Gdzie moja strzelba? - wykrzykiwał w domu jakiś mężczyzna.

- Nie. Proszę cię - mówiła kobieta. - Nie wychodź. Nie mieszaj się do tego.

- Gdzie strzelba? Gdzie schowałaś moją strzelbę? Powiedziałem, żebyś jej nie przekładała wciąż z miejsca na miejsce.

Zarył się łokciami w trawnik, poczołgał szybciej, dotarł do ogrodzenia, furtka, otworzył ją, przepchał się na kolanach. Za nim kroki załomotały na drewnianych schodach.

- Gdzie on jest? - pytał mężczyzna, już na dworze, bo głos jego brzmiał wyraźnie na tyłach domu. - Gdzie poszedł?

- Tam! - krzyknęła histerycznie kobieta, poznał ją po głosie, ta sama, co go dostrzegła z ganku. - O tam! Koło furtki!

Och, wy ścierwa, pomyślał Rambo i spojrział. Ogień buchał jasno i wysoko, mężczyzna stał przy składziku i mierzył ze strzelby. Jakże niezgrabny, dopóki celował, ale od razu nabrał wdzięku, kiedy Rambo mu wpakował kulę, z gracją łapiąc się za prawe ramię, osuwając się w gładkim półobrocie, w pięknym upadku na rower, wsparty o ścianę składziku, a potem znów niezgrabny, kiedy rower zwałił się pod nim i obaj się potoczyli na ziemię w cienkim brzęku łańcucha i szprych.

- O Jezusie, trafił mnie - jęknął mężczyzna. - Trafił mnie. Jestem trafiony.

Facet nie domyślał się, jakie miał szczęście. Rambo celował w pierś, nie w ramię. Nie widząc już na tyle, żeby mógł celnie strzelić, nie mogąc pewnie utrzymać strzelby, szybko tracąc krew z rany na piersi, nie miał już ani nadziei, że się wymknie, ani czym się skutecznie bronić, w ogóle nic. Najwyżej tę laskę dynamitu w kieszeni. Dynamit, pomyślał.

Pieprzyć dynamit. Nie ma już nawet tyle siły, aby rzucić nim na dwa metry.

- Trafił mnie - stękał mężczyzna. - Trafił mnie. Jestem trafiony.

No to co, kolego, ja również, a nie jęczę, pomyślał, i nie mogąc po prostu czekać, aż go znajdą ci z wyjących samochodów, znów się poczołgał. Do suchego brodziku na środku placu zabaw. I na środek brodziku. Tu zaczęło go łaskotać w nerwach, później napięły się i ożyły, stopniowo znów ból dał o sobie znać. Kula szeryfa trafiła go w połamane zębra, jak gdyby przebiła ogromny wrzód i bluznęła z niego trucizna. Ból wezbrał i przerósł go. Zaczął się szarpać za piersi, rwąc, orząc je pazurami. Trząśł głową i wypręzał się w takich skurczach bólu, aż go poderwało na nogi i wyniosło z brodziku, z przygiętą głową, zgarbiony, ruszył chwiejnie ku niskiemu ogrodzeniu. Przeważał się przez nie, spazmatycznie dysząc, nogi wyrzucając w powietrze. Wywinął groteskowego kozła i spadł na drugą stronę. Spodziewał się, że plecami uderzy o ziemię, tymczasem wpadł w kolce i bezlistne gałęzie. Pole jeżynowe. Dzikie maliny. Już tu był. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy, ale był. Nie. Pomyłka. To nie on, ale Teasle już tu był, tam w górach, kiedy uciekł mu w całe zbocze tych jeżyn. O to właśnie chodzi, no tak. Teasle się w nich ukrył. A teraz na odwrót. Teraz na niego kolej. Wbijają mu się kolce. Jak to przyjemnie, że mu pomagają wydrzeć ten ból. Teasle w ten sposób właśnie uciekł, w jeżyny, takie jak te. Dlaczego więc on nie miałby uciec?

Teasle leżał na wznak na betonie chodnika, nie zwracając uwagi na pożar, wpatrując się jak urzeczony w żółte ponad sobą światło latarni. Gdyby to było lato, pomyślał, ćmy i komary krążyłyby wokół żarówki. Potem zdziwił się, skąd mu to przyszło do głowy. Już wychodził z tego zagapienia, zamrugał, oburącz przyciskając sobie dziurę w brzuchu. Zdumiało go, że prócz swędzącego parcia w jelitach nic nie czuje. Wiedział, że w plecach też ma ogromną dziurę, ale i tam czuł tylko swędzenie. Tyle szkody i tak mało bólu, pomyślał. Prawie jakby to ciało już było nie jego.

Posłuchał syren, najpierw paru, a potem już całe stado ich zawyło gdzieś po tamtej stronie pożaru. Czasem rozlegały się daleko, a czasem jakby zaraz na tej samej ulicy.

- Zaraz na tej ulicy - powiedział na głos, żeby się usłyszeć, i głos jego zabrzmiał z tak daleka, że chyba umysł jego się odłączył od ciała. Poruszył jedną nogą, potem drugą, uniosł głowę i grzbiet podźwignął w łuk. No,

przynajmniej kula go nie trafiła w kręgosłup. Ale cała rzecz w tym, powiedział sobie, że umierasz. Taka ogromna dziura i tak mało bólu. Szkoda gadać, umierasz - i to również go zdumiało: że potrafi o tym pomyśleć tak spokojnie.

Przeniósł wzrok z latarni na palący się sąd, gdzie już i dach stanął w ogniu, na posterunek, z którego wszystkich okien kipią płomienie. A dopiero co kazałem całe to wnętrze odmalować, pomyślał.

Ktoś jest przy nim. Klęczy. Kobieta. Stara kobieta.

- Czy mogę jakoś pomóc? - łagodnie go spytała.

Ale z ciebie staruszka, pomyślał. Tyle krwi, a zdobyłaś się, żeby do mnie podejść.

- Nie. Nie, dziękuję - odpowiedział bardzo dalekim głosem. - Nie wydaje mi się, żeby można było coś pomóc. Chyba że... Nie wie pani, czy trafiłem go? Czy zabity?

- Zdaje mi się, że upadł - odrzekła. - Jestem z najbliższego domu. Przy posterunku. Tak na pewno nie mogę powiedzieć.

- Aha - odparł.

- Ogień zaczyna się przenosić na mój dom. Zdaje się, że ktoś w nim został postrzelony. Może bym przyniosła koc? Może wody? Ma pan spieczona usta.

- Ach tak? Nie. Dziękuję.

To fascynujące, słyszeć swój własny głos tak z daleka, a jej z bliska, wprost w bębenek uszny, i te syreny, och, syreny coraz głośniejsze zawodzące mu w głębi czaszki. Wszystko na odwrót, on nie w sobie, tylko na zewnątrz, a co z zewnątrz, to w nim. Fascynujące. Musi jej o tym powiedzieć. Zasłużyła na to. Ale gdy spojrzął, jej nie było, jakby rozmawiał z duchem. Co to znaczy, że nie wiedział, kiedy odeszła? Syreny wyją. Za głośno. Ich wrzask drąży w mózgu jak nóż. Uniósł głowę i spojrzął między dwoma palącymi się budynkami w głąb centralnego placu, gdzie wozy policyjne właśnie wykręcały z za rogu i przyspieszały ku niemu na prostej, błyskając migaczami z dachów. Sześć, policzył. W życiu nie widział czegoś tak wyraźnie i ostro, każdy szczegół jak brzytwa, zwłaszcza kolory świateł, szybko przerywana czerwienią migaczy, jarząca się żółtość reflektorów, ludzie za szybami pomarańczowi w migotliwym blasku płomieni. Wizja nad miarę potężna. Aż ulica od niej zakolowała i musiał zamknąć oczy, żeby go nie zemdlilo. Tylko tego by mu brakowało. Rzygając rozerwać sobie brzuch jeszcze bardziej i kto wie, czy nie skonać tu na miejscu, zanim dowie się, co z tego wynikło. Szczęście, że dotychczas go nie zemdlilo. Powinno dużo wcześniej. Trzymaj się. Tylko tyle mógł zrobić. Jeśli umrze, a był tego pewien, to nie może pozwolić, żeby już teraz. Nie przed końcem.

Usłyszał pisk opon i gdy znów spojrzął, hamowali gwałtownie przy posterunku, aż wozami rzuciło w przód na resorach, policjanci wyskakiwali z nich, zanim się zatrzymały, głos syren opadał. Któryś z policjantów wskazał na niego i wszyscy rzucili się między dwa pożary, twarze zasłaniając od gorąca, łomocząc butami po bruku i zobaczył wśród nich Trautmana. Biegli z rewolwerami w rękę. Trautman niósł dźwigniową śrutówkę, najwidoczniej wziętą z wozu policyjnego.

Potem dojrzał wśród nich także i Kerna.

Kern w biegu rozkazywał komuś:

- Wracaj do wozu! Wezwij przez radio ambulans! - Pokazując w obie strony ulicy Kern wołał do innych: - Usunąć tych ludzi! Cofnąć ich!

Jakich ludzi? Teasle nie rozumiał. Popatrzył i oto wyłoniły się ich całe tuziny. Zaskoczyło go ich nagłe pojawienie się. Stoją wpatrzeni w pożar. Coś mają dziwnego w twarzach. Gromadzą się wokół niego z błyszczącymi oczyma, sztywni, podniósł ręce w irracjonalnej trwodze, aby ich nie dopuścić, już miał krzyknąć: Jeszcze nie teraz! kiedy policjanci podbiegli, odgradzili ich sobą i obstąpili go.

- Chłopak - odezwał się.

- Nic nie mów - powiedział Kern.

- Chyba go trafiłem. - Wymówił to całkiem łagodnie. Skupił się, próbując wyobrazić sobie, że on jest chłopakiem. - Na pewno. Trafiłem go.

- Oszczędzaj siłę. Nie mów. Doktor zaraz tu będzie. Przyjechalibyśmy wcześniej, ale musieliśmy objeżdżać pożary na...

- Posłuchaj.

- Tylko spokojnie. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Teraz już my się tym zajmujemy.

- Ale musimy powiedzieć wam, gdzie on jest.

- Tutaj! - wrzasnęła kobieta z trawnika przed domem. - Prędzej tu do nas! Doktora!

- Wy ośmiu ze mną - powiedział Kern. - W tyralierę. Połowa z tamtej strony domu, połowa z tej. Ale ostrożnie. Reszta niech pomoże rozpędzić tłum.

- Ale jego tam nie ma.

Za późno. Kern i jego ludzie już poszli.

- Nie tam - powtarzał do siebie. - Kern. Dlaczego ten facet nie umie słuchać? - Całe szczęście, pomyślał, że tego wieczora, kiedy zaczął się pościg, nie zaczekał na pomoc Kerna. Z nim pogon zapłatałaby się dwa razy gorzej i ludzie sprowadzeni przez Kerna zginęliby razem z tamtymi.

Trautman się dotychczas nie odezwał. Kilku pozostałych tu policjantów starało się nie patrzeć na tyle krwi.

Ale nie Trautman.

- Nie, ty nie jesteś taki, Trautman. Tobie w ogóle krew nie przeszkadza. Przywykłeś do niej.

Trautman się tylko przyglądał i nie odpowiedział. Jeden z policjantów rzekł:

- Może Kern ma rację. Może się nie powinieneś odzywać.

- Pewnie. To właśnie powiedziałem Orwalowi, kiedy on dostał. Ale też nie życzył sobie umrzeć nie odzywając się, jak ja. Hej, Trautman, zrobiłem to.. Powiedziałem ci, że zrobię, nie? I zrobiłem.

- Co on gada? - spytał któryś policjant. - Nie chwytam.

- Przyjrzyj mu się. Jakie ma oczy - odezwał się drugi. - Wziął i zwariował.

Trautman ich uciszył gestem, wciąż przyglądając się.

- Powiedziałem ci, że go przejrzę, nie? - Teasle mówił głosem przechwałającego się dziecka. Nie podobało mu się to brzmienie, ale nie potrafił się powstrzymać. Coś go nagliło w środku, dobywając na wierzch ten sekret. - On był za tym gankiem, a ja koło tamtego, przy następnym domu i czułem, że na mnie czeka. Dobrzeście go wyszkolili, Trautman. Zrobił dokładnie tak, jak go wyszkolono i dlatego przejrzałem go. - Rana go swędziała, podrapał, krew ciekła i rozlewała się, z każdą chwilą coraz bardziej go zdumiewało, że wciąż tak sobie mówi. Powinien konwulsyjnie łąpać dech, wyduszać z siebie każde słowo a tu płyną i płyną z niego całkiem gładko, jak odwijająca się ze szpuli taśma. - Udawałem, że ja to on. Rozumiesz? Tyle już o nim rozmyślałem, że jak gdybym wiedział, co on w tej chwili robi. No i wtedy, jak obaj kryliśmy się każdy za innym gankiem, wyobraziłem sobie, co by zrobił i nagle okazało się, że wiem, co myśli - że ja go nie znajdę od ulicy, bo pożary ją oświetlają - że znajdę po tyłach domów, przez podwórza i od strony drzew. Rozumiesz, Trautman? Przez drzewa. Bo wyszkoliliście go do walki partyzanckiej w górach, więc odruchowo zwracał się ku drzewom, gdzie trawnik i z tyłu krzaki. A ja - po tym, co ze mną zrobił w górach - niech mnie diabli wezmą, jakbym sobie znów dał narzucić jego sposób walki. Tylko na mój sposób. Pamiętasz, co ci mówiłem? To moje miasto. I jeżeli mam się przekreślić, to na mojej ulicy, wśród moich domów i przy świetle z mojego posterunku. I tak się stało. Przechytrzyłem go, Trautman. Dostał ode mnie kulę w pierś.

Ale Trautman się wciąż nie odezwał.

Długo się przypatrywał, zanim wskazał palcem na zakrwawioną ranę w brzuchu szeryfa.

- To? Na to pokazujesz? Przecież mówię. Daliście mu dobre przeszkolenie. Boże! co za refleks.

Gdzieś w nocy, nakładając się na huk pożaru, grzmotnęło potężne P-B-BA-BAAACH, rozjaśniwszy całą stronę nieba. Echo przetoczyło się z powrotem po mieście.

- Za prędko - rzekł z obrzydzeniem któryś zastępca. - Za prędko wybuchło.

- Na co za prędko?

Kern wrócił spoza domu, tupiąc po zboczach trawnika aż na chodnik.

- Nie ma go tam.

- Wiem. Usiłowałem ci to powiedzieć.

- Postrzelił jakiegoś faceta w ramię. To dlatego krzyczała ta kobieta. Moi ludzie go próbują znaleźć. Idą po śladach krwi. - Był najwyraźniej rozkojarzony i patrzył na fale blasku, przechodzące po niebie na skraju miasta.

- Co to było? Co za eksplozja? - dopytywał się Teasle.

- Mój Boże, chyba nie zdążyli.

- Z czym nie zdążyli?

- Stacje benzynowe. Dwie z nich podpalił. Mówili przez radio, że zajęła się tym straż pożarna. Pompy i zabudowania stoją w takim ogniu, że nie można podejść i odciąć dopływu benzyny. Chcieli wyłączyć elektryczność w całej dzielnicy, aż uświadomili sobie, że jeśli zatrzymają pompy, to podciśnienie wciągnie ogień do głównych zbiorników i wyleci wszystko, aż do następnej ulicy. Wezwałem całą brygadę moich ludzi do pomocy w ewakuacji. Jeden z tych pożarów był w kwartale domów mieszkalnych. Boże miłosierny,

spodziewam się, że zdążyli je opróżnić, zanim wybuchło! A może być jeszcze drugi wybuch. Ilu będzie zabitych, zanim to się skończy!

Okrzyk rozległ się koło domu.

- Przedostał się na ten plac zabaw!

- Nie krzycz tak, bo usłyszysz!

- Nie przejmujcie się tym - rzekł Teasle. - Jego nie ma już na placu zabaw.

- Nie bądź taki pewien. Za długo tu przeleżałeś. On teraz może być wszędzie.

- Nie. Musicie wstawić się w jego położenie. Wyobraźcie sobie, że jesteście na jego miejscu. Przeczołgał się przez plac zabaw i przedostał za płot, i jest w dzikich malinach, w zaroślach jeżyn. Ja mu się wymknąłem w takie zarośla, więc teraz on próbuje, ale jest ciężko ranny. Nie wyobrażacie sobie, jak boli go w piersiach. Dzieci tam zbudowały szopę i do niej pełzną.

Kern zmarszczył się pytając do Trautmana i dwóch policjantów.

- Co się z nim dzieło, kiedy mnie tu nie było? Co z nim jest?

Jeden z policjantów dziwnie potrząsnął głową.

- Wydaje mu się, że jest tym chłopakiem.

- Co takiego?

- Zwariował - wyjaśnił drugi.

- Wy dwaj pilnujcie go. Niech ma spokój - powiedział Kern. Ukląkł przy nim. - Trzymaj się do przybycia doktora. To już niedługo. Obiecuję ci.

- To nie ma znaczenia.

- Proszę cię. Spróbuj.

W dźwięku przeraźliwie donośnych dzwonów i wyciu następnym syren zajechały na plac dwa potężne wozy straży pożarnej, zwolniły ciężko przy samochodach policyjnych. Strażacy w gumowych kombinezonach zeskakiwali, biegli po narzędzia, by odkręcać hydranty, rozwijali węże pożarnicze.

Koło domów rozległ się znów okrzyk:

- Przeszedł plac zabaw! Wszędzie krew! Tam jest jakieś pole i krzaki!

- Nie wrzeszcz, mówiłem! - A potem Kern schylił się do leżącego na chodniku. - No dobrze, ze względu na ciebie sprawdzimy to. Przekonamy się, czy miałaś rację, gdzie go szukać.

- Zaczekaj.

- Chłopak ucieknie. Muszę iść.

- Nie. Poczekaj. Musisz mi coś obiecać.

- Już obiecałem. Doktor za chwilę tu będzie. Obiecuję.

- Nie. Co innego. Musisz mi to przyrzec. Jak go znajdziecie, ja chcę przy tym być. Jak to się skończy. Mam do tego prawo. Za dużo zniosłem, żebym teraz nie zobaczył końca.

- Aż tak go nienawidzisz?

- Wcale nie. Ty nie rozumiesz. On tego chce. On chce, żebym ja przy tym był.

- O rany - Kern zdumiony obejrzał się na Trautmana i na pozostałych. - O rany.

- Trafiłem go i nagle okazało się, że go przestałem nienawidzić. Po prostu żal mi się zrobiło.

- A pewnie.

- Nie, nie dlatego, że on też mnie trafił. To bez różnicy, czy by mnie postrzelił, czy nie. Tak czy owak zrobiłoby mi się żal. Musisz mi obiecać, że pozwolisz mi przy tym być. Jemu się to należy ode mnie. Muszę być z nim do końca.

- O rany.

- Przyrzeknij mi.

- Zgoda.

- Tylko nie kłam. Wiem, co sobie pomyślałeś: że jestem za ciężko ranny i nie da się mnie tam przenieść.

- Nie kłamię - powiedział Kern. - Muszę iść. - Podniósł się, przywołał gestem swych ludzi spod domu i ci podeszli, rozsypali się, ruszyli niepewnie ulicą w stronę placu zabaw i rozciągającego się za nim pola.

Z wyjątkiem Trautmana.

- Nie, Trautman, tylko nie ty - powiedział Teasle. - Ciągłe wolisz się w to nie mieszać, prawda? A czy nie wydaje ci się, że powinienes to widzieć? Że powinienes być przy tym i zobaczyć, jak on się na koniec zachowa?

Kiedy Trautman się wreszcie odezwał, głos jego był tak suchy, jak suche musiało być drewno w sądzie, gdy zajęło się ogniem, po prostu hubka.

- Jak źle z tobą?

- Nic nie czuję. Przepraszam. Znow nie tak powiedziałem. Beton jest bardzo miękki.

- Ach.

I znow to falujące B-B-BA-BAAACH rozjaśniło niebo. Trautman popatrzył bez wyrazu. Druga stacja benzynowa.

- Kolejny punkt dla chłopaka - rzekł Teasle. - Szkoda gadać, dobrze wyćwiczyli go w twojej szkole.

Trautman popatrzył na strażaków z węzami, gaszących ogień w sądzie i na posterunku, na dziurę wydartą w brzuchu szeryfa, i coś mu zamigotało w oczach. Przerzucił tam i z powrotem dźwignię swego ekspresu, wprowadzając nabój do komory, i ruszył trawnikiem pod górę i w ciemność na tyłach domów.

- Co robisz? - zapytał Teasle. Ale już wiedział. - Zaczekaj.

Żadnej odpowiedzi. Plecy Trautmana oddalały się przez migot płomieni ku nielicznym ceniom, jakie pozostały jeszcze z tej strony domu.

- Zaczekaj - powtórzył Teasle. W głosie miał popłoch. - Nie rób tego! - zawołał. - Nie twoja rzecz! Trautman, jak poprzednio Kern, już znikł.

- Poczekaj, do ciężkiej cholery! - krzyknął Teasle. Przewrócił się na brzuch, dłońmi macając wokół po chodniku.

- Muszę tam być! To powinienem być ja!

Wygramolił się po omacku na czworaki, stanął na dłoniach i kolanach, rozkaszał się, krew mu z brzucha kapiała na chodnik. Dwaj policjanci złapali go i przygnietli.

- Odpocznij - powiedział jeden. - Daj spokój.

- Puść! Rozkazuję!

Szarpali się z nim powstrzymując. Teasle się miotał.

- Mam prawo! Ja to zacząłem!

- Lepiej go puścić. Jeszcze trochę się z nami uszarpie i naderwie się.

- Popatrz. Ale mnie usmarował krwią. Ile tej krwi jeszcze w nim zostało?

Wystarczy, pomyślał Teasle. Wystarczy. Znow się wygramolił, stając na dłoniach i kolanach, podciągnął jedną nogę, a potem drugą, skupiając się na wstawaniu. Czuł słony smak własnej krwi w ustach. Ja to zacząłem! pomyślał, słyszałeś, Trautman? On jest mój. Nie twój. On chce, żebym to był ja.

Zaparł się, powstał, zrobił krok do przodu i zatoczył się, walcząc o utrzymanie równowagi. Jeśli upadnie, to na pewno już nie zdoła się podnieść. Musi trzymać się prosto. Balansował, klucząc po trawniku do góry, w stronę domu. Ja to wiem, Trautman! myślał. On chce, żebym to był ja. Nie ty. Ja.

Z męką czołgał się Rambo przez jeżyny ku szopie. Ledwie dosięgał jej odblask pożaru i widać było jedną ścianę pochyloną do środka, dach pod kątem, ale przez uchylone drzwi nie mógł zajrzeć do kompletnie czarnego wnętrza. Czołgał się, ale jakby strasznie długo zajmowało mu przebycie małego kawałka, nim zorientował się, że po prostu wykonuje ruchy pełzania, w ogóle się nie posuwając do przodu. Wzmógł swoje wysiłki i z wolna udało mu się podpełznąć do szopy.

Ale kiedy już dotarł do czarnego wejścia, odrzuciło go. Za bardzo to podobne do dziury, w której go trzymano jeńcem na wojnie, mrocznej, ciasnej i krępującej. Dziwnie przypominało też kabinę z natryskiem, do której go zapędził Teasle, i celę, w której Teasle chciał go zamknąć. Wprawdzie obie były jasno oświetlone, lecz odrzucało go od nich tak samo. Wszystko to, przed czym uciekał. Jakże mógł teraz się poczuć tak wyczerpany, aby pomyśleć, że właśnie tu będzie walczył?

Tak czy owak nie nadaje się już do walki. Zbyt wielu oglądał ludzi umierających od ran postrzałowych, aby nie wiedzieć, że wykrwawia się na śmierć.

Nie ustępuje ból w piersiach, w głowie, pulsujący dotkliwie z każdym uderzeniem serca; lecz nogi ma zimne i odrętwiałe od upływu krwi, dlatego właśnie trudno mu pełznąć, a w palcach, w dłoniach nie ma czucia; zakończenia nerwowe po trochu się wyłączają. Niewiele mu pozostało życia. Przynajmniej do niego należy wybór miejsca, gdzie się z nim pożegna. Nie tu, jakby w jaskini. Tego postanowił więcej nie zaznać. Nie - pod otwartym niebem - gdzie nic nie zasłoni mu jego widoku i będzie mógł czuć swobodny przepływ nocnego powietrza.

Po omacku przesunął się w prawo od szopy, zagłębiając się niezgrabnie w zarośla.

Tu znajdzie właściwe miejsce. Tego mu trzeba. Wygodne miejsce i przyjazne. Odpowiednie dla niego. Kojące. Musi je znaleźć, nim będzie za późno. Płytkie zagłębienie, długie na jego wzrost, wydawało się obiecujące, ale gdy ułożył się w nim na wznak, zbyt przypominało mu grób. Żeby leżeć wyciągnięty w grobie, na to będzie miał

aż za dużo czasu. Trzeba mu czegoś innego, na odwrót, musi to być miejsce wysokie i nie ograniczone, żeby zasmakować w nim przez te ostatnie chwile.

Czołgając się, wypatrywał w zaroślach i ujrzał przed sobą wznoszące się łagodnie zbocze, a gdy osiągnął jego szczyt, okazało się, że to wzgórek, z obu stron opadający w zaroślach, na wierzchu porosły tylko zwiędłą, jesienną trawą. Nie tak wysoki, jak by sobie życzył. Ale górujący nad polem, a wyciągnięcie się na wznak w miękkiej trawie było przyjemne: jak na kocu z podściółką ze słomy. Zapatrzył się w górę na wspaniałe, pomarańczowe wzory, rzucane z dołu przez płomienie na nocne obłoki. Spokój. Tu jest to miejsce.

Przynajmniej w jego myślach zapanował spokój. Wprawdzie ból się nasilał, udręczając go, i na odwrót, odrętwiałość mu podpełzła do kolan, do łokci. Niebawem podejdzie mu aż do piersi, tłumiąc ból, a później dokąd? Do głowy? Czy do tego czasu już go nie będzie?

No tak. Lepiej się zastanowić, czy mu nie zostało jeszcze coś do zrobienia, coś ważnego, o czym by zapomniał. Naprężył się z bólu. Nie, chyba nic więcej nie ma już do zrobienia.

A co z Bogiem?

Ta myśl zawstydziła go. Tylko w momentach skrajnego przerażenia zdarzało mu się pomyśleć o Bogu i modlić się, zawsze ze wstydem, bo nie wierzył i czuł się takim hipokrytą, modląc się ze strachu, jak gdyby mimo jego niewiary mógł istnieć Bóg, mimo wszystko. Bóg nabierający się na hipokryzję. W dzieciństwie, owszem, wierzył. Bez wątplenia wierzył, póki był dzieckiem. Jak to było w odmawianym co noc Akcie Skrucy? Słowa przypominały mu się opornie, już nie swojskie. Boże mój, żałuję z całego serca... Czego ma żałować?

Wszystkiego, co się stało w ciągu tych kilku dni. Żałuję, że to musiało się stać. Ale wszystko to stać się musiało. Ubolewał nad tym, lecz wiedział, że gdyby się powtórzył ów poniedziałek, zrobiłby przez następne dni to samo, co zrobił aż do tej chwili, i wiadomo, że Teasle też by to zrobił. Nic z tego nie dałoby się uniknąć. Jeśli duma była powodem ich walki, to było nim również coś dużo ważniejszego.

A co mianowicie?

A choćby ta kupa końskiego łajna, odpowiedział sobie: wolność i prawa jednostki. Nie zamierzał bronić żadnych zasad. Postanowił jedynie walczyć z każdym, kto spróbowałby go jeszcze popychać, a to zupełnie inna sprawa: nie etyczna, tylko osobista, emocjonalna. Zabił mnóstwo ludzi i mógłby udawać, że ich śmierć była konieczna, bo wszyscy byli częścią tego, co go popycha i uniemożliwia życie takim jak on. Ale niezupełnie w to wierzył. Za wiele przyjemności mu sprawiała walka, zbyt przyjemnie mu było ryzykować i podniecać się nią. Może wojna go tak ukształtowała, pomyślał. Może tak się przyzwyczaił do akcji, że już nie potrafił sobie odpuścić.

Nie, to także nie całkiem prawda. Gdyby naprawdę chciał się opanować, potrafiłby. On po prostu nie chciał się opanować. Aby żyć po swojemu, gotów był walczyć z każdym, kto spróbuje mu w tym przeszkodzić. No i w porządku, wobec tego walczył poniekąd o zasadę. Ale nie takie to proste, bo również był dumny i zachwycony, że umie pokazać, jaki jest dobry w walce. Nie jego było roztawiać po kątach, o nie, źle trafili! No i teraz umiera, a tego nikt nie lubi i cokolwiek by tu wymyślił na temat zasad, wszystko to szajs i usprawiedliwianie się. Pomyśleć, że drugi raz by zrobił tak samo, to zwyczajna sztuczka dla przekonania siebie, że nie można było uniknąć tego, co się w tej chwili dzieje. Boże, przecież to się dzieje właśnie teraz i on nic na to nie może poradzić, i ani zasady, ani duma nic nie mają do rzeczy wobec tego, co ma nastąpić! A powinien był przytulać więcej uśmiechniętych dziewcząt i pić więcej lodowatej wody i smakować więcej letnich melonów. I to również kupa końskiego łajna, co powinien był robić, a to gadanie o Bogu jest po prostu komplikowaniem tego, co właśnie postanowił: że wprawdzie odrętwiałość, pełząca z wolna po udach i przedramionach, jest łatwym sposobem na umieranie, ale i nędznym. Rodzaj bezradności. Biernej klęski. Pozostał mu już tylko jeden wybór: jak umrzeć? więc nie umrze jak zapędzone do dziury i ranne zwierzę, w cichym, żalonym i stopniowo znieczulającym upadku.

Lecz od razu. W eksplozji odczucia.

Odkąd po raz pierwszy zobaczył, jak tubylcy w dżungli okaleczają zwłoki, lękał się, co będzie z jego własnym ciałem po śmierci. Jak gdyby ciało jego wtedy miało zachować jakieś nerwowe reakcje.

Wyobrażał sobie z dreszczem wstrętu, co by to było, gdyby mu z żył odciągano krew, zamiast niej wstrzyknięto płyn balsamujący, gdyby usunięto mu główne narządy i wewnątrz klatki piersiowej potraktowano środkiem konserwującym. Wyobrażał sobie, jak przedsiębiorca pogrzebowy zaszywa mu wargi i powieki, aż go zemdliło. Śmierć - to dziwne - śmierć na nim robiła mniejsze wrażenie od tego, co z nim później uczynią. No cóż, nie będą mogli z nim tego wyprawiać, jeśli nie zachowa się z niego dość, ażeby to mieli z czym robić. A w ten sposób, kiedy robi to sam ze sobą, jest przynajmniej szansa, że będzie miał z tego jakąś przyjemność.

Wyjął z kieszeni ostatnią laskę dynamitu, otworzył miękkie opakowanie, zawierające lonty i splotki, wsunął je w środek, po czym włożył sobie dynamit między brzuch a spodnie.

Przed zapaleniem lontu zawahał się. Ta cholerna historia z Bogiem, jednak to komplikacja. Szykował się do samobójstwa, a to może go na zawsze wtrącić do piekła. Jeśliby wierzył. Ale przecież nie wierzy, a z myślą o samobójstwie dawno się już oswoił. Na wojnie nosił przy sobie kapsułkę trucizny, którą dał mu dowódca na wypadek, gdyby wzięto go do niewoli, torturowano. A kiedy się dostał do niewoli, nie zdążył jej połknąć. Tym razem jednak zapali ten lont.

Ale gdyby mimo wszystko Bóg istniał?

No cóż, jeżeli Bóg istnieje, przecież go nie może potępić za to, że nie zaparł się swej niewiary. Pozostało mu jeszcze to jedno przejmujące doznanie. Bezbolesne. Zbyt szybkie, aby zabolalo. Tylko jeden rozjarzony i unicestwiający go błysk. To będzie przynajmniej coś. Odrętwiały już do pachwiny, wziął się do zapalania lontu. A potem, rzuciwszy ostatnie, mgliste spojrzenie przez pole w kierunku placu zabaw, dojrzał w świetle pożaru mężczyznę, jego podwójny obraz, w mundurze Zielonych Beretów, jak przemyka się nisko i bacznie pod osłoną huštawek, drabinek i zjeżdżalni. W rękę ma karabin. Albo ekspres. Rambo nie był już wstanie wypatrzeć, które z nich. Ale rozpoznał mundur i wiedział, że to musi być Trautman. Nie może być nikt inny. A za Trautmanem, potykając się na placu zabaw, trzymając się za żołądek, szedł Teasle - to musi być on - zataczając się i łapiąc za drążki prostokątnych drabinek, i Rambo zrozumiał, że jest lepszy sposób.

Teasle trzymał się drążków, odpoczywał, po czym odepchnął się i pokuszył w stronę ogrodzenia. Gorączkował się, że Trautman może dotrzeć na to pole wcześniej niż on, ale teraz już wszystko w porządku - Trautman wyprzedza go tylko o parę kroków, skulony przy ławce, wpatruje się w gęste zarośla. Wyprzedził go tylko o parę kroków. Teasle sięgnął i złapał się ławki, żeby nie upaść, stał oparty o nią, chrapliwie dysząc.

Trautman, oczu nie odwracając od pola, powiedział do niego:

- Schył się. Na pewno cię dojrzy.

- Już nie dałbym rady się podnieść.

- A po co? W tym stanie i tak wiele nie zdziałasz. Nie pchaj się w to. Zabijasz się i nic więcej.

- Mam się położyć i żebyś ty za mnie dokończył? Pierdol się. I tak zdycham.

Trautman dopiero na niego spojrzał.

Kern był tuż obok, niewidoczny i pokrzykiwał:

- Jezu, kryć się, u diabła! On ma doskonałą kryjówkę i nie będę więcej narażał ludzi, żeby się w to pakowali! Posłałem po benzynę! Jak lubi się bawić z ogniem, to wypalimy go!

No tak, pomyślał, to właśnie w twoim stylu, Kern. Złapał się za swędzący brzuch, trzymając się za mokre, żeby nie uszło, i poczłapał niezdarne naprzód, chwytając się płotu.

- Kryj się, do cholery! - krzyknął znów Kern.

A pierdol się. Więc go wypalisz, co, Kern? To właśnie taki pomysł, jakiego się po tobie spodziewałem, pomyślał. Załóż się, że zanim twój ogień do niego dotrze, on z niego wyskoczy, strzelając, i zabierze z sobą jeszcze kilku twoich. To można zrobić tylko w jeden sposób: żeby ktoś, jak ja, dla którego i tak nie ma ratunku, poszedł i załatwił go. Za mało jeszcze straciłeś ludzi, żebyś to mógł zrozumieć.

- Co to miało znaczyć, u diabła? - zawołał Kern i Teasle uświadomił sobie, że co myślał, to i powiedział na głos. To go zaskoczyło: więc musi przedostać się za ogrodzenie, dopóki może. Krew na ogrodzeniu. To chłopak. Dobrze. Więc przelezie górą tam, gdzie on przelał. Jego kapiąca krew mieszała się z krwią chłopaka, gdy zebrał się w sobie i przewalił za płot. Mógł się tylko domyślać, jak ciężko grzmotnął o ziemię, ale mózg jego nie zarejestrował tego upadku.

Nagłym zrywem Trautman skoczył od ławki, przemknął nad ogrodzeniem i wylądował, zręcznie skulony, w kępie krzaków tuż obok niego.

- Zabieraj się stąd - powiedział Teasle.

- Nie. A jak się nie zamkniesz, on będzie z góry wiedział o wszystkim, co chcemy zrobić.

- Nie ma go tu nigdzie w pobliżu, więc nie usłyszysz. Jest aż pośrodku tego pola. Słuchaj, wiesz o tym doskonale: on chce, żebyś to był ja. Mam prawo być przy tym do samego końca. Ty wiesz.

- Owszem.

- Więc nie miesza się jak to nie twoja rzecz.

- To ja dałem temu początek wcześniej, niż ty, więc będę pomagał. To nie hańba korzystać z pomocy. A teraz się przykniij i ruszajmy póki w ogóle możesz.

- No dobrze, chcesz mi pomóc? Więc podeprzyj mnie. Sam nie dam rady ustać.

- Mówisz serio? Ależ to będzie paskudztwo.
- Właśnie tak powiedział Shingleton.
- Co?
- Nic takiego.

Trautman go postawił na nogi, po czym odpełznął w zarośla i przepadł, a Teasle stał, z głową powyżej krzaków, wypatrując w nich i myśląc: A idź. Czołgaj się tak szybko, jak potrafisz. Nieważne, co zrobisz. Ja i tak dostanę go pierwszy.

Odkasznął i wypluł coś słonego, ruszył przez gąszcz na przełaj ku szopie. Jasne, że chłopak tędy przeszedł, połamane gałęzie z grubsza wskazują ślad. Posuwał się wolnym krokiem, nie ryzykując bezradności upadku. I tak zdziwił się, że tak szybko dotarł do szopy. Ale gdy już chciał wejść do środka, instynktownie zdał sobie sprawę, że chłopaka tam nie ma. Rozejrzał się i jakby przez magnes przyciągany, powlókł się chwiejnie dalej, następną wygniecioną ścieżką w kierunku sporego pagórka. To tam. Chłopak się tam ukrył. Wiedział to i wyczuwał.

Żadnej wątpliwości.

Kiedy się rozłożył na chodniku, ktoś powiedział, że bredzi. Ale się mylił. On wcale nie bredził. Przynajmniej wtedy. Teraz. Teraz to co innego. Ciało jakby osuwało się z niego w malinie, został tylko umysł niosący się nad zaroślami w stronę pagórka, a noc się zmieniała w olśniewający dzień, pomarańczowe odbłaski pożaru jaśniały, tańczyły wściekle. U podstawy pagórka przestał się tak unosić i poderwał się, przesyty na wylot, skąpany w przepysznym blasku. To już. Nie zostało mu więcej czasu. Jakby wolą jego rządził kto inny, ujrzał, jak własna ręka się przed nim uniosła i pistolet mierzy w pagórek.

Odrętwiałość sięgnęła już Rambowi do ramienia, do pępka, i żeby unieruchomić strzelbę, musiał celować jakby za pomocą dwóch topornych pniaków. Zobaczył, z błyskiem w oczach mierząc, jak Teasle dzieli mu się tam w dole na trzech i już wiedział, że to jedyny sposób. Nie jakieś tam bierne osunięcie się w nicłość. Ani zapalony lont, ani samozagłada. Tylko w ten sposób, jedynie właściwy, w ostatniej walce, starając się ze wszystkich sił zabić szeryfa. Wprawdzie oczy i dłonie odmawiają mu posłuszeństwa, więc nie sądzi, aby go trafił. Ale trzeba spróbować. Wówczas jeżeli chybi, Teasle dojrzy błysk u wylotu jego lufy i strzeli w to miejsce. I przynajmniej, pomyślał, umrę starając się. Zmagał się ze swym palcem, aby pociągnąć za spust, mierząc przy tym w środek postaci wroga. Lufa się trzęsie. Nigdy go nie trafi. Ale nie wolno mu strzelać na niby. Musi starać się, ile tylko zdoła. Nakazywał swej dłoni, aby się zacisnęła na spuście, dłoń jednak nie chciała go słuchać i gdy się tak na niej koncentrował, aby się zwarła, strzelba raptem wypaliła, choć nie zamierzał. Co za rozmamłane niedbalstwo. Sklął się za to. Nie takiej się spodziewał, ale prawdziwej walki, a teraz Teasle trafi go, gdy sobie nie zasłużył. Czekał na kulę. Powinna już być. Zmrużył się, żeby lepiej widzieć, i spojrzał z pagórka w dół, gdzie Teasle leży wyciągnięty w zaroślach. Jezusie, trafił go! Przecież nie tego chciał, o Boże. Teraz już odrętwienie tak się posunęło, że nie zdoła zapalić lontu, zanim ono go unicestwi. Tak nędznie. Tak brzydko i nędznie. I wtedy go zagarnęła śmierć, ale nie ten otepiający sen, bez dna i mroczny, którego się spodziewał. Raczej jak to, czego się spodziewał po dynamicie, tylko że od głowy, a nie od brzucha, i nie mógł zrozumieć, dlaczego tak, i przestraszył się. A potem, że i tak nic więcej nie zostało, uległ, poddał się temu, wyrwał się na wolność przez tył głowy i z czaszki, wyleciał w niebo, przez tęczujące mnóstwo widm świetlanych dalej, na zewnątrz, ciągle w oślepiającym blasku i pomyślał, że jeśli to dłużej potrwa, może jednak mylił się i zobaczy Boga.

Tak, pomyślał Teasle. No tak. Leżał na wznak, czując pod plecami zarośla, dziwiąc się gwiazdom, powtarzając sobie, że nie wie, co go trafiło. Naprawdę nie wie. Dojrzał błysk wystrzału i upadł, ale tak łagodnie padał i powoli, że naprawdę nie wie, co go trafiło, nie poczuł, nawet nie zareagował. Pomyślał o Annie i przestał, nie żeby wspomnienie go zabolalo, tylko że po tym wszystkim była już po prostu nieważna.

Usłyszał, że ktoś idzie z trzaskiem po zaroślach, zbliża się. To chłopak, pomyślał. Ale powoli tu idzie, tak powoli. Nic dziwnego. Jest ciężko ranny.

Ale okazało się, że to Trautman stoi nad nim, ciemny zarys głowy na tle nieba, twarz i mundur w migotliwych odbłaskach, ale oczy zgaszone.

- Jak ci jest? - zapytał go Trautman. - Ciężko?

- Nie - odpowiedział. - Nawet jakby przyjemnie. Jeżeli nie myślę, co za tym idzie. Co to był za wybuch? Jakby znów stacja benzynowa wyleciała w powietrze.

- To ja. Chyba to byłem ja. Odstrzeliłem mu z tego ekspresu wierzchołek czaszki.

- I jak się czujesz?
- Lepiej niż kiedy wiedziałem, że się męczy.
- No tak.

Trautman wyrepetował z ekspresu pustą łuskę i Teasle patrzył na połyskliwy łuk, jaki zakreśliła w powietrzu. Znow pomyślał o Annie i tak samo go nie interesowała. Pomyślał o domu, który sobie urządził we wzgórzach, o kotach w domu i to również go nie zainteresowało. Pomyślał o chłopaku i załapała go miłość do niego, i sekundę przedtem, nim pusta łuska zakończyłaby swój łuk lecąc ku ziemi, odprężył się, spokojnie już godząc się na wszystko.

I przestał żyć.